

TOMASZ JACHIMEK

HANDLARZE CZASEM



TOMASZ
JACHIMEK
HANDLARZE CZASEM


Świat Książki

Wydawnictwo nie ponosi odpowiedzialności za nieumiejętne wykorzystanie treści zamieszczonych w książce.

Ilustracje

Henryk Sawka

Redaktor prowadzący

Monika Koch

Redakcja

Edyta Domańska

Redakcja techniczna

Małgorzata Juźwik

Korekta

Ewa Grabowska

Jadwiga Przeczek

Copyright © by Tomasz Jachimek, 2010

Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2010

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2010

Świat Książki Warszawa 2010

Świat Książki Sp. z o.o.

02-786 Warszawa, ul. Rosoła 10

ISBN 978-83-247-2187-0

Nr 45036

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

1. GRY I WYNAŁAZKI
2. HISTORIA RAFAŁA PORANKA
3. ZWYCIĘSTWA I PORAŻKI
4. HISTORIA PAULINY
5. DZIENNIKARZE I REPORTAŻE
6. HISTORIA GRZESIA
7. JUNIORZY I SENIORZY
8. HISTORIA STARYCH MAŃCZAKÓW
9. PODSUMOWANIA I POŻEGNANIA



1. GRY I WYNAŁAZKI

Wszystkie rodzinne quizy wygrywał wuj Franciszek. W cuglach. Co niedziela koło południa wtarabiał się na wózku do salonu i - tonem ni zarządcy, ni wodzireja - ogłaszał wszem wobec:

- No to teraz się sprawdzimy! Będzie quiz!

Wyciągał starannie przygotowane arkusze z pytaniami, wkładał jedyną marynarkę (tak, tak, tę popielatą, która była modna w szczytowym okresie kariery Mieczysława Fogga), sprzątał ze stołu wszelkie szpargały mogące utrudnić przebieg rozgrywki i poganiał zawodników:

- No, co jest?! Długo mam czekać? Będzie quiz! Trzeba się sprawdzić!

Grażyna odchodziła od niedzielnego rosolu, Piotr odkładał gazetę i oboje marzyli o wylosowaniu na tyle trudnych pytań, aby odpaść w pierwszej rundzie. Tylko dzieciarnia się cieszyła, ale radość trwała krótko, do końca pierwszej rundy właśnie, bo wuj Franciszek nie stosował wobec juniorów taryfy ulgowej i młódź pytania dostawała jak wszyscy.

Z kolei babce Wiktorii najbliższa była idea barona Pierre'a de Coubertina, w myśl której nie zwycięstwo się liczy, ale ważny jest sam udział. Wyniki i rankingi były babce Wiktorii dalece obojętne, na wszystkie pytania z historii odpowiadała: „marszałek Piłsudski”, z mitologii: „Zeus” albo „Atena”, zaś w pozostałych kategoriach decydowała się albo na wariant: „Jan Paweł II”, albo też: „nie wiem”. Taktyka nie była wcale taka głupia, bo raz babka była trzecia.

Godnej konkurencji wuj Franciszek nie miał właściwie żadnej. Nie dawał się zagiąć ani na literaturze, ani na fizyce kwantowej, ani na popularnych piosenkarzach, ani na wielkich odkryciach geograficznych. Nawet kiedy wylosował makabrycznie trudne pytanie o strzelców bramek dla Polski w olimpijskim półfinale z Australią w 1992 roku i wszyscy zastygli w pełnym nadziei oczekiwaniu, że chociaż raz się mądrała omnibus wyłoży, wuj Franciszek jedynie podgrzał atmosferę odpowiedniej długości pauzą, po czym z wyrachowaną, sadystyczną wręcz złośliwością wyrecytował:

- Juskowiak - trzy, Kowalczyk - dwie, i jedna samobójcza. A mecz skończył się wynikiem sześć do jednego.

No i weź tu, człowieku, zakwestionuj mądrości wuja Franka!

Nie bez znaczenia dla przebiegu i wyników rodzinnych quizów był fakt, że wuj Franciszek był jedynym autorem wszystkich pytań, tym samym jedynym jurorem autorytatywnie rozstrzygającym wszelkie wątpliwości. Co gorsza, wyniki quizów stanowiły dla wuja legitymację do wtrącania się we wszelkie domowe sprawy i upoważniały go - w jego mniemaniu - do wypowiedzania się na wszelkie możliwe tematy. Jakakolwiek próba dyskusji czy polemiki nie miała sensu. Kiedy wuj Franciszek czuł, że spór może się dla niego skończyć kompromitacją, sięgał po żelazny argument:

- Jakbyś był taki mądry, tobyś chociaż raz ze mną w quizie rodzinnym wygrał!

Była też druga, niemal identyczna opcja:

- Ty w niedzielę podczas quizu bądź taki wygadany, to będziemy sobie mogli podyskutować jak równy z równym! - Dzięki banalnemu chwytowi retorycznemu wujowi Franciszkowi wydawało się, że rację ma zawsze i w każdym zagadnieniu.

Piotra brała jasna cholera i nieraz próbował wpłynąć na Grażynę, aby zakazała urządzania jakichkolwiek quizów.

- Zrób tak, kochanie, żeby jedyną grą towarzyską w tym domu były bierki. Ewentualnie makao - szeptał żonie do ucha, jednocześnie delikatnie podgryzając jej szyję, bo przy użyciu tej

techniki perswazyjno-erotycznej wielokrotnie udawało mu się namówić Grażynę do najbardziej nawet szalonych pomysłów. Jednak w kwestii gier i wuja Franciszka małżonka była nieprzejednana.

- Te quizy to jego jedyna radość. Jak ja mogę mu ich zakazać? - krzywiła się Grażyna. - Przecież to kaleka jest.

- Wiem, że kaleka, ale nie o kalestwo tu chodzi. Ja mu nie każę ganiać na sto metrów przez płotki. O quizy chodzi, a nawet nie tyle o głupie quizy, ile o wymądrzanie się, że skoro wygrał, to we wszystkim trzeba mu ustępować!

- To raz z nim wygraj i będzie po sprawie. - Grażyna znajdowała salomonowe rozwiązanie i konflikt na jakiś czas udawało się zażegnać.

Ba! Piotr próbował nieraz, ale wygrać niedzielny quiz z wujem Franciszkiem to jak wybrać się podczas urlopu w Himalaje na poszukiwanie yeti albo wyzwąć na trzy sety Rafaela Nadalę. Szanse żadne, a ryzyko ośmieszenia przeogromne. Jak Piotr wyuczył się ciekawostek geograficznych, to odpadał na rodzajach chińskich patelni; jak wykuł chińskie patelnie, to ginął na twórczości Krzysztofa Krawczyka, a nawet kiedy przemógł się i z wyraźną niechęcią posłuchał kilku Krawczykowych dokonań artystycznych, to następnej niedzieli gwoździem do trumny okazywały się wróżbiarstwo i astrologia.

Po takiej rozgrywce, jakby mu było mało, wuj Franciszek potrafił protekcyjnie poklepać Piotra po ramieniu i rzucić kwestię w stylu:

- No, Piotrek, dziś walczyłeś jak lew, ale musisz jeszcze trochę poczytać! Musisz jeszcze więcej poczytać!

Piotra ponownie brała jasna cholera, ponownie negocjował z Grażyną wprowadzenie oficjalnego zakazu organizowania quizów i ponownie słyszał, że dla wuja Franciszka niedzielne zawody to jedyna radość. Jedyne, co potrafił wskórać, to złośliwe uwagi Grażyny, która gratulując Frankowi, namawiała go jednocześnie do występu w telewizji.

- Jeszcze byś jakieś pieniądze zarobił. Tu się wymądrzasz, a powinieś na Woronicza pojechać, sprawdzić się z zawodowcami od quizów. Co to za radość słabszych od siebie non stop ogrywać?

Jednak wuj Franciszek, jak utrzymywał, nie miał parcia na szkło.

- Małpy medialnej to wy ze mnie nie zrobicie. Ja mam wiedzę nie po to, żeby błaznować przed kamerami, ale żeby mądrym być, ot co!

Takiej okazji do riposty w żaden sposób nie mógł zmarnować Piotr.

- Aha, boisz się, że już w eliminacjach byś odpadła

- Ty w niedzielę podczas quizu bądź taki mądry, taki wygadany, to będziemy sobie mogli pogadać jak równy z równym! - przejmował inicjatywę wuj Franciszek i dyskusja błyskawicznie dobiegała końca. Wuj, w glorii niepokonanego intelektualisty, każdym ruchem i gestem dawał wyraz nieskończonej pogardzie, jaką żywił dla umysłowego ubóstwa najbliższej rodziny, po czym zjeżdżał do swojego - jak go określał - warsztatu. W śmiertelnej obrazie trwał jakieś pół godziny, wtedy bowiem Grażyna stawiała na stole niedzielny obiad, i owszem - obraza obrażę, ale żołądek swoje prawa ma i się go obrażę, nawet najszlachetniejszą, w żaden sposób nie zapełni. Dlatego wujo Franciszek jako człowiek mądry chował ją do kieszeni i ze wszystkimi pałaszował rosół z makaronem.

- Grażynko, coś wyjątkowo dużo soli w tej zupie. Zakochałaś się czy jak? - atakował, bo i krytykiem kulinarnym był wykwinnym. Na tyle wykwinnym, że jeszcze potrafił sobie dokładkę przesolonego rosółu zamówić, aby tylko sądów pochopnych nie wydawać.

- Jak nie smakuje, to nie jedz. A już przynajmniej dokładkę nie bierz - bronił honoru gospodyni Piotr.

- Smakuje! Jak najbardziej smakuje! Kto powiedział, że mi nie smakuje?! Ja uwielbiam przesolone zupy. Jakby jeszcze makaron nie był rozgotowany, to już w ogóle ten rosół byłby dotykaniem absolutu - brnął wuj Franciszek.

- To może w następną niedzielę ty, Franek, obiad ugotujesz, co? - ze spokojnym uśmiechem pytała Grażyna.

- A niby kto wtedy by quiz przygotował?! - oburzał się wuj i był to wzorcowy przykład świętego oburzenia. - Jakbyście naprawdę tacy mądrzy byli, to chociaż raz byście mnie w quizie ograli.

Jednak prawdziwy ekspert kuchenny, co prawda, tylko teoretyczny, ale zawsze, budził się w nim przy drugim daniu. Nawet ziemniaki nie były pozostawione bez oceny.

- Czy już doprawdy tak nisko upadliśmy, żeby podczas niedzielnego obiadu podawać do stołu puree? - Wuj mlasnął, otarł tłuszcz z brody i kontynuował: - A te schaboszczaki naprawdę by nie ucierpiały, gdyby z pięć minut dłużej na patelni poleżały. No, a jakim cudem ze słodkich mirabelek może wyjść kwaśny kompot, to ja się w życiu nie dowiem!

Ponarzekawszy na przypalony sernik, kazał sobie odłożyć trzy kawałki na wieczór, po czym - polecając jeszcze wszystkim trening przed przyszło tygodniowym quizem - na dobre zjeżdżał do warsztatu.

Niedzielne quizy wuja Franciszka właściwie zmonopolizowały sferę rodzinnych gier i zabaw towarzyskich. A trochę szkoda, bo na przykład babka Wiktoria była skończoną arcymistrzynią domina. Jakiś niewyobrażalny talent, wrodzony geniusz kazał jej losować właściwe płytki. Brakowało mydełka - ciągnęła z woreczka mydełko; brakowało trójki - z puli wyciągała płytkę z trójką. We wszystkich rozgrywanych w życiu partiach może ze trzy razy pauzowała przez kolejkę. W domino rozkładała wszystkich bez wyjątku.

Urodziła się, traf chciał, 1 września 1939 roku -wyjątkowo mało wesoły czas dla noworodków (zresztą zdecydowanej większości data wyjątkowo wrednie się kojarzy) - i jakby dla ironicznej pociechy los obdarzył babkę Wiktorię fenomenalnymi zdolnościami do gry w domino. Ba! Śmiało można nawet zaryzykować tezę, że gdyby domino było dyscypliną olimpijską, to babka Wiktoria od dawna mieściłaby się w panteonie sportowych sław obok Szewińskiej i Kusocińskiego. Gdyby domino było grą hazardową, to dziś babka Wiktoria dostawiałaby złote płytki na diamentowy stolik, zaś cała rzecz rozgrywałaby się w okolicach Las Vegas. Niestety, ani sława, ani kosmiczne pieniądze babce „Dominatorce” Wiktorii nie groziły, zatem pozostało jej tylko ogrywanie wnuków, bo innych chętnych do rywalizacji - czemu trudno się specjalnie dziwić - brakowało.

Zresztą te gry z wnukami były dla babki Wiktorii swoistą mordęgą. Robiła wszystko, aby choć raz przegrać, popełniała gigantyczne błędy taktyczne, wystawiała rywalom brakujące płytki - wszystko na nic. Fenomenalny dar ogrywania wszystkich w domino okazywał się być jej przekleństwem. Dzieciaki znały, rzecz jasna, rodzinną legendę, że babka Wiktoria to światowej klasy hegemon układania płytek domina, tym bardziej więc chciały - choćby w imię zasady „bij mistrza” - zmierzyć się z potęgą. Perspektywa była kusząca, bo do końca życia chodziłyby w aureoli tych, którzy zdetronizowali arcymistrzynię. Cierpliwości starczało na trzy partie, potem były sześćcioletnie łzy, dramaty i rozpacz.

Grażyna i Piotr przytulali Hanię i Michasia, tłumacząc, że oni też zawsze - jeśli idzie o domino - ostro brali w tyłek od babki Wiktorii i nie ma co się przejmować, bo z Dominatorką nikt nie wygra. Najbardziej cierpiała sama babka Wiktoria - z jednej strony zakochana we wnukach po uszy, z drugiej z sadystyczną niemal złośliwością pozbawiająca wnuki możliwości triumfu nad sobą.

- To może by mamusia raz oszukała i celowo przegrała? - zapytała któregoś razu

Grażyna.

No, oszukiwać po to, aby przegrać, to dość ekscentryczna przyjemność, ale nie o przyjemność tutaj idzie. Słowo „oszukać” nie mieściło się w wokabularzu babki Wiktorii. Owszem, zrobić celowy błąd, ułatwić zadanie wnukowi, to jeszcze w jej sumieniu jakoś uchodziło. Ale oszukać? Złamać zasady? Kantować? I to własne wnuki?!

- No, może ja już do końca nowoczesna nie jestem, może tak do końca trendy też nie, ale swoje wnuki szachrować? Może jeszcze od razu kraść ich nauczę, co, Grażynko? - Babka uderzała w tony świętego oburzenia, z miejsca traciła humor i kategorycznie zapowiadała, że w takim razie rozgrywek w domino w ogóle nie będzie.

Oczywiście, karencja trwała kilka dni i kiedy Hanię albo Michasia nawiedzał szatański plan, aby ograć babkę Wiktorię, ta - jak skorumpowany związek sportowy - zmieniała swoją ostateczną decyzję, anulowała zawieszenie rywalizacji i sięgała po wysłużone pudełko z płytkami.

- Ale nie będzie buczenia, jak przegracie?

- Nie będzie, teraz to na pewno nie będzie, obiecujemy.

Sześćoletni berbecę Michał albo sześćoletnia berbeciówna Hania potrafili jeszcze dwa paluchy na serduchu położyć przy tej deklaracji i gra znowu się zaczynała. Schemat za każdym razem był identyczny: pierwsza partia - berbecie traciły humor; rewanż - złość berbeci; trzeci pojedynek - obietnice berbeci diabli wzięli, znowu zaczynały się płacze, żale i rozpacz. A babka Wiktoria znowu sobie wyrzucała, że przez fenomenalny talent do gry w domino zepsuła ukochanym wnukom popołudnie.

Chowała podniszczone pudełko do komody i dla uspokojenia skołatanych zwycięstwem nerwów sięgała po kolorowy album o pielgrzymkach Jana Pawła II do ojczyzny. Może i specjalnie wierząca nie była, może i z Kościołem jakoś specjalnie mocno się nie przyjaźniła, ale album z Wojtyłą pielgrzymującym po macierzystym kraju działał idealnie na uspokojenie.

- Ten Wojtyła do tego stopnia wyrósł, że dzisiaj cały Kościół jakiś taki skarłały się wydaje - tłumaczyła podczas kolędy proboszczowi, czemu tutejsza parafia nie dostępuje zaszczytu goszczenia na niedzielnych mszach światowej mistrzyni gry w domino.

- Nieprawda! Nieprawda! Babka nie chodzi do kościoła, bo w niedzielne przedpołudnia musi się przygotowywać do quizu - wtrącał niepytany wuj Franciszek i proboszcz Majstryk, głupiejac doszczętnie, błyskawicznie zmieniał temat, zagadując na przykład Hanię i Michasia, czy pacierz już jadą z pamięci, czy jeszcze rodzice muszą podpowiadać.

Co racja, to racja - na msze może sobie babka Wiktoria nie chodzić, ale nie wziąć udziału w niedzielnym quizie wuja Franciszka? To byłaby stumilowa obraza do końca świata! Wuj zapewne nie odezwałby się do babki ani słowem, a aż strach pomyśleć, co by o niej myślał w zaciszu swojego warsztatu.

Do warsztatu wuja Franciszka wstępu nie miał nikt. Absolutnie nikt. Więcej - zapukać do niego mogły jedynie Grażyna i dzieciaki. Co prawda, nikt specjalnie nie wrywał się, by to prawo łamać, bo i Piotr, i babka Wiktoria mieli ciekawsze zajęcia niż wykradanie wujowych tajemnic, jednak niepisane prawo istniało i choćby dlatego warto o nim wspomnieć.

Wuj Franciszek za każdym razem zamykał starannie drzwi na dwa zamki, a klucze do nich trzymał zawieszony na szyi. Strzegł ich pilniej niż pytań do kolejnego rodzinnego quizu. Raz Grażyna, pełna dobrej woli, zaproponowała, że mu ten cały cudownie tajemniczy warsztat po prostu posprząta. Wuj Franek obraził się na bite cztery dni, a gdyby piątego nie wypadła akurat niedziela i nie trzeba było rozegrać quizu, to gniewałby się dłużej.

- Mało masz roboty?! W kuchni sobie posprzątaj! - odparł szorstko, po czym zamilkł na równe dziewięćdziesiąt sześć godzin. Wuj w ogóle warsztat opuszczał z rzadka; najchętniej na

czas krótkich nawet nieobecności ustawiałby pod drzwiami czterech uzbrojonych po zęby strażników, zresztą kiedyś nawet dogłębnie analizował ów koncept. Zrezygnował, bo w końcu skąd wziąć czterech strażników, do których można byłoby mieć stuprocentowe zaufanie...

Oczywiście, istniały podejrzenia, że w warsztacie wuj przechowuje połowę do dziś nieodnalezionego skarbu Inków, jedną czwartą Złotej Komnaty, a zamiast pisanek trzyma na wielkanocnym stole tuzin złotych jaj Faberge. Prawda była zdecydowanie bardziej prozaiczna. W królestwie o niebagatelnych wymiarach sześciu metrów kwadratowych mieściły się: książki, gazety, biurko, łóżko i stół kreślarski. To wszystko. Ubrania, przybory do mycia i czysta bielizna leżały w łazience przy warsztacie, z której też korzystał jedynie wuj.

Kiedy Piotr, rozeźlony kolejnym upokorzeniem na niwie quizowej, chciał dogryźć wujowi, pytał, kiedy w końcu pojawi się pytanie o tajemnice warsztatu.

- Nigdy się nie pojawi! To nie jest temat do quizu! - Wuj Franek mimo niezaprzeczalnych zalet umysłu dawał się podpuszczać jak czteroletni przedszkolak z grupy Purchaweczki.

- Nawet wojsko robi czasem w jednostce dzień otwarty! Telewizja i radio też. Wszyscy robią, tylko ty jesteś nieugięty - szydził w najlepsze Piotr.

- Jak są głupi, to niech pokazują. Ja otworzę drzwi, jak przyjdzie odpowiedni czas! - Wuj niczym wytrawny retor kaznodzieja akcentował słowa „odpowiedni czas” i sprawę uważał za zamkniętą.

- No, mógłbyś chociaż raz dzieciaki po warsztacie oprowadzić. Przecież pękają z ciekawości. -

Grażyna celnie uderzała w czuły punkt, bo za rodzinnymi quizami i sekretami warsztatu na trzecim miejscu w klasyfikacji wujowych słabości byli Hania i Michaś.

- Za mali jeszcze są... Jak podrosną, to im wyjawię wszystkie tajemnice - tracił odrobinę rezonu wuj Franciszek.

- Jak to za mali? Przecież w przyszłym roku do szkoły pójdą... Hania, Michaś, chcielibyście zobaczyć warsztat wuja Franka? - pytał Piotr i salon ogarniał dziki entuzjizm dwójki sześciolletnich berbeci.

- Ty w przyszłą niedzielę taki wygadany bądź podczas quizu, wtedy sobie porozmawiamy jak równy z równym - błyskawicznie gasił go wuj Franciszek. Wyczuwając jednak ogrom zawodu, jaki sprawił juniorom, dodawał, że już wkrótce skończy pracę nad przełomowym wynalazkiem i wtedy drzwi warsztatu staną otworem.

- Cóż to za wynalazek? - pytała Grażyna.

- Dowiedcie się, dowiedcie, i to jako pierwsi - rzucił na odchodnym wuj Franciszek i chował się za drzwiami zamkniętymi na dwa zamki.

Wynalazki to była druga - tuż po quizach - szajba wuja, z tym że szajba o tyle pozytywniejsza, że efektami swoich prac nie zamęczał reszty rodziny. Przy czym sformułowanie „nie zamęczał” nie jest do końca precyzyjne, bo i owszem, zamęczał swego czasu jak najbardziej, ale po kilku sromotnych klęskach na polu wynalazczości ograniczył się jedynie do konstruowania prototypów. Próbnymi pokazami i eksperymentami nie urządził od dawna.

Kiedy przed czternastu laty wuj Franciszek siadł na wózku i stało się jasne, że spędzi w nim resztę bujnego żywota, z wrodzoną sobie butą i arogancją oświadczył: „Od teraz będę wielkim myślicielem i wynalazcą, a do tego niepotrzebne są zdrowe nogi”. Ba! W kolejnym przypływie buty i arogancji dodał, że w przypadku wielkich myślicieli i wynalazców zdrowe nogi są balastem.

Grażyna z ulgą przyjęła to, że nie załamał się fatalnym wyrokiem losu, zaś Piotr, urządzając pokój przy salonie, nie zapomniał o ustawieniu stołu kreślarskiego, lampki i kilku tomów poradników popularnonaukowych. Myśliciel i wynalazca wuj Franciszek dziarsko rzucił

się do roboty i po niedługim czasie zaprezentował światu genialną rzecz - proszek, który należało wrzucić do garnka z gotującymi się jajkami. Kiedy jajka były ugotowane na miękko, woda zmieniała barwę na zieloną, kiedy zaś stawały się twarde, kolor wody - w myśl zapewnień wuja - miał się przeistoczyć w krwawą czerwień.

Trudno było o bardziej wymarzony debiut - ileż to stresu odpadłoby gospodyniom domowym czy wręcz wytrawnym, profesjonalnym kucharzom, którzy mają ciągle kłopoty z jajkami na miękko... „A czy nie za wcześnie wyciągam, a czy już nie są aby zbyt twarde, a czy te legendarne trzy minuty to aby na pewno sprawdzona metoda?”. I zniknęłoby to odwieczne napięcie przy niedzielnych śniadaniach, kiedy puka się łyżeczką w skorupkę, delikatnie obiera się czubek jajka, okraja kawałek białka i... chwila monstualnych emocji... dopiero teraz wszystko staje się jasne. Niedogotowane. W sam raz, idealne. O jakieś piętnaście sekund za długo, ale jeszcze można się w tym jajku dopatrzeć elementów jaja na miękko. I najgorsza diagnoza, czyli furia - przegięcie o dobre pół minuty i jest już jedynie jajko na twardo.

A tu zjawia się zniecała wynalazca wuj Franciszek ze swoim cudownym patentem i likwiduje kuchenne problemy. Niemalże zbawia gastronomiczny świat. Oto wystarczy wsypać do garnka trzy łyżki magicznego proszku i jeśli tylko kucharząca gospodyni nie jest skończoną daltonistką, to z jajkami na miękko zawsze da sobie radę.

Zapowiadał się wielki sukces na skalę globalną, sława, pieniądze i w ogóle dolce vita. Niestety, cudowny proszek nie przeszedł pierwszego poważnego testu w kuchni Grażyny. Najpierw - zgodnie z założeniami - woda zrobiła się zielona, potem - już wbrew założeniom myśliciela i wynalazcy - niebieska, czego jajka nie wytrzymały i zaczęły pękać, na końcu zaś, zamiast obiecywanej krwawej czerwieni, zawiedziona publiczność ukazała się w kolorze, cóż tu kryć, sraczkowatym. Co gorsza, wrażenia wizualne były tożsame z walorami zapachowymi. Jajka trzeba było wyrzucić, garnek - po wielu próbach doczyszczczenia - też. Niedzielne śniadanie ograniczyło się do tradycyjnych kanapek. Do prac nad cudownym proszkiem wuj Franek na razie nie wrócił.

Także podczas pierwszej próby odpadł kolejny wynalazek wuja - Ułatwiacz w Poszukiwaniu Kluczy oraz Innych Rzeczy. Z grubsza rzecz biorąc, idea polegała na przyczepieniu ułatwiacza do kluczy tudzież innej rzeczy mającej tendencję do gubienia się. Owszem, nie da się ukryć, że znacząco zwiększało to wagę kluczy tudzież innych rzeczy, pierwszy model ułatwiacza ważył jakieś dwieście pięćdziesiąt gramów. Następny nie powstał. Z drugiej jednak strony, o ileż lżej na duszy było człowiekowi ze świadomością, że w razie jakby co, to z łatwością znajdzie zagubiony przedmiot.

Wystarczyło głośno krzyknąć: „Klucze!”, a czujnik umieszczony w ułatwiaczu wysyłał charakterystyczny pisk i - zgodnie z założeniami wuja - tu powinien nastąpić szczęśliwy koniec poszukiwań. Może i nie był to przełomowy wynalazek w historii ludzkości, ale ułatwić życie z pewnością mógł.

- Interesuje mnie prosty człowiek. Ja się tam nie będę ścigał z profesorami - tłumaczył wuj przed eksperymentalnym testem ułatwiacza.

Sam schował klucze i nakazał rozpoczęcie poszukiwań. Szukano zarówno za pomocą urządzenia, wykrzykując słowo „klucze” po całym domu, jak i bardziej konserwatywnych metod. Klucze wcięło; co gorsza, wcięło także butę i arogancję wynalazcy i myśliciela, który ze skruchą przyznał, że zapomniał, gdzie je schował.

- Tak byłem zafascynowany ułatwiaczem, że gdzieś je wsadziłem, ale ni cholery nie pamiętam gdzie - tłumaczył coraz bardziej zdenerwowanemu Piotrowi.

- No, a ten cholerny wynalazek? Czemu on milczy?! - pytał gorączkowo Piotr, prawowity właściciel kompletu kluczy, który właśnie się był zapodział.

- Nie wiem, Piotrek, nie wiem_ W warsztacie działał bez zarzutów - tyle miał do powiedzenia wielki myśliciel i wynalazca.

- Te wynalazki nie ułatwiają życia, tylko je komplikują. Największym ułatwieniem byłoby zaprzestanie kariery odkrywcy - dogryzał Piotr.

- Jakbyś był taki wygadany, to przynajmniej raz byś mnie w quizie rodzinnym ograł. - Wuj Franciszek jak zawsze w krytycznych momentach sięgał po niezawodnego jokera i dyskusja się kończyła.

Klucze znalazły się po trzech dniach w kuwecie dla kota.

- Aha, już wiem, gdzie tkwił błąd. Po prostu za słabe baterie... Taaak, za słabe baterie dałem - tłumaczył klęskę wuj Franciszek, ale nikt go specjalnie nie słuchał.

Postanowił więc ratować autorytet wynalazcy i myśliciela, proponując wkładanie kompletu nowych baterii na chwilę przed zgubieniem kluczy tudzież innej rzeczy, jednak Piotr - nie wiedząc czemu - ideę wyśmiał. Tym samym kariera ułatwacza utknęła w martwym punkcie.

I już wtedy wuj obiecał sobie, a przede wszystkim rodzinie, że nigdy nikomu nie zaprezentuje kolejnych wynalazków.

- Łaski bez. Nie chcecie, to nie! - dąsał się, stwierdziwszy, że od teraz będzie wynalazcą egoistą. - Sam sobie będę wymyślał różne cudeńka, sam z nich będę korzystał, a wy będziecie się męczyć jak cholera! - groził, ale adresaci tych gróźb, czyli reszta rodziny, przyjmowali słowa wynalazcy z angielskim dystansem, by nie rzec, z totalną obojętnością.

Niestety, błysk geniuszu wynalazczości do tego stopnia oświecił zakamarki umysłu wuja, że postanowił raz jeszcze spróbować. Oto wpadł na szatański pomysł radia, które energię czerpie z siły tarcia, jakie wytwarza się między butem a podłożem podczas chodzenia. Mówiąc zaś językiem w pełni zrozumiałym nawet dla laika, który w strzelistych teoriach wuja pogubił się już dawno, chodziło z grubsza o to, że małe radyjko zadziała tylko wtedy, kiedy odbiorca będzie poruszał się z odpowiednią prędkością.

- To jest dopiero genialna myśl - chełpił się wuj. - Setki, tysiące spacerowiczów, biegaczy czy narciarzy, korzystających z energii, jaką sami sobie wytworzą!

Pomysł wydawał się na tyle frapujący, że Grażyna dała się jeszcze raz przekabacić i poświęciła na rzecz nauki stare adidasy, w których wuj zamontował skomplikowany system elektrycznych przewodów.

- A teraz, Grażynka, zacznij chodzić i mów, czy radio działa - zaapelował wuj.

Ba! Czego się nie robi dla nauki i nowatorskich idei. Grażyna zrobiła kilka okrążeń dookoła domu. Bez najmniejszego efektu.

- Po twardym idź! Na miękkim nie zadziała! Po trawie i po piachu nie ma sensu, za małe tarcie... Tylko po twardym można chodzić, jak się chce radia posłuchać - komenderował wuj niepomny istnienia milionów odtwarzaczy CD, MP3, walkmanów, telefonów komórkowych z funkcją odtwarzania muzyki czy staroświeckich odbiorników tranzystorowych na baterie. Jego radyjko milczało z sadyistyczną niemalże satysfakcją.

Wuj nie ustawał w dobrych radach i poleceniach.

- Za wolno! Zdecydowanie za wolnooooo! Podbiegnij trochę, do cholery, podbiegniiiij! - darł się na pół osiedla.

A że drącemu się wujowi odmówić nie sposób, Grażyna przypomniała sobie zajęcia z WF-u (na ostatnich była jakieś dwadzieścia lat wcześniej) i sympatyczny spacer z radiem przeistoczył się w solidną przebieżkę.

- Szybciej! Szybciej! To ma być bieg! Kolana wyżej! Grażynka, kolana wyżej i dynamika! Cały czas pamiętaj o dynamice! - Wuj Franciszek z kolei z wynalazcy przeistoczył się w trenera lekkiej atletyki ze skłonnościami despotycznymi.

Ale było warto, bo pod koniec piątego okrążenia radyjko zaczęło grać.

- A nie mówiłem?! Nie mówiłem?! Musi działać! - Jako wynalazca wuj triumfował na całej linii, ale o obowiązkach trenerskich nie zapominał nawet przez moment. - Nie zwalniam, Grażynka! Błagam cię, tylko nie zwalniam! Wytrzymaj chociaż do serwisu o pełnej godzinie, zostało jakieś szesnaście, może szesnaście i pół minuty biegu! Nie dość, że sobie polatasz na świeżym powietrzu, to jeszcze radia posłuchasz - argumentował logicznie.

Ale Grażyna sportsmenką była lichą, bo po dwóch kolejnych rundach ewidentnie straciła tempo, radyjko zaskrzeczało i po chwili zamilkło na dobre.

- Eeee, z wami to taka robota! Człowiek wymyśla genialną rzecz, to się wam pobiegać nawet nie chce. Dla dobra planety nie chcecie się poświęcić - pomstował wuj.

Zdyszana Grażyna nie była w stanie wydusić słowa, w obronę wziął ją Piotr.

- Przecież to jest wynalazek dla maratończyków. Niby komu by się chciało ganiać półtora kilometra tylko po to, żeby sobie głupiej prognozy pogody posłuchać?

W odpowiedzi wielki wynalazca jedynie machnął ręką i nawet nie wykorzystując jednej ze swych genialnych maksym kończących triumfalnie wszystkie spory, zamknął się w warsztacie, gdzie zaczął pisać list do Federacji Biegów Maratońskich z ofertą radia zasilanego nogami uczestników biegu. Do tej pory Federacja milczy, a i sam autor rewolucyjnej koncepcji samonapędzającego się radia nie porusza.

Nie tylko zresztą o tym odkryciu rozmów było mniej, w ogóle od pewnego czasu wynalazki wuja były tematem tabu. W zaciszu swego warsztatu doszedł on do wniosku, że za bardzo się rozdrabnia, że myśli o pierdołach, i postanowił zmienić taktykę - wymyśli raz, a dobrze. Wynalazek ma być na tyle przełomowy, na tyle oryginalny i odkrywczy, aby wuj zgodnie został uznany za niepospolity fenomen. No i jeszcze na owym wynalazku powinno się móc godziwie zarobić.

- Tak, tak, śmiecie się, śmiecie! To będzie taki dochodowy wynalazek, że będziecie sobie banknotami lufciki uszczelniać! - Nie raz i nie dwa roztaczał przed rodziną bajkowe niemal miraże w kwestiach bardzo przyziemnych.

Temat w rodzinnych dysputach powracał rzadko, jeśli już, to za sprawą Piotra, który po którymś przegranym quizie potrafił spytać, kiedy pojawi się kategoria „nieudane wynalazki”. Z lekka pąsowy na twarzy wuj odpowiadał szorstko, że to on ustala tematy kategorii i na razie nie ma takich planów.

- Śmiecie się, śmiecie, ale jeszcze będziecie banknotami lufciki uszczelniać!

- Może po prostu wystarczyłoby wymienić lufciki na szczelne.... - śmiała się Grażynka, która po biegu z samonapędzającym się radiem absolutnie straciła wiarę w talenty brata. Więcej, o ile do tej pory miała go za poczciwego, naiwnego idealistę, o tyle teraz jawił się jej jako niebezpieczny i nieobliczalny szajbus, który na potrzeby wynalazku gotów spalić dom, jeśli tylko będzie potrzebował kilku kilogramów popiołu.

Wujowi zdarzyło się raz czy dwa napomknąć, że już wkrótce zaprezentuje wszelkiej maści niedowiarkom wynalazek pod każdym względem przełomowy, ale to „wkrótce” najpierw trwało rok, później półtora, wreszcie trzy lata i temat wynalazków samoistnie umarł. Nawet Hania i Michaś przestali dopytywać, kiedy będą mogli pozwiedzać warsztat wuja, bo i oni, jako bystre sześciolatki, świetnie wyczuwali, że moment prezentacji „przełomowego pod każdym względem” wynalazku nigdy nie nadejdzie. Nigdy też nie dojdzie do spełnienia obietnicy o banknotach uszczelniających lufciki, co dzieciakom akurat nie robiło żadnej różnicy, bo ani lufciki, ani banknoty nie są dla sześciolatków wielką atrakcją. Dla Hani i Michasia wujo i tak był ulubieńcem, bo co tydzień zapraszał ich do quizu, gdzie jak równy z równym rywalizowali z dorosłymi. I już choćby z tej przyczyny niedzielne quizy były jedną z ulubionych gier

dzieciaków.

Ulubionym grom Hani i Michasia warto poświęcić garść akapitów, bo to zagadnienie wymagające wielu wyjaśnień. Przede wszystkim - wyjaśnienie pierwsze - jeśli masz sześć lat, to twoją ulubioną grą jest każda, pod warunkiem że zechce w nią zagrać z tobą jakiś dorosły. Sześćcioletnie ego po prostu uwielbia, podkreślmy to - uwielbia do szaleństwa - kiedy dorosły siada naprzeciwko, obowiązują go te same zasady, a jego los zależy od tej samej kostki.

Z tym że - wyjaśnienie drugie - owo uwielbienie może błyskawicznie przeistoczyć się w bezdenną rozpacz, kiedy dorosły wygrywa, a tak najczęściej się zdarza. Zaś najgorszy wariant - wyjaśnienie trzecie - kiedy sześćcioletni berbecz wygrywa, bo mu się dorosły podłożył. Czyli - wyjaśnienie czwarte - sytuację należy zakwalifikować do tych z rodziny patowych. Najlepiej, ale zarazem najgorzej, gra się z dorosłymi - albo leją sześćcioletnich rywali bez litości, albo nie traktują ich poważnie i dają olbrzymie fory.

Hania i Michaś na fory mogli liczyć jedynie ze strony rodziców - dlatego wspólnymi siłami udało im się czasem ograć Grażynę w warcaby, ewentualnie Piotra w memory tudzież chińczyka. Z babką Wiktoria nie było tematu - czy się babka podkładała, czy robiła frajerskie ruchy, i tak zawsze wygrywała w domino. Innych gier nie uznawała, czemu trudno się dziwić, bo jak ktoś jest hegemonem domina na skalę światową, to trudno, aby go rajcowały cymbergaj czy remik.

Zupełnie dramatycznie przedstawiała się sytuacja Hani i Michasia w rodzinnych quizach wuja Franciszka. Ten w ogóle nie znał pojęcia „taryfa ulgowa” i zdarzało się, że sześćcioletnia Hania dostawała pytanie o czas panowania dynastii Andegawenów, z kolei Michaś odpadał na Schopenhauerze. Na całe szczęście pierwsza runda składała się z trzech pytań, dopiero po nich można było najprędzej odpaść. Hania i Michaś najpierw trzy razy jako pełnoprawni uczestnicy gry mówili: „Nie wiem”, odpadali z honorem, a potem w roli kibiców przyglądali się, jak wuj Franciszek kosi pozostałych graczy i po raz kolejny triumfuje.

Bliźniaki, rzecz jasna, w tym momencie szczerze nie znosiły wuja, który nie tylko w całkowicie kretyńsko-kabotyński sposób co niedziela zadzierał nosa, ale jeszcze nie chciał zdradzić tajemnic warsztatu. Niemniej i Hania, i Michaś byliby śmiertelnie obrażeni, gdyby ich w kolejną niedzielę do udziału w quizie nie zaproszono. Przecież to było nie byle jakie wydarzenie, kiedy wuj Franciszek tubalnym głosem anonsował:

- A teraz pierwsze pytanie w pierwszej rundzie dla zawodniczki Hani. Czy jest pani gotowa?

Hania kiwała głową, z sześćcioletnią powagą i zadumą wysłuchiwała pytania, a po sekundzie rozpaczliwie szukała pomocy u rodziców, ale wuj Franciszek błyskawicznie przywoływał porządek:

- Nie wolno w trakcie udzielania odpowiedzi szukać pomocy u innych graczy! Mogę zaraz ukarać ujemnymi punktami! - grzmiał tęgim basem i całym autorytetem sędziego głównego zawodów.

Nawiasem mówiąc, ujemne punkty to dla Hani i Michasia była, jak na razie, jedyna szansa na jakiegokolwiek punkty, bo o poprawnych odpowiedziach nie było mowy. Tu serce matki kazało Grażynie zaprotestować, że to raczej głupia fanaberia, aby od brzdąca wymagać umiejętności pierwiastkowania ułamków albo znajomości średniowiecznych obrządków religijnych.

- Jak podrosną i w końcu wygrają, to się będą bardziej cieszyć ze zwycięstwa! - bezlitośnie argumentował wuj Franciszek. - Poza tym jeśli nie chcą, to niech nie grają!

A jako się rzekło, odsunięcie dwójki juniorów od rodzinnych quizów byłoby straszną karą i zupełnie pozbawioną podstaw represją. Zwłaszcza że dzieciaki sporo z tych quizów

rodziny przynosiły na grunt czysto przyziemnego życia. Kiedy w przedszkolu kolega Antoni zabrał Hani czerwoną lalkę, bo kogoś w tym kolorze brakowało mu do skompletowania pełnej ekipy wozu strażackiego, Michaś darł się na pół przedszkola:

- Nie wolno zabierać zabawek innym zawodnikom! Zaraz mogę ukarać ujemnymi punktami! - I zabawka z rąk sześciolatniego grabieżcy Antoniego natychmiast wracała do prawowitej właścicielki. Złowrogi termin „punkty ujemne” robił w grupie Hani i Michasia zawrotną karierę. Nie tylko dzieci, ale i wychowawczynie używała, a wręcz nadużywała go jako niezwykle skutecznego straszaka. Gdyby tylko widział to wuj Franciszek, pękałby z dumy nie mniej niż po kolejnym niedzielnym triumfie.

Sformułowanie „punkty ujemne” stało się na tyle popularne, że wychowawczynie poprosiła bliźniaki, aby wytłumaczyły reszcie grupy, co oznacza i skąd się wzięło. No i powstał problem, bo ani Hania, ani

Michaś zupełnie nie mieli pojęcia, co to są te cholerne punkty ujemne. Wiedzieli jedynie, że to coś potwornie złego, ale o szczegóły to już trzeba by pytać wuja Franciszka, który edukację przedszkolną skończył, bagatela, jakieś czterdzieści pięć lat temu. Zatem opiekunka, czując nagły przypływ pedagogicznej weny, zbesztła w najlepsze rodzeństwo.

- Nieładnie! Bardzo nieładnie używać słów, których znaczenia się nie rozumie! Bardzo proszę, aby tego więcej nie robić! - stwierdziła z pełnej wysokości wychowawczego piedestału.

Bliźniakom groziła totalna kompromitacja, bo reszta grupy przez co najmniej miesiąc szydziłaby z punktów ujemnych. Trzeba było ratować twarz, w czym znowu niezastąpiony okazał się wuj Franciszek ze swoimi chwytami retorycznymi.

- Niech pani w niedzielę będzie taka wygadana, to wtedy będziemy mogli sobie pogadać jak równy z równym! - wypalił Michaś, a przysłuchującym się dyskusji dzieciakom z zachwytem aż szczęki opadły. Honor rodziny powiedzonek wuja Franciszka został brawurowo ocalony i Hania z Michasiem dalej bezkarnie szafowali punktami ujemnymi.

Zdarzało się też, że bliźniaki rywalizowały bezpośrednio ze sobą, co - przynajmniej do pewnego czasu - najbardziej cieszyło dorosłych. Niestety, tak to już ktoś odgórnie ustalił, że na końcu rywalizacji musi zostać wyłoniony zwycięzca, musi też być pokonany. I to ustalenie podobało się znacznie mniej, zarówno bliźniakom, jak i dorosłym.

Jeśli bowiem był dzień zgody - cierpiał zwycięzca; jeśli był dzień konfliktu - przegrany nie wytrzymywał presji, przechodził do kontrnatarcia i zaczynało się wielkie szarpanie za kudły. Śmiało można zaryzykować twierdzenie, że w cokolwiek Hania z Michasiem zaczęli grać, i tak zawsze kończyło się wolnoamerykańką z elementami walk w stylu K 1. Remisy nie zdarzały się prawie wcale, bo trudno zremisować w chińczyka albo warcaby.

- Bardzo dobrze, niech walczą! Będą miały charakter! - tonem amerykańskiego menedżera zawodowych walk bokserskich komentował zmagania bliźniaków wuj Franciszek, ale Grażyny nijak to nie przekonywało.

Kończyło się na tym, że ostatecznie to ona przyznawała swoje punkty ujemne, a kiedy darcie kotów było wyjątkowo agresywne, to swoje dokładał i Piotr.

- Też się z tobą w dzieciństwie za kudły, siostra, szarpałem, i stało się coś? Na porządnym ludzi wyrosliśmy... znaczy się ja na porządniejszego, bo zawsze z tobą w quizie rodzinnym wygram, jak ze wszystkimi zresztą - oceniał całe zajście wuj Franciszek, a Grażyna wiele by w takich momentach dała, aby lata dziecięce choć na kilka minut wróciły. Na obecną bowiem chwilę ani szarpać brata nie wypadało, ani też - po prawdzie - za bardzo nie było za co, bo jeśli by w Sevres pod Paryżem postanowiono ustawić wzorzec łysiny idealnej, to jego głowa byłaby murowanym faworytem.

Pozostawały więc potyczki słowne, które nie miały najmniejszego sensu. Jakikolwiek

argumenty by padły, czegokolwiek dotyczyłaby dyskusja, i tak do wuja Franciszka, mistrza ciętej riposty, należało ostatnie zdanie.

- Ty w niedzielę bądź taka wygadana, to sobie pogadamy jak równy z równym - rzucił dumnie swoją prawdę objawioną i zamykał się w warsztacie. A ponieważ nikogo tam nie wpuszczał, możliwości wzięcia odwetu były znikome, żeby nie powiedzieć - żadne. Nie wiedzieć czemu, ku przerażeniu Grażyny i zdegustowaniu Piotra, bliźniaki uwielbiały wuja Franciszka. I bez mrugnięcia okiem wybaczały mu to, że nie tylko daje im w rodzinnych quizach niesamowicie trudne pytania, ale jeszcze do warsztatu nie wpuszcza.

Nieco inaczej kwestia ulubionych gier wyglądała w przypadku Grażyny i Piotra. Nie tyle ulubiona, ile w zasadzie jedyna, jaką się zajmowali, miała przerażająco długą nazwę: „Żeby było normalnie, a w dodatku jeszcze sympatycznie”. To strategiczna gra wymagająca od uczestników nie lada konsekwencji, uporów, cierpliwości oraz sporej elastyczności, bowiem jej reguły zmieniały się niemal każdego dnia i trzeba było umieć szybko się dostosowywać.

Gra składała się z nieskończenie wielu etapów o zróżnicowanych stopniach trudności. Z jednej strony frajda, z drugiej perfidia całej zabawy polegała na tym, że w przypadku zawalenia choćby jednego etapu od razu traciło się szansę na zwycięstwo. Nawet jeśli szło o drobiazg - aby nie powiedzieć: o zupełną pierdołę - jeśli etap kończył się porażką, z miejsca przestawało być normalnie, a już poziom sympatyczności automatycznie spadał poniżej zera.

Każdy z etapów miał swoją nazwę i zaledwie pobieżna lektura tychże nazw dawała wyobrażenie o skali przedsięwzięcia: „Znalezienie złotego środka między rozpieszczeniem a twardym wychowaniem Hani i Michasia”, „Splata kredytu i opłacenie rachunków bieżących” (za ten etap odpowiadał Piotr i szczerze go nienawidził), „Prozaiczne roboty domowe” (tu kapitanem drużyny była Grażyna, a do gry na tym poziomie włączała się babka Wiktoria), „Drobne naprawy domowe” (tu niepodzielnie rządził Piotr, nieraz chciał mu pomagać wuj Franciszek, ale od czasu klęski jego wynalazków pozostali gracze nie dopuszczali go do prezentacji osiągnięć w dziedzinie szeroko pojmowanego majsterkowania), „Wspólne posiłki” (tu największym problemem było zgranie się w czasie poszczególnych uczestników) i długo by wymieniać kolejne. Każdy etap to - rzecz jasna - cały szereg podetapów, nieskończenie wiele historii do opowiedzenia, zwycięstw, porażek, wielkich triumfów i sromotnych klęsk.

Weźmy dla przykładu „Znalezienie złotego środka między rozpieszczeniem a twardym wychowaniem Hani i Michasia”. Dla Grażyny i Piotra jeden z najistotniejszych fragmentów gry - nie ma bowiem na świecie bardziej drażniącego typu niż rozpieszczony bachor, który potrafi w niedzielne popołudnie napluć do wazy z gorącym rosołem. No, chyba że mamy do czynienia z niesfornym bachorem o mentalności nadgorliwego kaprała.

Jedynie jajogłowi intelektualiści, twardołębskie omnibusy potrafiłyby się połapać w całym gąszczu przepisów, uregulowań, zasad i prawideł rządzących tym etapem. Od wielu lat działa na świecie specjalna sekta mądrali, która opublikowała tomszcza poradników i podręczników, gdzie na kilku tysiącach stron objaśniają z sekciarskim żarem różnice między rozpieszczeniem a wychowaniem. Podają doskonałe przykłady ilustrujące konkretne zagadnienia, zamieszczają pękate i jednoznaczne tabelki i rysują śliczne, niepozostawiające wątpliwości schematy.

Ale żeby nie było zbyt łatwo - to, co w jednym podręczniku jest podawane jako pewnik i fundament, w drugim uznane jest za totalny idiotyzm i zawracanie głowy. W trzecim nie ma na dany temat ani słowa, a w czwartym autor odważnie przyznaje, że nie ma pojęcia, bo to kwestia indywidualnego przypadku i upodobań potomka.

Grażyna i Piotr na początku tego etapu z debiutancką pasją rzucili się zgłębiać tajemnice poradników, po pół roku dali sobie spokój i zdali się na instynkt. Ba, ale o ile łatwo dać sobie

spokój z podręcznikami, o tyle nie ma mowy, aby bezboleśnie odpuścić sobie Dobrodoradzaczy.

Kiedy pojawia się na świecie małe dziecko, to jak plaga, szarańcza albo inna zaraza nadlatuje groźna, zwarta, bojowa eskadra Dobrodoradzaczy. Bez względu na własne doświadczenia czy osiągnięcia, bez względu na status majątkowy, zawodowy czy społeczny, bez względu na rodzaj hobby czy miejsce zamieszkania - są, psia dupa, wszędzie. Strach wyjść do sklepu, iść na spacer do parku czy wsiąść z dzieckiem do tramwaju. Dobrodoradzacze nie zna określenia „nieodpowiednie miejsce” czy „nieodpowiedni termin”. A o małych dzieciach wie absolutnie wszystko.

No, a jeśli ktoś wie, to nie po to, aby ową skarbnicę wszechwiedzy zamknąć na cztery spusty; żaden Dobrodoradzacze nie jest sobkiem i psem ogrodnika - on po prostu musi pomóc. To znaczy... on się musi wypowiedzieć. Po prostu ten typ tak ma. Złe ułożenie lewego łokcia przy zmianie pieluchy („A chcesz, żeby dziecko miało odparzenia?”, „A czy zdajesz sobie, matole, sprawę, że trzymając tak lewy łokieć przy zmianie pieluchy, narażasz swoje dziecko na nieodwracalne zwyrodnienia bioder?!”), nieskoordynowana praca kolan przy pchaniu wózka („A chcesz, żeby twoje dziecko miało zakłócony rytm spaceru? Czytałem ostatnio raport amerykańskich naukowców, którzy twierdzą, że zakłócony rytm spaceru w pierwszych miesiącach życia dziecka znacznie obniża szanse na sukces życiowy, grozi, że dziecko zostanie introwertykiem, będzie mieć skłonności samobójcze, palić fajki, pić wódkę i onanizować się do czterdziestego roku życia! Czytałem, więc wiem!”), za dużo pudru pod pieluszkę („A chcesz, żeby dostało wysypki?”), za mało pudru pod pieluszkę („A chcesz, żeby dostało wysypki?”), idealna ilość pudru pod pieluszkę („Nooo, żeby to się jakąś wysypką nie skończyło... Czy to aby na pewno zdrowa zasyпка jest? Czy ma wszelkie atesty i błogosławieństwo Światowej Organizacji Zdrowia?”) - oni to wszystko widzą i wiedzą, oni nie mogą milczeć, kiedy rodzic nie zachowuje równowagi między rozpieszczeniem a twardym wychowaniem.

W dodatku tych rad nie można nie słuchać czy zlekceważyć. Dobrodoradzaczom trzeba przyklasnąć, okazać szeroko rozumianą wdzięczność, a wytwory ich dobrodoradzających umysłów bezzwłocznie wprowadzać w życie. Nie po to Dobrodoradzacze błyszczy geniuszem, aby sobie jego geniusz wrzucać do lewej skarpety. Jakakolwiek próba polemiki, najdelikatniej wyrażone powątpiewanie z miejsca spotyka się z kontranegdotą, bo każdy Dobrodoradzacze to przy okazji Arcymistrz Okazyjnej Anegdoty.

Kiedy rodzic nieśmiało sugeruje, że trzysta pierwsza rada nie była aż tak doskonała jak trzysta rad udzielonych wcześniej, Dobrodoradzacze z lekka pąsowieje, odchrząkuje znacząco, jeśli ma okulary, to je nerwowo przeciera i startuje z kontranegdotą.

- Pamiętasz Zośkę Kosiorową? No, tę z czwartej klatki spod szesnastki, co się wyprowadziła dwanaście lat temu? Wróć, źle mówię, tę z czwartej klatki spod dwunastki, co się wyprowadziła szesnaście lat temu... Pamiętasz? Właśnie, ona tak samo głupio jak ty się upierała i co? I co? I jej syn od dwóch lat w więzieniu siedzi. I co? Ale rób, jak chcesz, ja ci nie będę doradzał, jak nie chcesz słuchać, to sobie rób po swojemu. Niby co, płacą mi za to doradzanie?! - zapyta retorycznie Dobrodoradzacze, po czym dumny i obrażony będzie siedział przez jakieś trzy minuty, póki nie pojawi się kolejna okazja do udzielenia mistrzowskiej rady.

Przy czym w przypadku Dobrodoradzaczy zachodzi analogiczna sytuacja jak w przypadku autorów podręczników - nie ma absolutnie żadnej szansy, aby jeden Dobrodoradzacze w czymkolwiek zgodził się z drugim. To byłaby plama na honorze. Pojawia się kłopot z tak zwanym bogactwem wyboru - jak z samych genialnych rad, których liczby idą w tysiące, wybrać te rzeczywiście najlepsze?

A teraz proszę sobie wyobrazić, że Piotrowi i Grażynie urodziły się bliźnięta! Od tej radosnej chwili w ich życiu nieustannie szalało tsunami dobrych rad. Wybitni przedstawiciele

klasy Dobrodoradzczy, zawodowa elita, branżowa śmietanka, bezdyskusyjni liderzy po kilkugodzinnym występie live na temat znalezienia złotego środka między rozpieszczeniem a twardym wychowaniem potrafili zostawić jeszcze książkę o podobnej tematyce. Rzecz jasna, rady udzielone osobiście były sprzeczne z tymi zawartymi w podręczniku.

- Może na pierwszy raz zbyt dużo informacji starałem się przekazać - tłumaczy z głupkowskim uśmiechem Dobrodoradzczy - ale tu jest literatura fachowa, która niezbędną wiedzę usystematyzuje, przeczytacie i sobie utrwalicie. Najważniejsze, zapamiętajcie raz, a dobrze, to znaleźć złoty środek między rozpieszczeniem a twardym wychowaniem...

A to jest tylko jeden etap gry „Żeby było normalnie, a w dodatku jeszcze sympatycznie”. Takich etapów było nieskończenie wiele i niemal w każdym pojawiały się elementy wewnętrznie sprzeczne. Chociażby niedzielne quizy wuja Franciszka - autora wszystkich pytań, głównego jurora i odwiecznego zwycięzcy. Warunki tej rywalizacji trudno uznać za w pełni normalne, ale żeby przynajmniej było sympatycznie, to Grażyna i Piotr co tydzień meldowali się na placu rozgrywek. Zdarzyło się - i to nie raz - że Piotra podczas quizu brała jasna cholera. Wtedy przestawało być sympatycznie, za to z powrotem zaczynało być normalnie.

Owszem, można było - co tylko pozornie wydaje się rozwiązaniem najprostszym - zakazać quizów, co zresztą Piotr wielokrotnie postulował. Z pewnością byłoby bardziej normalnie, jednak nie sposób wyobrazić sobie sympatycznego nastroju w obecności obrażonego wuja Franciszka. A obraza byłaby bolesna i długotrwała...

Pod względem zaangażowania i włożonego wysiłku gra „Żeby było normalnie, a jeszcze w dodatku sympatycznie” przypominała zawodowy sport. Trzeba było jej poświęcić kilkanaście godzin dziennie, bez przerwy o niej myśleć i stale kombinować, jak być lepszym. Tylko wtedy można było liczyć na osiągnięcie przyzwoitego poziomu, a w przyszłości - kto wie - może nawet na całkowity sukces.

I takimi właśnie graczami - bez reszty ambitnymi i walecznymi - byli Grażyna i Piotr. Używając mocno wytartej terminologii komentatorów sportowych, Grażyna z Piotrem „od pierwszej do ostatniej minuty meczu harowali na całej długości boiska” i dzięki sporemu już doświadczeniu „zdecydowanie wybijali się z ligowej szarżyny”. Znacząco zawyżali poziom rozgrywek krajowych, a i w europejskich pucharach wstydu by nie przynieśli.

Na drodze do osiągnięcia absolutnego mistrzostwa stały dwie główne przeszkody - czas i pieniądze. Ktokolwiek próbował pograć w „Żeby było normalnie, a jeszcze w dodatku sympatycznie”, doskonale wie, że te przeszkody zazwyczaj stoją na przeszkodzie i są raczej nie do przejścia. Ba! Osiągnięcie już elementarnych umiejętności pozwalających jedynie spokojnie przetrwać świadczyło o sporej klasie gracza. Jakkolwiek zawodnik kombinował, jakimikolwiek błyskotliwymi pomysłami taktycznymi sypał, to albo brakowało czasu, albo forsy, aby te śmiałe koncepcje zrealizować.

- Za dużo pracujesz, Piotrek, za dużo! - grzmiał nieraz barytonem wuj Franciszek. - Nie pracuj tyle, poczytaj więcej, to może w niedzielę w quizie ze mną wygrasz.

Hania z Michasiem też narzekali, że tata albo jest w pracy, albo nie ma czasu na zabawę, a jak już da się wciągnąć, jak zabawa wreszcie się rozkręca, to od razu trzeba kończyć, bo albo tata idzie do roboty, albo każe kłaść się spać.

Podobnie było z mamą - niby cały dzień w domu, ale żeby non stop ścigać się samochodami, czytać książki tudzież na scenie Za Tapczanem wystawiać awangardową wersję *Kopciuszka*, to raczej nie było mowy. Tu wybór był jednoznaczny i brutalny - albo awangardowe przedstawienie *Kopciuszka*, które z przygotowaniem rekwizytów, próbą czytana, generalną i pokazem premierowym zajmowało bite pięć godzin, albo obiad i pranie. I kryzys gotowy. I kolejny etap „Żeby było normalnie, a jeszcze w dodatku sympatycznie” niezaliczony. Cóż z tego,

że z przyczyn obiektywnych - porażka zawsze boli, tych ambitnych najbardziej.

Do wyjaśnienia pozostaje jedna kwestia - a niby po jaką cholere tak się męczyć i do upadłego walczyć w dyscyplinie, w której ani specjalnej sławy zyskać nie można, ani na olimpiadzie czy mundialu błysnąć?

O krociowych zarobkach nawet nie wypada wspominać, bo do tej gry trzeba jedynie dokładać. Grażyna i Piotr byli już na takim etapie zaawansowania, że nie umieli ot tak, wprost, w dwóch zdaniach, powyższej kwestii wyjaśnić. Po prostu wiedzieli, że warto. Większość tych, którzy spróbowali naparzać w „Żeby było normalnie, a jeszcze w dodatku sympatycznie”, wie, że satysfakcja jest nie do opisanania. No i jeszcze jeden, kluczowy chyba argument - ta wieloetapowa, strategiczna gra wciąga jak akwariowa pirania rozwielitki...

W niedzielę koło południa rodzina zastygła - najpierw w cierpliwym oczekiwaniu, potem w bezbrzeżnym przerażeniu. Wuj Franciszek bez podania przyczyny, bez słowa usprawiedliwienia nie zorganizował rodzinnego quizu. To mniej więcej tak, jakby w Krakowie hejnalista zapomniał melodii, a w Poznaniu koziołki zapomniały się tryknąć.

Początkowo nikt nie brał takiej ewentualności pod uwagę, jeszcze parę minut po trzynastej Piotr, zerkając w stronę warsztatu, śmiał się szyderczo:

- Zobaczycie! Franek takie pytania szykuje na dzisiaj, że nawet stęknąć nie będziemy potrafili...

Dla Hani, Michasia i babki Wiktorii to akurat nie była żadna pogróżka, bo ich udział w quizach najczęściej właśnie do trzech stęknąć się ograniczał. Ale sam fakt nieodbycia się quizu? Rzecz absolutnie nie do pomyślenia! Powiedzieć: „Rewolucja”, to właściwie nic nie powiedzieć. Jakże to tak - w niedzielę bez quizu? Bez punktów ujemnych? Bez dogadywanek między wujem Franciszkiem a Piotrem? A niby o czym jutro Hania z Michasiem będą w przedszkolu opowiadać?

Po chwili Grażyna straciła spokój, bo - po pierwsze - nigdy by jej do głowy nie przyszło, że brat może z własnej woli ze zwycięstwa w quizie zrezygnować (szanse innych były, oględnie rzecz ujmując, iluzoryczne), po drugie zaś, brak niedzielnego quizu znacząco utrudniał grę „Żeby było normalnie, a jeszcze w dodatku sympatycznie”. Nawet nie tyle utrudniał, co wręcz uniemożliwiał - brak niedzielnego quizu z pewnością nie był normalny, a już w zupełnie katastrofalny sposób wpływał na atmosferę.

- Gdzie by tam Franek odpuścił okazję, żeby się trochę powymądrzać - silił się na dowcip Piotr, ale robił to tak nieudolnie, że tylko pogarszał sprawę.

Kilka minut po czternastej Grażyna odważyła się i zapukała do drzwi warsztatu.

- Franek, bo nie wiem, czy mamy czekać na quiz, czy już obiad podawać?

Nawet Hania i Michaś zamilkli, aby wysłuchać odpowiedzi wuja.

- Dziś quizu nie będzie! - Komunikat zza drzwi był jasny i nie pozostawiał złudzeń.

- Ale dlaczego? Wszyscy przecież czekamy! I to przygotowani! - prychnął Piotr.

- Ty w niedzielę podczas quizu... - tu wuj Franek raptownie przerwał, bo akurat w tym momencie jego koronny argument był troszeczkę nie na miejscu.

- A obiad chociaż zjesz z nami?

- Może później, teraz nie mam czasu! - Z tonu głosu jednoznacznie wynikało, żeby dać wujowi święty spokój.

- To poczekamy. Kiedy będziesz miał czas? - ciągnęła Grażynka.

- Nie czekajcie. Ja zjem wieczorem, po prezentacji przełomowego wynalazku - wuj w końcu odkrył karty.

Jedyny sensowny powód w pełni usprawiedliwiający brak niedzielnego quizu - nowy wynalazek. Wuj Franciszek najwidoczniej po raz kolejny złamał obietnicę i - będąc pewnym

sukcesu - postanowił zaprezentować wytwór swojej niczym nieskrępowanej wyobraźni. Rzecz zapowiadała się o tyle ciekawie, że wuj wielokrotnie wspominał o odkryciu bez mała epokowym.

- Aż strach pomyśleć, co ten szajbus tym razem wykombinuje! Jak quizu nie zrobił, to na pewno nie skończy się na ułatwiaczu czy samonapędzającym radjku - westchnął Piotr, a Grażyna, choć skarciła męża za użycie słowa „szajbus” przy dzieciach, w duchu podzielała jego obawy. Zbyt tajemniczy w ostatnich dniach był wujo Franek, zbyt łatwo dziś quiz odpuścił, aby cała historia mogła skończyć się jedynie sympatyczną anegdotką opowiadaną przy stole o tym, jak to kolejna próba rzucenia świata na kolana skończyła się totalną klapą.

Pozostało jedynie czekać do wieczora i trzymać kciuki, aby się wujo w zaciszu warsztatu nie klonował. Jeden szalony ekscentryczny wynalazca w domu zdecydowanie wystarczy. Zwłaszcza że mówimy o domu, w którym gospodarze namiętnie grywali w „Żeby było normalnie, a jeszcze w dodatku sympatycznie”.

Kilka minut po dwudziestej, kiedy rodzina w miarę płynnie przeszła z fazy oczekiwania, nadziei, podenerwowania, znużenia, do fazy apatii i zniechęcenia, drzwi od warsztatu otworzyły się z hukiem. Do salonu wjechało coś na kształt trumny - prostokątna drewniana skrzynka, którą popychał na wózku wuj Franciszek.

Mimo wyraźnych śladów zmęczenia uśmiechał się tak szeroko, że gdyby nie uszy, to kącikami ust zahaczałby o futrynę.

- Widzieliście? Widzieliście takie чудо?! To się dopiero nazywa wynalazek, to się dopiero nazywa wyobraźnia! Po prostu majstersztyk! - wydzierał się na całe gardło, przypominając w swoim zapale dziarskiego akwizytora płynu do czyszczenia paneli podłogowych.

- No co, trumna jak trumna. - Piotr łaskawie podniósł wzrok znad książki, w żaden sposób nie dzielając euforycznego nastroju wynalazcy.

- Bzdury, Piotrek, opowiadasz! Jaka trumna? Tylko człowiek ubogi intelektualnie, pozbawiony szerokich horyzontów myślowych może sobie pomyśleć, że to jest trumna... Komu jeszcze wydaje się, że to trumna? - spytał ostro wuj Franciszek.

- Mnie, ale ja zawsze miałam wąskie horyzonty - zgłosiła się Grażyna.

- Mnie też, ale w moim wieku wszystko kojarzy się z trumną - sarkastycznie dodała babka Wiktoria.

Zrezygnowany wuj Franciszek machnął ręką.

- Jaki fajny garaż! - wykrzyknął Michaś.

- No, jeden przynajmniej w tym domu myśli!... To znaczy jeden oprócz mnie - poprawił się szybko wuj Franek.

- Garaż zupełnie jak trumna! - dokończył Michaś i wuj z lekka poczerwieniał. Nie tak wyobrażał sobie początek prezentacji wielkiego wynalazku. Nie tak miała wyglądać przełomowa chwila w jego życiu i - cóż tu kryć - w historii gatunku homo sapiens.

- Mamo! Mamo! A wujek Franek zbudował trumnę dla lalek! Ja się w to nie będę bawić, nie ma głupich! - Pierwsze wrażenia estetyczne Hani też były dalekie od oczekiwań konstruktora.

Reakcje audytorium kazały mu zejść z poziomu samozachwyty, ograniczyć triumfalne tony i spokojnie przystąpić do niezbędnych objaśnień.

- Może rzeczywiście pod względem kształtu wynalazek nie kojarzy się najlepiej - przyznał samokrytycznie wujo Franek. - Ale kształt nie ma tu absolutnie nic do rzeczy. Fason pudła będziemy sobie mogli dowolnie modyfikować. Chodzi o ideę! Chodzi o pomysł! - Wuj już w drugim zdaniu zrezygnował z dystansu i samokrytyki na rzecz radosnego patosu. Widać tak to sobie obmyślił i nawet zniechęcone miny publiczności nie były go w stanie wybić z uderzenia. - Idea jest nie tylko wielka, ale i piękna! Cieszcie się, że zobaczycie to jako pierwsi!

Zamiast oczekiwanych aplauzów i frenetycznych owacji na twarzach słuchaczy malowały się albo pełne delikatnego politowania uśmiechy, albo - zwłaszcza u Piotra - z trudem skrywana irytacja. Że też kapryśny los skazał go na szwagra wynalazcę! To już mniej drażniący był Franek jako autor quizów. Teraz wjechał do salonu z czterema zbitymi deskami i chce naprawiać świat. Naprawdę, lepiej już odbębnić półgodzinny quiz i mieć spokój do końca dnia. Quiz po prostu bardziej się kalkuluje, straty są znacznie mniejsze.

- Zaczniemy od kwestii zasadniczej: czego najbardziej brakuje ludziom? - kontynuował przemowę wujo i wzorem doświadczonych retorów spojrzął w oczy słuchaczom. - Proszę, możecie zgadywać! Jak wam się wydaje?

- Franek, do rzeczy, muszę dzieciaki kąpać! - Grażyna nie miała ochoty na zgadywanki.

- W południe był czas na quizy. - Piotr nie bez złośliwej satysfakcji poparł protest małżonki.

- W południe czy pod wieczór, i tak byś przegrał, Piotrek! - Wuj Franek nie mógł pominąć milczeniem jawnej prowokacji, nawet w chwili prezentowania życiowego osiągnięcia. - A więc jeszcze raz: czego dziś najbardziej brakuje ludziom?

- O ile cię znam, odpowiedź brzmi: wynalazków Franka. - Piotr strawestował stary dowcip. Zbyt długo publiczność czekała na przedstawienie, za bardzo była znudzona i rozdrażniona, aby wujo w jednej chwili mógł wzbudzić jakiegokolwiek zainteresowanie. Zwłaszcza że antidotum na wszelakie zmartwienia współczesnego człowieka miały być cztery zbite deski do złudzenia przypominające trumnę.

Wuj Franciszek wyczuł niezbyt korzystną atmosferę i, mając już niewiele do stracenia, ruszył do ostatecznego szturmu.

- Pieniądze i czas! Powtarzam: czas i pieniądze! - zakrzyknął niczym stadionowy zapiewajło kibicowskich przyśpiewek.

- Dobra, Grażynko, bierz dzieciaki do kąpieli, szkoda czasu. Franek tym razem czegoś nie dopracował, może jutro będzie lepiej - kwaśno skomentował te rewelacje Piotr.

Jednak jeszcze bardziej bezlitosną recenzję wystawili Hania z Michasiem, w ogóle nie protestując, że będą akurat w wannie, zamiast patrzeć na narodziny przełomowego wynalazku.

- Stop! Nie teraz! Żadna kąpiel! Nie w tej chwili!

Wuj Franciszek z obłędem w oczach stanął wózkami w drzwiach, skutecznie odcinając pozostałym drogę ucieczki i z lekka błazeńsko pozując na nowego Rejtana, krzyknął ponownie:

- Nikt stąd nie wyjdzie, póki nie skończę! - Ktoś kiedyś słusznie powiedział o nim, że ma mentalność dowódcy oddziału saperów - kto popełnił w jego obecności choćby jeden błąd, ginął na miejscu. W tej chwili wujo bezdyskusyjnie dowodził, że autor owej niepoehlebnej opinii miał świętą rację. - Będę mówił krótko, jasno i na temat! - tym razem przypominał nie tyle dowódcę, ile nadgorliwego kaprala mającego nadzieję na awans i trzydniową przepustkę.

- Na to cały czas liczymy - dyplomatycznie uśmiechnęła się Grażyna.

- Jak powiedziałem przed momentem, dwie najistotniejsze wartości to czas i pieniądze.

Oczywiście, można śmiało dołożyć jeszcze kilka równie ważnych: zdrowie, światopogląd czy nawet rodzinę... Chociaż co do tego ostatniego mam pewne wątpliwości. Nieważne. Skupiłem się na czasie i forsie. Otóż ludziom brakuje albo jednego, albo drugiego... W największym uproszczeniu, dzisiejszy człowiek może albo zaharowywać się na śmierć, rezygnując nawet z krztyny wolnego czasu, albo mieć go mnóstwo, ale i pusty portfel.

- No, to jeszcze teraz posłuchamy wykładu domorosłego socjologa! - wtrącił Piotr załamany głębią wywodów wuja. - Filozofem to ty nigdy nie będziesz, więc zaprezentuj wynalazek i chodźmy wszyscy spać!

- Jeszcze momencik. Rzecz w tym, żeby znaleźć złoty środek między posiadanymi

wolnymi godzinami a poziomem zamożności. Nic prostszego, aby - na przykład - bezrobotny żul sprzedał godzinę swojego czasu prezesowi banku. Doba pierwszego skróci się do 23 godzin, z czego i tak większość czasu spędzi na spaniu i piciu wina, ale za to zysk ze sprzedaży dwudziestej czwartej godziny pozwoli mu kupić lepszy trunek, a nie zwykłego sikacza. Z kolei doba prezesa banku wydłuży się do 25 godzin. A wiadomo, że finansowego ciężaru kupna dodatkowej godziny taki krezus jak prezes banku nawet nie poczuje. Genialne? Nie mówiłem, że genialne?! Proste, owszem, banalnie proste, ale najgenialniejsze zawsze jest najprostsze! - Wujko wpadł w nastrój historyczno-euforyczny.

Publiczność jednak ciągle nie podzielała entuzjazmu wynalazcy.

- Jeszcze nie rozumiecie?! Owszem, trzeba to sensownie wykombinować, dopracować szczegóły, ile by taka godzina miała kosztować, ile byśmy mogli brać za pośrednictwo, ale to jest pomysł wart każdych pieniędzy. Lada moment będziecie sobie banknotami uszczelniać lufciki! - unosił się w swoich wizjach wuj Franek. - Aha, zapomniałbym o najważniejszym - z czułością popatrzył na drewnianą skrzynkę, którą przytaszczył do salonu. - To jest nasz klucz do sukcesu, to jest nasze prywatne perpetuum mobile. Przez wzgląd na doniosłość chwili wybaczę wam, że porównaliście ten cud do trumny. Oto nadszedł wielki czas prezentacji wynalazku!

Wujko Franek przystąpił do objaśnień dotyczących działania skrzyni. Z jednej strony, wedle jego zapewnień, miał wchodzić sprzedający swój czas, z drugiej kupujący. Po mniej więcej trzech minutach doba pierwszego miała liczyć 23 godziny, a doba drugiego 24 godziny i 57 minut, bo czas trwania operacji brał na siebie kupujący.

- To wszystko! Już! Genialne! Mówiłem, że wymyślę raz, a dobrze! - grzmiał wuj Franciszek.

W salonie rozległ się dziki śmiech. Piotr padł na podłogę i zanosił się huraganowym rechotem. Grażyna z trudem łapała powietrze między kolejnymi skurczami przepony, babka Wiktoria jednocześnie śmiała się i płakała, nawet Hania i Michaś, choć nie wiedzieli za bardzo, o co chodzi, też chichrali się na całego.

- A to wynalazek! A to przełom dopiero! Franek pobił Einsteina i będzie czasem handlował - ryczał Piotr i z każdym następnym zdaniem zanosił się coraz większym śmiechem.

- Przychodzi zapracowany stolarz do Franka i mówi: „Poproszę 48 godzin wolnego czasu, bo chcę sobie zrobić długi weekend!” - kpiła Grażyna.

Wujko Franek z godną podziwu obojętnością wysłuchał wszystkich dowcipów i komentarzy, z tych bardziej celnych sam się zdrowo obśmiał. Kiedy jednak zrobiło się trochę ciszej, ponownie dorwał się do głosu:

- To co, skoro nastroje takie rozkoszne, to może spróbujemy? Kto odważny?

Grażyna z Piotrem, którym wróciły dobre humory, ba!, którzy byli w szampańskich wręcz nastrojach, chcąc, aby ta cudownie zmarnowana niedziela trwała jak najdłużej, bez specjalnego namawiania weszli do skrzyni, każde z innej strony. Po trzech minutach cudownie zmarnowana niedziela Grażyny trwała 23 godziny, Piotr zaś mógł marnować swój dzień przez 24 godziny i 57 minut. Rechot ustał błyskawicznie.

- O kurwa! - Piotr zapomniał o obecności Hani i Michasia.

Wuj Franek ze słabo skrywaną wyższością popatrzył na domowników, lekko się uklonił i ruszył do warsztatu.

- No, to za tydzień dwie serie quizu. Druga przełożona z dzisiaj - rzucił na pożegnanie pozornie obojętnym tonem.

Następnego dnia, w poniedziałkowy wieczór już po uspieniu Hani i Michasia, dorośli siedli przy kuchennym stole. Największy dystans wobec całej sprawy zachowała babka Wiktoria. Jej zdaniem pomysł handlu czasem był idiotyczny.

- Ani tego dotknąć, ani zapakować, ani zważyć... Niby kto będzie sobie chciał kupić dodatkową godzinę? - pytała wuja Franka.

Ten najchętniej zbyłby ją pełnym pogardy spojrzeniem wielkiego wynalazcy, którego nie rozumieją najbliżsi, ale z racji szacunku dla wieku babki Wiktorii kiwnął jedynie z dezaprobatą głową i prychnął pod nosem:

- Znajdą się! Żebyś wiedziała, że się znajdują.

I tu nastąpiło wydarzenie bez precedensu. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów wuja Franka zdecydowanie poparł Piotr.

- Chętnych to będzie w nadmiarze. Jeśli rzeczywiście udało ci się skonstruować...

- Co znaczy: „jeśli rzeczywiście”, jakie: „jeśli rzeczywiście”?! Wymyśliłem i już! - wtrącił wuj Franciszek.

- Dobrze. Zatem skoro wymyśliłeś maszynę handlującą czasem, to przed naszym domem będą stały kolejki, kilometrowe ogonki chętnych...

- No, może nie tyle przed domem, ile przed moim warsztatem. - Wuj Franek aż pokraśniał z zadowolenia.

- Niby kto konkretnie? W życiu bym sobie dodatkowej godziny nie kupiła, a już w ogóle nie ma mowy, abym swoją sprzedała. Już mi ich wiele zresztą nie zostało. - Babce Wiktorii ostatnimi czasy wyraźnie wyostrzyło się poczucie humoru.

- Owszem, babka może nie - zgodził się Piotr. - Z tym że babka będzie w zdecydowanej mniejszości. Przykłady chętnych można mnożyć, pierwszy podał wczoraj Franek. Bezrobotni bez dochodów - im jest przecież zupełnie bez różnicy, czy nic nie robią przez 23, czy przez 24 godziny. Ba! Co prawda, nie mam specjalnych znajomości w tych kręgach, ale podejrzewam, że gdyby dać im taką możliwość, to niejednemu w zupełności wystarczyłaby doba trzygodzinna. Inny przykład - kasjerka w supermarkecie ma siedem złotych za godzinę pracy, a i tak uważa ją za wyjętą z życiorysu, bo siedzenia przy kasie szczerze nienawidzi. I ona za sprzedaną godzinę dostanie, lekko licząc, dziesięć razy więcej, i siedzieć przy kasie nie będzie musiała...

- Albo więźniowie! - wtrącił się wuj Franek. - Każdy skazany chętnie sprzeda maksymalnie dużo swojego czasu, bo po pierwsze zarobi, po drugie szybciej wyrok odbębni!

- No, jak ktoś chce robić biznesy z kryminalistami, to ja dziękuję za takie wynalazki! - obruszyła się babka Wiktoria.

- To tylko przykład! Babka się czepia! - tym razem obruszył się Piotr.

Przez dłuższy czas trwała wyliczanka grup społecznych i zawodowych, które mogłyby być potencjalnie zainteresowane skorzystaniem z wynalazku wuja Franka. Pielęgniarki. Górnicy. Żołnierze zasadniczej służby wojskowej. Nauczyciele. Akwizytorzy. Cała sfera budżetowa. Emeryci i renciści. Wynalazek wuja najwidoczniej trafiał w szeroki - jakkolwiek idiotycznie by to brzmiało - target tych, którzy albo nie znosili swojej pracy, albo byli za nią w śmiesznie niski sposób wynagradzani. Czyli - przynajmniej w naszej szerokości geograficznej - do znacznej większości.

- Dobrze, skoro wszyscy będą chcieli sprzedawać swój czas, to niby kto go kupi? - zapytała milcząca dotąd Grażyna, a odpowiedzią był jedynie gromki śmiech obu panów. I kolejne dziesiątki przykładów, którymi na wyścigi przerzucali się wuj Franek i Piotr, jego nowy, niespodziewany sojusznik.

Listę otwierali zapracowani ponad wszelką przyzwoitość biznesmeni, dla których godzinka czy dwie dodatkowego czasu dziennie to zbawienie, a braki w portfelu i tak niezauważalne.

A śpiochy? Przecież co twardsze przypadki oddadzą każde pieniądze, ba!, będą w stanie się zapożyczyć, aby tylko godzinę dłużej pokimać. Do grupy śpiochów śmiało można dopisać

środkowotygodniowych balangowiczów. Kiedy o piątej nad ranem położy taki łeb na poduszkę ze świadomością, że za dwie i pół godziny ten łeb będzie musiał podnieść - nie ma najmniejszych wątpliwości, że on kredyt weźmie, ostatnie grosiwo ze skarpety wyciągnie, własnych rodziców gotów będzie sprzedać, aby tylko sobie dodatkową godzinkę na odespanie wykupić.

Albo wszyscy ci, którzy pędzą na pociąg czy samolot i mają pewność, że nie zdążą. Przecież dla kogoś takiego dodatkowa godzina jest absolutnie bezcenna, bo jeśli on sobie jej nie nabędzie, to przez następne sześć będzie kwitł na dworcu. W takiej sytuacji nie zwraca się uwagi na koszty. W ogóle wszyscy spóźnialscy na spotkania i zebrania, na które spóźnić się absolutnie nie można tudzież nie wypada, będą dokupywać godzin aż miło.

A niedzielne leniuchy z przerażeniem myślące o poniedziałkowym poranku i o tym, że cały ten burdel znów się zaczyna? Który z nich oprze się pokusie przedłużenia - przynajmniej o godzinę - słodkiego niedzielnego nieróbstwa?

Dodajmy jeszcze wszelkiej maści nawiedzonych szajbusów i maniakałnych hobbystów, którym jest zawsze za mało czasu na dopieszczenie auta w garażu, przeliczenie kolekcji pudełek od zapalek czy też sto pięćdziesiąte czwarte wdrapanie się na skałkę wspinaczkową. Nie mówiąc o ambitnie rywalizujących we wszelkich komputerowych quekach i doomach, dla których kluczowym wydarzeniem dnia jest przejście z poziomu 123. na poziom 124. Ktoś taki dopóty będzie sobie dokupywał dodatkowe godziny, dopóki na poziomie 124. się nie znajdzie. Więcej, kiedy znajdzie się na upragnionym poziomie 124., to sobie kupi jeszcze jedną, już ostatnią dodatkową godzinkę, aby się na tym poziomie rozejrzeć i zorientować co i jak. I są bardzo duże szanse, że ktoś taki kupi jeszcze jedną, już na pewno ostatnią dodatkową godzinkę, bo może uda mu się w miarę szybko wejść na poziom 125. Ponieważ poziom 125. jest naprawdę tuż-tuż, to sobie ów jegomość nie odmówi frajdy, kupi jeszcze jedną, już na pewno ostatnią godzinkę i powalczy o poziom 125. A kiedy wejdzie na ten poziom, to jeszcze sobie dokupi jedną, ale już naprawdę ostatnią godzinkę, aby się wstępnie rozejrzeć i zorientować na poziomie 125...

A wszyscy ci, którym brakuje pomysłu na prezent? Przecież dodatkowa godzinka wolnego czasu od wdzięcznej załogi dla kochanego, wiecznie zapracowanego prezesa z okazji imienin to podarunek idealny. Żaden tam abstrakcyjny obraz czy setny garnitur z tysięcznym krawatem, żaden debilny pamiątkowy album z twórczością hiszpańskich kubistów, do którego prezes nawet nie zajrzy. Dać mu dodatkową godzinę wolnego czasu i niech sobie podczas niej zagląda, gdzie chce - nawet do albumu hiszpańskich kubistów.

A te dialogi małżeńskie? „Zająłbyś się dzieckiem, co, kochanie?” - prosi uprzejmie małżonka. „Czasu nie mam, skarbk, zmęczony jestem po robocie, zdrzemnę się na godzinkę, a później wezmę córkę na spacer do lasu, dobrze?” - łagodnie odmawia małżonek. Do niedawna nieobecny - spod półotwartych powiek leniwie śledził skróty ostatniej kolejki ligi angielskiej - z pewnością naraziłby się na słuszny gniew swojej lepszej połowy. Teraz jednak jest wynalazek wuja Franka i po problemie - skróty się obejrzy, zdrzemnie się, godzinkę dodatkową się kupi i jeszcze latoroślą się zajmie.

Wszyscy, po prostu wszyscy cierpiący dzisiaj na brak czasu. A niech babka Wiktoria albo Grażyna wskażą kogoś, kto ma go za dużo? Owszem, niby da się takich znaleźć, ale ci akurat będą sprzedawać zbędne godziny.

- Otóż największą zaletą tego wynalazku jest, że tak to pompatycznie ujmę, egalitaryzm. Godzina bezdomnego nędzarza trwa dokładnie tyle samo, ile godzina szefa pięciogwiazdkowego hotelu. Oni obaj będą się teraz wzajemnie potrzebować - zauważył Piotr.

Nestorka rodu była cały czas sceptyczna.

- Handlować czasem to tak, jakby handlować miłością - kręciła głową babka Wiktoria.

- No, niektóre niewiasty niczym innym się nie zajmują - nie odmówił sobie przyjemności

rzucenia grubszym dowcipasem wujo Franek. Ku zaskoczeniu ogółu najgłośniejsz roześmiał się Piotr.

- Tak, dobrze to ująłeś. Niektórzy jeszcze mówią o najstarszym zawodzie świata, che, che, che! - doszusował do poziomu wielkiego wynalazcy. - Jak już Franek coś powie, to się nie ma czego czepić. Nic dziwnego, że od tylu lat w quizach wygrywa. Ma łeb, facet po prostu ma łeb.

O ile Grażyna pogodziła się z tym, że pomysł ma spory potencjał handlowy, o tyle cała idea sprzedawania czasu nie napawała jej jakimś szczególnym optymizmem.

- Spokojniej było, jak Franek wymyślał quizy albo przyrząd do poszukiwania zagubionych kluczy - westchnęła ciężko.

- No, niestety, wielcy wynalazcy to niespokojne dusze, skarbie - przytulił żonę Piotr, na tę chwilę najbardziej oddany zwolennik idei wuja Franciszka.

Wynalazca sporządził w warsztacie trzy duże anonse reklamowe o następującej treści: „Uwaga! Rewelacja! Okazja do łatwego i szybkiego zarobku! Szansa nabycia dowolnej ilości wolnego czasu! W najbliższy poniedziałek o ósmej rano zaczyna się handel czasem!”. Poniżej jeszcze dokładny adres i dwukrotnie podkreślona czerwonym markerem informacja, że handel czasem będzie odbywał się w warsztacie wuja Franciszka.

Może fachowcy od marketingu zmieszaliby z błotem takie ogłoszenie, może na zajęciach z public relations student za taką pracę zaliczenia by nie dostał, ale wuj Franciszek nie na formę postawił, tylko na treść.

Grażyna rozwiesiła trzy egzemplarze anonsu przy kościele, na placyku przed supermarketem i tuż przy przystanku PKS. Pozostało czekać do poniedziałku.

BANK

NIE POZNAŁEM
CIE - BĘDZIEŚ
BOGATY!



X. HOLL

2. HISTORIA RAFAŁA PORANKA

Znacie Rafała Poranka? Nie znacie? Jak to? Niemożliwe! Dziś każdy musi znać albo Rafała Poranka, albo przynajmniej kogoś bliźniaczo do niego podobnego. To ten typ, który kilka godzin dziennie potrafi opowiadać o ostatnich notowaniach na giełdzie w Malezji. Niespecjalnie mu przeszkadza, że o giełdzie w Malezji raczej niewiele wiecie. On wie.

Obudzony o trzeciej nad ranem Rafał Poranek recytuje z pamięci wszystkie najpoważniejsze indeksy giełdowe, przelicza kursy walut, wypowiada się na temat recesji, przewiduje ceny benzyny w najbliższym kwartale, podpowiada najkorzystniejsze formy lokowania kapitału, a wszystko to jeszcze okrasza błyskotliwym ekonomicznym komentarzem i finansową anegdotą.

Rafał Poranek zwyczajowo budzi się o czwartej piętnaście. Na dobrą sprawę mógłby spać do szóstej, ale jeśli prawdą jest powiedzenie, że czas to pieniądz, to wstając godzinę i czterdzieści pięć minut przed czasem, spokojnie jest ze trzy zeta do przodu. A dzień, tak naprawdę, jeszcze się nie rozpoczął.

Wpada do łazienki (zielone kafelki - 899,99 zł za metr kwadratowy), staje przed lustrem (749,99 zł razem z półką i ramą), uśmiecha się szeroko bielutkim uzębieniem (wybielenie - 1100 zł na kwartał), patrzy na własne oblicze wzrokiem triumfatora, podziwia profil, napręża szczękę, wstydliwie przypatruje się zakolom, po czym zupełnie niespodziewanie z dzikim okrzykiem przerażenia wybiega z łazienki. Pędzi sprintem do gabinetu i odpala laptop. Następnie spokojnie wraca do łazienki i ponownie wzrokiem triumfatora obserwuje własne oblicze. Trwa w samozachwycie.

Po trzech kwadransach wyciąga poranną szczoteczkę do zębów - tak, tak, tę z ostrzejszymi końcówkami. Na specjalnym trzydniowym szkoleniu *Higiena codzienna dla analityków bankowych* jednoznacznie stwierdzono, że tylko dęci frajerzy i ludzie kłęski myją zęby tą samą szczotką rano i wieczorem. Tymczasem kolorowe wykresy zaprezentowane podczas kursu dobitnie udowodniły, że nacisk na zęby i dziąsła trzeba różnicować w zależności od pory dnia. Rano należy użyć szczoteczki z ostrym włosiem, co pobudza krążenie krwi w dziąsłach, a tym samym wzmacnia naszą chęć walki ze światem i zwiększa asertywność.

Z kolei wieczorem należy użyć szczoteczki z miękkim włosiem, co zapewnia relaks, działa kojąco, niemal jak dobry drink, przynosząc wręcz masaż zębów i dziąseł. Na szkoleniu mówili, że używanie - zwłaszcza wieczorem - szczoteczki odpowiedniego rodzaju potrafi dostarczyć zadowolenia o niemal erotycznym zabarwieniu. Bzdura? Na kursie (3500 euro za trzy dni) prowadzonym przez renomowanych amerykańskich specjalistów od wpływu higieny osobistej na powodzenie w biznesie nie gadaliby bzdur!

Rafał Poranek ma od czasu szkolenia siedem szczoteczek. Część elektrycznych, część tradycyjnych. Specjalny program komputerowy (999 zł) porównuje porę dnia z aktualnym biorytmem i samopoczuciem Rafała Poranka, po czym bezbłędnie podpowiada, jakiego włosia i jakiej szczoteczki użyć teraz, czyli, jak mówili Amerykanie: „now”! Wiercie lub nie - od chwili zmiany koncepcji ogólnej szczotkowania Rafał Poranek jest dużo szczęśliwszym człowiekiem. Ma więcej energii, łatwiej rozwiązuje problemy w pracy i - co najważniejsze - jest zarówno bardziej kreatywny, jak i bardziej efektywny.

Potem bierze prysznic z elementami hydromasażu. Wiercie lub nie - od kiedy nabył kabinę prysznicową z funkcją hydromasażu i opcją sauny (9999,99 zł, promocja wiosenna *Wyczyść swoje ciało, wymasuj swoje wnętrza, ogrzej swoje ego!*), ma więcej energii, łatwiej

rozwiązuje problemy w pracy i - co najważniejsze - jest zarówno bardziej kreatywny, jak i bardziej efektywny.

Wkłada ciemne skarpety z wbudowanymi w nie sensorami napięcia (349,99 zł para). Kiedy człowiek czuje się znużony, apatyczny, ogarnia go senność, znajdujące się w skarpetach sensory napięcia odbierają z mózgu sygnały o chwilowym kryzysie organizmu. W rewanżu wysyłają krótkotrwałe bodźce o napięciu 450 woltów, które błyskawicznie likwidują senność, apatię i znużenie. Wierście lub nie - od kiedy Rafał Poranek zaczął używać skarpet z sensorami, ma więcej energii, łatwiej rozwiązuje problemy w pracy i - co najważniejsze - jest zarówno bardziej kreatywny, jak i bardziej efektywny. Podobno na rynku w Stanach pojawiła się bielizna z sensorami. Rafał Poranek już ściąga ją przez Internet. Aż miło sobie wyobrazić jego kreatywność i efektywność, kiedy w majtkach pojawi się 450 woltów. O znużeniu, apatii czy senności w ogóle nie będzie mowy.

Później jeszcze błyskawiczny zabieg autoakupunktury - kłuje się szpilką w oba pośladki, co zapewnia mu odpowiedni zasób energii, werwy i chęci zmierzenia się z całym światem. Oczywiście, wzmacnia kreatywność oraz efektywność.

Wkłada elegancką koszulę (699,99 zł) w odcieniu radosnego błękitu, potem sześciorzędowy garnitur (3999,99 zł) w odcieniu radosnego brązu, wbiega do gabinetu, wyłącza laptop, pakuje go do torby i zabiera ze sobą. Stop! Szybki powrót - ponownie wyciąga laptop z torby, włącza, sprawdza pocztę, wyłącza, chowa go do torby i zabiera ze sobą.

W blokowej windzie wykonuje zestaw ćwiczeń stretchingowych. Napina mięśnie ud, łydek, grzbietu, po pięciu sekundach rozluźnia, liczy do trzech i z powrotem napina. I tak do samego parteru. Sąsiedzi z windy nie komentują, są życzliwi i przyjaźnie nastawieni do praktyk Rafała Poranka. On z kolei nie odpowiada im „dzień dobry”, nawet się nie uśmiecha, ale weź tu, człowieku, uśmiechnij się, jak masz wszystkie partie mięśni napięte w układzie stretchingowym! Rafał Poranek woli jednak narazić się na zarzut bycia niekulturalnym, niż zrezygnować z jazdy windą połączonej z poranną gimnastyką. Sukces, bycie doskonałym, bycie najlepszym wymaga ofiar i wyrzeczeń!

Wsiada do auta. W ogóle nie denerwuje się korkami, bo w korkach uczy się francuskiego, hiszpańskiego, angielskiego, rosyjskiego i esperanto. Nie uczy się szwedzkiego, niderlandzkiego, ketchupu i nigeryjskiego, bo te już zna. Można nawet pokusić się o tezę, że im większe korki na drodze do pracy Rafała Poranka, tym większe szanse na jego globalny sukces.

Rafał Poranek ma tego pełną świadomość - kiedy przez tydzień chorował na zapalenie płuc, to w następnym specjalnie jeździł do roboty przez zatłoczone centrum, aby nadrobić zaległości.

Jednocześnie w drodze do pracy dba o ekologię. Przez pięć minut ma w aucie włączoną klimatyzację, przez następne pięć wyłącza ją i otwiera okna. Zachowuje równowagę - owszem, przez pięć minut zatrąwa świat freonem i zwiększa dziurę ozonową, ale przez kolejne pięć sam daje się podtruwać. Wobec natury i organizacji ekologicznych jest w porządku. Wyjątek stanowi zima, kiedy przez pięć minut bez klimatyzacji nie otwiera okna. Raz spróbował, to później przez tydzień miał zapalenie płuc. I językowe zaległości.

Na firmowy parking zajeżdża z fantazją, buksuje kołami, hamuje ręcznym, piszczy oponami i ryczy silnikiem, a czasem pozwoli sobie na odrobinę fantazji i spontaniczności i zatrąbi radośnie ze trzy razy klaksonem. Niech firma wie, że do pracy przyjechał Rafał Poranek, ogier narowisty, co to za chwilę na biurowym krześle jak na siodle zadek osadzi i od ósmej do szesnastej trzydzieści będzie galopować. Lekko, zwinnie będzie skakał nad wykresami, wnioskami kredytowymi, hossą, bessą i recesją. Laptop jak lejce będzie trzymał i gnał, gnaaaaaa przed siebie na złamanie karku, tam gdzie świeci radosna jutrzienka bilansów kwartalnych i

Wchodzi, a całe kierownictwo - na dyskretną komendę głównego Prezesa Prezesowicza - bach! Na kolana przed analitykiem bankowym Rafałem Porankiem pada i błagalny skowyt się rozpoczyna.

- Tyś, Rafale Poranku, naszą jedyną nadzieją, tyś orzeł bankowej analizy, tyś nasz lider, a my twoje czirliderki, ty nam graj, a my ci tańczyć będziemy! Co robić, Rafale Poranku, w nowo zaistniałej sytuacji, co robić? Tyś najtęższy łeb z nas wszystkich, więc mów ty nam, Rafale Poranku, czy czas dodatkowy kupować, czy może raczej forsę oszczędzać?!".

Na twarzach kierownictwa przerażenie i panikę dostrzec można. Do niedawna praca w bankowości była prosta i banalna - maksymalnie wydymać klientów indywidualnych, a małe i średnie firmy wydymać podwójnie maksymalnie. W zamian wystarczyło wręczyć złote karty i poustawiać w mieście kilka bankomatów. Tak, do niedawna praca w bankowości była malinowym pasmem niekończącej się rozkoszy. No, ale teraz?

- Mów ty nam, Rafale Poranku - błagają dalej - co robić? My cię do naszego klubu zapiszemy, będziesz siedział w radzie nadzorczej, a jak dobrze poradzisz, to, kto wie, może nawet i miejsce w ścisłym zarządzie się znajdzie. Nową godność ci się stworzy, będziesz dyrektorem Departamentu Bankowości Detalicznej i Firmowej do spraw Dodatkowych Godzin, wydrukujemy ci, Rafale Poranku, srebrne wizytówki, wręczymy ci trzy dodatkowe telefony służbowe i cztery palmtopy, dostaniesz gabinet i w ogóle wszystko, co zechcesz. Nie dostaniesz jedynie urlopu, abyś cały czas w pracy był, no i podwyżki nie dostaniesz, abyś za dodatkowy grosz wolnych godzin sobie nie kupił i nas, prezesów twoich najśłodszych, w potrzebie nie zostawił.

Krawaty członków zarządu w grdyki i karki niemiło się wpijają, pot nerwowy na skroniach i pod pachami najdostojniejszych przedstawicieli rady nadzorczej splywa, przedsiönki i komory sercowe prezesa oraz wiceprezesów są jak sekcja perkusyjna w orkiestrze symfonicznej wykonującej marsz Radetzkiego. Wpatrują się wszyscy w Rafała Poranka jak w Mesjasza na plaży nad Morzem Czerwonym, z nadzieją, wiarą i przekonaniem, że on jeden nie zgłupieje, panice się nie podda, tylko swoim ścisłym analitycznym siódmym zmysłem całą prezesowską ekipę bezpiecznie na suchy brzeg przeprowadzi.

Zrozumiał błyskawicznie Rafał Poranek, jaka szansa przed nim się maluje, i głową pokornie przed prezesami i zarządem kiwa, że się zgadza, że zadka z fotela nie podniesie, póki jakiejś mądrej analizy nowej sytuacji nie przeprowadzi. Tak - zdaje się mówić gorliwa i pełna zapału facjata Rafała Poranka - możecie liczyć na mnie, drodzy prezesi i członkowie zarządu, ja będę analizować, moi podwładni będą analizować, a twarde dyski naszych laptopów będą nieustannie w stanie najwyższej gotowości, aby was, ojcowie i dobroczyńcy nasi, przypadkiem nie zawieść. I zupełnie nie wiedzieć czemu, do terminologii dawno minionej epoki nawiązuje, coś tam pokrzykiwać zaczyna o dwustu albo i trzystu procentach normy, o czynach wielkich, ale niezbędnych do wspólnego rozwoju. On, Rafał Poranek, agresywny wilczek nowoczesnej bankowości, zaczyna z nadgorliwością pryszczatego zetempowca krzycheć, że z barykady nie zejdzie, że cała grupa młodych analityków popiera swoje kierownictwo, na koniec rytmicznie skanduje: „Pomożemy! Pomożemy!”. Jakby jego analityczne zwoje nagle spięcia dostały i w kryzysowej sytuacji po stare, ale jakże skuteczne i swojsko brzmiące wzorce sięgnęły.

Kierownictwo z sympatią i zrozumieniem przyjmuje deklaracje swojego głośnego analitycznego aktywisty, ustami głównego Prezesa Prezesowicza zapewnia, że Rafał Poranek i jego brygada mogą liczyć na szeroko rozumiane wsparcie aktywu kierowniczego oraz wszelką pomoc.

- Mówcie, czego potrzebujecie, jakie są wasze postulaty, wnioski, żądania, a my postaramy się je spełnić! Mówcie otwarcie, my, aktyw kierowniczy, nie boimy się słusznej

krytyki. Unikajmy krytykanctwa, ale słuszna krytyka - jak najbardziej! Śmiało, mówcie, analityku Rafale Poranku! - zachęca Prezes Prezesowicz i jakby tylko ten szklany postmodernistyczny wielki stół nakryć zielonym suknem i nastawiać na niego doniczek z przykurzonymi paprotkami, to wszystko byłoby jak dawniej.

Rafał Poranek obiecuje, że nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei, co oczywiście wywołuje szerokie uśmiechy na pulchnych twarzach zebranych. Prezes, zastępcy, członkowie zarządu i rady nadzorczej radośnie rumianych kolorów na licach podostawali - wreszcie się jakiś optymistyczny akcent w tym niewesołym dniu pojawił. Dlatego Rafał Poranek postanawia kuć żelazo póki gorące i przy wszystkich prosi Prezesa Prezesowicza, aby dzień pracy zespołu analityków nie trwał 24, ale 48 godzin. Owszem, zdaje sobie sprawę, że to koszty niebagatelne, inwestycja spora i, uczciwie mówiąc, nie do końca rentowna, ale sytuacja jest, jaka jest, i jakieś koszty ponieść trzeba.

No i głupia rzecz. Przed chwilą Prezes Prezesowicz pomoc i daleko idące wsparcie obiecywał, a teraz wić się zaczyna, nerwowo za uchem podrapywać - no bo jak to? Czas rewolucji to nie jest dobry moment na inwestycje i zwiększanie kosztów. Już go w kieszeni wąż zaczyna delikatnie w okolicy pachwiny kąsać i podgryzać, a wąż w kieszeni prezesa to prawdziwy boa dusiciel, podczas gdy przeciętny śmiertelnik we własnej zaskrońca jedynie nosi. Już by się najchętniej z deklaracji wycofywał, już by się powoływał na konieczność przedyskutowania sprawy na zarządzie, już by chciał całość zagadnienia konsultować z radą nadzorczą, ale tylko po twarzach zebranych popatrzy i natychmiast wie, że dzisiaj tak łatwo nie pójdzie. Co tu konsultować? Nad czym się zastanawiać? Cóż tu radzić? Jeśli Rafał Poranek, nasza jedyna nadzieja i geniusz bankowej analizy, chce dodatkowych godzin, to trzeba mu je błyskawicznie kupić. I nie patrzeć na koszty.

- Zatem dobrze - uśmiecha się promiennie Prezes Prezesowicz - do skarbcza sięgnę, środki wyłożę, zaryzykuję, zainwestuję, koszty poniosę - niech tam! Sytuacja alarmowa, to i działania muszą być niecodzienne. Mów tylko, Rafale Poranku, ile dodatkowych godzin potrzeba, a my kupimy, dostarczymy w ładnym opakowaniu z fikuśną kolorową kokardą, jeśli taka będzie twoja wola. Tylko prosimy analizować, wnioski wyciągać i konkretnych odpowiedzi udzielać - co robić? Mów, Rafale Poranku, co robić w zaistniałej sytuacji?! Dodatkowe godziny kupować czy forszę zbierać?

Po chwili Rafał Poranek ma drugie spotkanie, ale teraz to on jest szefem, panem sytuacji i najważniejszym dyspozytorem. Sam sobie głosu udziela i nie znajdziesz na sali takiego odważniaka, coby się porwał na przerwanie kwiecistego przemówienia. Przed Rafałem Porankiem dwudziestka podwładnych, która szczerze go nienawidzi, ale słucha i nie pyskuje.

Oj, jak się Rafałowi Porankowi taki układ podoba! Jak mocno sylwetkę wyprostował, jak dziarsko i odważnie rękami gestykuje, natężenie głosu błyskawicznie zmienia - i dramatyczny, przejmujący szept sceniczny tam się znajdzie, i dziki, histeryczny niemal wrzask, i pauza wymowna, i jeszcze dobitne powtórzenie kluczowych wyrazów czy wręcz całych zdań. W ostateczności najważniejszych akapitów.

Włos mu się zmierzwił, krople potu z czoła spływają, oczy błyszczą, ślina w kącikach ust bulgocze, a ręka tak dynamicznie wskaźnikiem wymachuje, że Rafał Poranek bardziej fehmistrza przypomina niżli kapłana bankowej analizy.

Jestestwem swoim przy rzutniku się upaja, tłumaczy zgromadzonemu, że to szansa ogromna, a jednocześnie wyzwanie i obowiązek. W karkołomną stylistykę śmiało uderza i firmę do matki rodzonej porównuje, która wychowała i wykarmiła, ale teraz sama potrzebuje pomocy. I jako wzorowe córki oraz oddani sprawie synowie musimy jej pomocy udzielić. Kierownictwo, zapewnia Rafał Poranek, wierzy, ufa, ale i wymaga. Krzyczy o konieczności poświęcenia się,

zainwestowania ambicji, chęci i umiejętności, przypomina o kreatywności, efektywności i pracy zespołowej.

Podwładni Rafała Poranka każdego dnia słyszą o tym samym, entuzjazmu mówcy nie dzielają. Ba! Na twarzach większości zniechęcenie i znudzenie, a nawet ostentacyjne lekceważenie bez trudu dostrzec można. Rafał Poranek kabotyńsko oczy w górę podnosi, zdania coraz bardziej chaotyczne i emocjonalne buduje, ale miast pozyskiwać zainteresowanie sali, zderza się jedynie z pogardliwymi uśmiechami.

Nie ma co czekać, Rafał Poranek gestem wytrawnego pokerzysty asa pikowego z rękawa wyciąga i na stół rzuca - od jutra on i jego podwładni będą pracowali po 48 godzin dziennie! Tak! Bite 48 godzin zespół będzie przy biurkach spędzał, bo on, Rafał Poranek, właśnie przed chwilą wywalczył u samego Prezesa Prezesowicza, że bank w całą grupę zainwestuje. W związku z pojawieniem się - jak to dyplomatycznie określił Rafał Poranek - „nowych możliwości” bank dokupi każdemu dodatkowe 24 godziny do jego doby i teraz wszyscy będą pracowali 48 godzin dziennie!

Jutro z rana dostaną pakiet dodatkowych godzin, niech więc wszyscy uprzedzą bliskich, że weszło w życie nowe i żeby się rodziny uzbroiły w cierpliwość. Aha, i albo jutro rano zabrać z domu podwójną porcję bułek z wędliną i żółtym serem, albo przygotować więcej forsy na lunch, bo jedną sałatką z kurczakiem nie da się opędzić. A i koszuli na zmianę nie zawadzi zabrać, bo jak się w połowie dnia człowiek spoci - a są spore szanse - to głupio przez pozostałe 24 godziny zatruwać atmosferę sobie i reszcie zespołu.

Uuu, bardzo się to słuchaczom nie spodobało... Jakby nie potrafili docenić ogromu wyzwania i powagi chwili. Lekceważące uśmiešky ustąpiły miejsca skrajnemu oburzeniu - jakiś pieprzony Rafał Poranek będzie im od zera życie ustawiał, mało tego - zdecyduje odgórnie, ile godzin będzie trwać ich doba! A niby czemu?! I w ogóle nie dzielają entuzjazmu swojego pryncypała - jak Rafał Poranek chce, to niech sobie i przez 100 godzin wykuwa lepsze jutro, ale od nich i ich czasu wara!

Z drugiej jednak strony - co robić? Zbuntować się? Na otwartą wojnę iść z guru analizy bankowej Rafałem Porankiem? Przecież to jest dwudziestka najbardziej uzdolnionych podanalitików bankowych, z których każdy marzy, aby samemu kiedyś stać przy rzutniku, krzyknąć i robić miny jak Rafał Poranek, jak Rafał Poranek do samego Prezesa Prezesowicza być wzywany i jak Rafał Poranek stać się kapłanem bankowej analizy.

Przecież na taką fuchę podanalitika bankowego czyhają setki, jeśli nie tysiące podpodanalitików bankowych, którzy pokończyli ważne uczelnie, zaliczyli prestiżowe staże, przeczytali wszystkie mądre i mniej mądre książki z zakresu bankowej analizy, a teraz nerwowo przebierają nogami w oczekiwaniu, aż się któryś podanalitik na emeryturę przeniesie albo pod auto wpadnie. Ewentualnie zbuntuje się przeciwko Rafałowi Porankowi.

I niby co? Jak uwierzyć, że dwudziestka podanalitików solidarnie sprzeciwi się nowym pomysłom Rafała Poranka? Owszem, Rafał Poranek rady by sobie nie dał, ale oni rady by sobie nie dali jeszcze bardziej. Lepiej jedno zadanie zawalić, niż szukać nowego zajęcia. Co zatem robić? Co robić?!

Następnego dnia Rafał Poranek pierwszy skorzystał z dobrodziejstw czasowego pakietu i jego doba miała 48 godzin. Jako szef i kapitan zespołu dał przykład, ale naśladowców żadnych nie znalazł. Cała dwudziestka podanalitików solidarnie odmówiła wydłużenia swojego dnia pracy - część odmowę ubarwiała opiniami o Rafale Poranku i jego inicjatywach, zatem atmosfera daleka była od sielankowej.

Sam Rafał Poranek w panikę wpadł: co teraz zrobi, jak mu się zespół współpracowników w pięć minut rozleciał, a tu tyle roboty! Tyle zadań! Tyle analiz do przeprowadzenia! A

kierownictwo czeka z niecierpliwością, przypatruje się bacznie i niemal od razu żąda efektów. Więcej, kierownictwo oka nie przymknie, uchybień nie wybaczy, opóźnień nie będzie tolerować, pomyłek nie dopuszcza, bo po pierwsze - samo jest w strachu, po drugie - wielkie pieniądze na dwadzieścia dodatkowego czasu wyłożyło.

I wpada Rafał Poranek na szatański w swej przebiegłości plan. Zużyje wszystkie pakiety samodzielnie, jego doba potrwa - co obliczył błyskawicznie w swoim analitycznym umyśle - 528 godzin. Przecież przez tyle czasu - po staremu licząc, ponad trzy tygodnie - to Rafał Poranek sam wszystko zanalizuje, raporty sporządzi i dojdzie do odpowiednich wniosków.

Pięćset dwadzieścia osiem godzin! Niech podanaliticy spadają na drzewo, bez łaski! Chciał Rafał Poranek zawodowego nieba im przychylić, to się tałatajstwo wzięło i obraziło. Niby wykształceni bankierzy, a jak przyszło co do czego, to hołota zwykła z butów, garniturów i laptopów wylazła. Ale nie ma problemu - Rafał Poranek sam jeden kierownictwa nie zawiedzie, jemu dzisiejszy dzień kończy się za ponad trzy tygodnie. Jutro będzie gotowy przed obliczem prezesa stanąć i przedstawić konkretne analizy tudzież szczegółowych odpowiedzi i wyjaśnień udzielić. Pewnie jeszcze zdąży raporty w PowerPoincie przygotować, a główny obłoży przezroczystą okładką z logo banku. I jeszcze uda mu się podszlifować francuskie i niemieckie słownictwo, na siłownię zdąży pójść, a kto wie - może jeszcze skoczy do dentysty, do którego bez skutku wybiera się od pół roku, a dolna szóstka coraz mocniej boli.

Owszem, są i minusy takiego rozwiązania. Rafał Poranek w jeden tylko dzień będzie musiał sobie zafundować, lekko licząc, ze dwadzieścia obiadów. Poza tym w ciągu jednego dnia będzie musiał ze dwadzieścia razy się przespać. A on nienawidzi snu - zdaniem Rafała Poranka to strata czasu, głupie przyzwyczajenie, posępna kraina wiecznego lenistwa. On śpi w słuchawkach, a z odtwarzacza MP6 bez ustanku leci kurs języka niemieckiego dla średnio zaawansowanych.

No tak, ekonomicznie to cała zabawa raczej niezbyt się opłaca, ale Rafał Poranek wiedział, że jeśli nazajutrz stanie przed obliczem Prezesa Prezesowicza z wypełnionym zadaniem pod pachą, to nie byle jaka premia jego portfel zasili. A niech tam! Do roboty! Bez zwłoki do roboty! Niech żyje 528-godzinny dzień pracy! Walcz, walcz, Rafale Poranku, kierownictwo patrzy, ufa i liczy na ciebie!

Jeszcze nawet jedna czwarta dnia nie minęła, dziewięćdziesiąta szósta godzina dopiero wybiła, a Rafał Poranek wykonał całą robotę. Jak należy sporządził analizy, wykresy, odpowiedział na wszystkie pytania, porozwiewał wątpliwości i był gotowy podzielić się osiągnięciami z kierownictwem.

Trochę się zdrzemnął po robocie i zjadł dobry obiad (czwarty tego dnia). Poszedł na siłownię. Wyleczył dolną szóstkę. Wypił drinka. Nigdy w życiu nie zdarzyło mu się w powszedni dzień w godzinach pracy sięgać po mocniejsze trunki, a tu proszę... Wypił i nic się nie stało. Pojechał - i to po drinku - do myjni, gdzie służbowe auto doprowadził do czystości idealnej.

Pierwszy raz od szesnastu lat sięgnął po książkę niezwiązaną z analizą bankową. Niewiele zrozumiał, ale szalenie mu się podobała. Przekartkował dokładnie 346 stron - i żadnego wykresu. W przypiływie rozpaczy kupił sobie bilet do teatru (wyszedł zniesmaczony, bo bohaterowie sztuki mówili o pieniądzech w sposób amatorski, prostacki i idiotyczny). Odwiedził kino, gdzie zobaczył film pod wiele obiecującym tytułem *Historia miliona dolarów*, ale zamiast ekscytującego obrazu ekonomicznego twórcy zaprezentowali mu głupawą strzelaninę okraszoną częstym mordobiciem.

Porażająca prawda dopadła Rafała Poranka około dwusetnej godziny jego doby - nudził się. Bezczynność doprowadzała go do szału, ale postanowił walczyć. Wszedł do najbliższego hipermarketu, swoją platynową kartą zapłacił za zestaw grilla ogrodowego, dwa kilo

podwawelskiej, musztardę, ketchup, brykiet, podpałkę i - najważniejsze - zgrzewkę schłodzonego piwa; zapakował się z tym całym majdanem do służbowego auta i śmignął za miasto. Idealnie sięgnął bruku. Rafał Poranek, heros bankowej analizy, zajął się grillowaniem kiełbasy i kontemplowaniem tataraku nad pobliskim jeziorem. W dzień powszedni! W godzinach pracy!

Woda w jeziorze chlupała sennie. Słońce to wygrywało pojedynek z chmurami i świeciło pełnym blaskiem, to przegrywało i pojawiał się miły chłodek. Polana była skromniutkich rozmiarów, za to uroku i ciszy miała w nadmiarze. Na jej środku stał grill ze zwęgloną kiełbasą podwawelską, w palenisku dopalały się ostatnie kawałki brykietu. Wokół grilla walał się tuzin pustych puszek po piwie. Spokój miejsca zakłócało jedynie rytmiczne, regularne chrapanie mistrza bankowej analizy Rafała Poranka. Odór trawionego alkoholu, potu i wymiocin był dużo silniejszy od zapachu zgrillowanej podwawelskiej, nic zatem dziwnego, że po Rafale Poranku, geniuszu bankowości, spacerowało wszelakiej maści robactwo - wily się glisty, nadlatywały coraz to nowe zastępy much i komarów. Rafałowi Porankowi absolutnie to nie przeszkadzało, utulił swoją bankową facjatę w miękkim mchu, a błogość na jego twarzy wskazywała na to, że był najszczęśliwszym człowiekiem na tym padole.

Śniły mu się analizy i wykresy, ciąg cyfr sunął mu w sennym błogostanie raz za razem, a wszystko to w różnych językach, w dodatku każda kolumna wykonywała piękne, klasyczne zestawy ćwiczeń stretchingowych. On sam siedział w fotelu Prezesa Prezesowicza, trzymał w rękach wielki zegar i krzyczał do wszystkich: „Teraz każdy pracuje po 48 godzin i ani minuty mniej! Ani minuty mniej!”.

Tak mu się ten senny majak najwidoczniej spodobał, że aż stęknął kilkakrotnie z zadowolenia.

Rafała Poranka odnalazł podczas porannego obchodu gajowy. Wiele takich obrazków widział, nie przejął się więc specjalnie, bo pozostawione ślady łatwo pozwoliły mu się domyślić scenariusza wydarzeń z ostatnich kilkunastu godzin. Jednak pierwszy raz znalazł zapijaczonoego turystę odzianego w dobry, markowy garnitur i upodłonego do granic wyobraźni. Zdecydowanym ruchem szarpnął śpiącego za ramię.

- Te, panie urzędnik! Czas wstawać, nowy dzień się zaczął, piękne słońko Bozia dała...

Rafał Poranek z wyraźnym trudem podniósł głowę, obtarł twarz ze śliny, wymiocin i kilku robaków.

- Daj pan spokój! U mnie nowy dzień zaczyna się za jakieś sto osiemdziesiąt godzin - wybelkotał, po czym ponownie położył leb na mchu.

Gajowy odszedł z pełnym zrozumieniem sytuacji, bo świetnie znał ponadczasową prawdę, że w dialogu pijanego z trzeźwym nijak nie uda się osiągnąć skromnego nawet konsensusu. Rafał Poranek spokojnie dalej odsypiał.

Po 180 godzinach zameldował się w gabinecie najwyższego, gdzie w obecności kilku świadków - nie ma więc mowy o żadnym przekłamaniu - stwierdził, że całą bankowość ma głęboko w dupie, żeby dać mu święty spokój i że składa oficjalną rezygnację ze wszystkich dotychczas sprawowanych funkcji.

Prezes Prezesowicz nie krył rozczarowania, bo przecież Rafał Poranek był zarówno jego nadzieją, jak i sporą inwestycją. Pies trącał nadzieję, ale inwestycji trochę żał.

- A czym będziesz się zajmował? - zapytał z wyraźnym smutkiem w głosie.

- Będę grillował kiełbasy, walił browara za browarem i spał pod gołym niebem - wyrecytował Rafał Poranek.

- Cóż, można i tak - kiwnął głową prezes. - A nie szkoda ci czasu, Rafale Poranku, na takie pierdoły?

Rafał Poranek, jeszcze przed chwilą mistrz bankowej analizy, uśmiechnął się pod nosem i

położył na biurku Prezesa Prezesowicza służbowy laptop. Było w tym coś z taniego symbolicznego gestu - jakby legenda środkowego ataku wieszala na kołku swoje sfatygowane korki albo wiekowy szeryf w dniu przejścia na emeryturę zatykał na gwoźdźniku w salonie swoją gwiazdę.

- To jeszcze tylko jedno - Miałeś zadanie do wykonania.

- A tak, zrobiłem. Po przeprowadzeniu wszelkich możliwych analiz wyszło, że w obecnej sytuacji jedynym sensownym rozwiązaniem jest... - Prezes Prezesowicz wstrzymał oddech, a Rafał Poranek dokończył: - ...jest czekać na dalszy rozwój sytuacji.

Podzieliwszy się tym niebagatelnym spostrzeżeniem, Rafał Poranek roześmiał się głośno i wyszedł z gabinetu. Jego dalsze losy i obecne miejsce pobytu zna jedynie on sam, ewentualnie sympatyczny gajowy.



4. HISTORIA PAULINY

Miała do tego stopnia utlenione włosy, że bez problemów oddychała pod wodą. A kolczyk w jej pępku był wielki jak średnica zegara Big Ben w Londynie. No i jeszcze paznokcie... O tak, paznokcie Pauli to było coś, to był fenomen. Wszystkie kolory i kształty świata. Surrealizm w czystej formie. Gdyby na drodze Pauli stanął kiedyś Salvador Dali, to - ujrawszy jej paznokcie - albo by się niechybnie zakochał, albo popadł w głębokie kompleksy. Najpewniej jedno i drugie.

Trzeba od razu dodać, że nawet szaleńczo zakochany mistrz Dali nie miałby u Pauli najmniejszych szans, i to z dwóch powodów. Pierwszy - Paula nigdy w życiu o Dalim nie słyszała, więc nie byłoby mowy o działaniu tak zwanej magii nazwiska; drugi - Paula nie była do wzięcia, bo już od trzech tygodni chodziła z niejakim Praszczurem.

Poznali się z Praszczurem dokładnie trzy i pół tygodnia temu; najpierw był dziki, opętańczy seks, potem on się romantycznie przedstawił: „Jestem

Praszczur", to z niej też trochę krępujący stres zszedł i powiedziała: „Jestem Paulina, ale wolę Paula!”.

Z miejsca Praszczur się wkurzył i chciał lecieć mordę objąć temu Paulowi, ale - ach, ach, cóż za zabawne nieporozumienie - okazało się, że Paula to jedynie skrót od Pauliny. Tak, podobne poczucie humoru i wspólnie przeżyte zabawne sytuacje to podstawa zdrowego i trwałego związku między mężczyzną a kobietą - niejeden znawca, w tym i ci katolicy, z miejsca to potwierdzi.

Jak już się poznali i mieli wspólne anegdoty, to cóż było innego robić? Nastaly dwa tygodnie dzikiego, opętańczego seksu. Pod koniec drugiego Praszczur zaczął trochę przysypiać, już go ta cała Paula drażniła, wcale w łóżku nie była taka dobra, jak mu się wydawało, kiedy zaczynali. Już chciał ją z chaty wyrzucić, ale Paula wyczuła dobry moment i zapytała go, czy chce z nią być, on się głupio zgodził, nie przemyślał sprawy, potem jeszcze głupiej było mu się wycofać, no i narzeczeństwo stało się faktem. Pierścionek zaręczynowy będzie, jak Praszczur umieści w terminarzu jakiegoś jubilera. Może to trochę potrwać, ale wtedy pierścionków będzie z piętnaście. Do wyboru, do koloru. Na każdy paluszek Pauli i jeden w rezerwie. Najbrzydszy tylko z tej piętnastki Paula wybierze i wyśle na pomoc głodującej Somalii, bo ma serce i wrażliwość, i w ogóle dobro ogólne w sobie.

Od tej pory wszyscy na osiedlu wiedzą, żeby się do Pauli nie zbliżać, bo można sobie kłopotów napytać. Przy czym słowo „napytać” jest w tym wypadku mocno nieprecyzyjne, jakby co, to pan Praszczur o nic nikogo z pewnością pytać nie będzie, kłopoty pojawią się automatycznie.

Dla obojga był to zdecydowanie najdłuższy związek w ich życiorysach, Pauli nawet się trochę nudzić zaczynała, bo już trzy sobotnie dyskoteki zmarnowała... A jak jeszcze dodać do tego trzy piątkowe, to już będzie... ten, no, niech no Paula policzy... to będzie... zaraz_ to już będzie osiem dyskotek, na których miała stałego narzeczonego. Normalnie jakaś tragedia!

A ona była legendą okolicznych dyskotek, bezdyskusyjną Carycą Umpa-Umpa, ona na co dzień poruszała się w rytmie techno, co postronni obserwatorzy błędnie odczytywali jako nieszczęśliwe schorzenie psychoruchowe. Znała na pamięć wszystkie teksty dyskotekowych przebojów, te po angielsku też, tylko nie wiedziała, że to po angielsku. Ale znała.

Miała dziewiętnaście lat, a od dziesięciu była na dyskotece co najmniej dwa razy w tygodniu. Bawiła się z zapaleniem płuc, tańczyła z nogą w gipsie, o katarze czy migrenie nie

wspominając. Od dziesięciu lat brylowała w dyskotekach, a wcześniejsze dziewięć traktowała jako beznadziejnie głupio stracone. Jako niewybaczalną pomyłkę młodości. Jako dziewięcioletni okres błędów i wypaczeń.

Dyskotekowych rytmów doszukiwała się w przejeżdżającym tramwaju, dosłuchiwała się w brzęku restauracyjnych naczyń, a jeśli ktoś lub coś trzy razy z rzędu zagrało w miarę rytmicznie, Paula od razu zaczynała tańczyć, rozglądać się za didżejem i szukać gościa, który ewentualnie mógłby jej postawić drinka.

W rytmie techno myła zęby, uprawiała seks (to dopiero musiało być monotonne!) i brała prysznic, w charakterystycznym tempie łup-łup-łup robiła sobie makijaż i wyciągała listy ze skrzynki, w tanecznym rytmie przygotowywała herbatę, a nawet robiła siku. Więcej - istnienie dyskoteki było dla Pauli najlepszym dowodem na to, że Pan Bóg jest i czasami ma zajebiste pomysły.

I choćby z tego względu trzytygodniowa absencja była nie do pomyślenia, w końcu która z wielkich światowych imperatorek dobrowolnie opuściłaby tron jedynie dlatego, że znalazła sobie następnego fagasa? Czy nowy narzeczony to rzeczywiście powód do abdykacji? Jeśli tak, to w świecie wielkich królowych, włączając w to również królowe dyskoteki, o ustąpieniu ze swej funkcji powinien pomyśleć wyłącznie nowy narzeczony.

Koleżanki niby jej zazdrościły Praszczura, ale za plecami - to Paula wie na pewno, bo zna się na ludziach i ma w tych kwestiach instynkt poparty wiedzą - śmiały się z niej w najlepsze. Taka Anka na przykład wprost mówiła: „Te, Paula, a może jeszcze do zakonu pójdziesz, co?”. O, właśnie w ten sposób się śmiała.

Już by dawno odkochała się w Praszczurze, już by się od niego wyprowadziła, już by nawet na Praszczurową forszę patrzeć nie chciała, ale facet okazał się sprytną bestią w relacjach damsko-męskich i licznie wręczanymi prezentami Paulę jak liną okrętową do siebie przywiązał.

Codziennie coś jej przynosił, i to codziennie coś zaskakującego. Na przykład w czwartek dwa radia samochodowe, w piątek taką fajną torebkę, trochę używaną, ale całkiem, całkiem. Najzabawniejsze, że w tej torebce był komplet dokumentów na jakąś Małgorzatę Mańkowską, a przecież Paula wcale się tak nie nazywa. No to teraz Paula ma pole do śmiesznych żartów i dowcipów, bo raz się przedstawia jako Paula, a raz jako Małgorzata Mańkowska. Po prostu boki zrywać.

Któregoś dnia poszła do sklepu, wzięła sobie obłędne czerwone stringi („Praszczur oszaleje, zobaczy pani, Praszczur oszaleje!), wyjęła kartę tej całej Mańkowskiej i już by sobie na jej koszt cudną bieliznę zafundowała, ale karta była zablokowana.

Bez łachy, poskarżyła się w domu Praszczurowi, jak ją wrednie w sklepie potraktowali, i następnego dnia przyniósł jej dwanaście par takich stringów. Nowiuśkich. Z metkami. Tylko te plastikowe alarmy trzeba było sprytnie wyciąć i już można było nosić. Owszem, nie wszystkie majtki pasowały rozmiarami, ale dla ukochanego Praszczura to przecież Paula może przytyć albo schudnąć. A co tam, kto naprawdę kocha, tego stać na rzeczy niemożliwe. *Power of Loye!* Niech ta cała Małgorzata Mańkowska spieprza na drzewo ze swoją zablokowaną kartą.

Każdego dnia inny upominek. Złoty łańcuszek - piękny, tylko go trzeba było ze wstrętnych rudych włosów wyczyścić, które się jakoś do prezentu przyczepiły. Tylna wycieraczka do BMW, ale Pauli ten prezent akurat się nie spodobał, bo niby po cholere jej tylne wycieraczki do BMW. Dlatego nazajutrz do tylnej wycieraczki dostała resztę BMW. Do kompletu. Teraz też głupia sytuacja, bo ma jedną tylną wycieraczkę za dużo. Albo ją położy na telewizorze jako gadżet, albo wyśle do głodującej Somalii, bo ma serce i wrażliwość, i w ogóle dobro ogólne w sobie.

No, ale Praszczur przeszedł sam siebie w tych prezentach. Przydzwigał do domu maszynę

do zamiany godzin. Normalnie to Paulę w ogóle nie zainteresowało, bo ona ma swoje godziny i te innych jej specjalnie nie obchodzą. Może trochę godziny Praszczura ją obchodzą, ale na pewno nie na tyle, aby się własnymi wymieniać. Bo i niby po co Praszczurowi jej godzina? A niby czemu nie odwrotnie? Jakby tak Praszczur oddał Pauli swoją godzinę, to co innego, to już ona wiedziałaby, co robić - przez dodatkową godzinę siedziałaby przed lustrem i poprawiała pasemka. Albo nie, inaczej - pół godziny na poprawę pasemek, drugie pół to wizyta na forach internetowych i wpisywanie, która aktorka jest fajna, a która beznadziejna. I to byłaby sensownie wykorzystana dodatkowa godzina.

Tyle że Praszczur dyskusji nie podejmował, tylko z wypiekami na twarzy opowiadał, ile dzięki tej skrzynce można pieniędzy zarobić. I że nie ma czasu na duperele, bo trzeba przeprowadzić test - on stanie z jednej strony, Paula z drugiej, a po chwili on będzie miał 25 godzin, ona 23. Trochę się Paula obraziła na taką propozycję: „Weź ty się Praszczur może lepiej zdrzemnij, co? Po co ci moja dodatkowa godzina, skoro chcę z tobą resztę życia spędzić?”. Tak właśnie zupełnie nieoczekiwanie na romantycznych strunach Praszczurowej wrażliwości zagrała.

Jednak nie był to najlepszy moment na romantyczne wisty, bo jak się jakiś pieniądz do zarobienia na horyzoncie pojawiał, to cały romantyzm Praszczura znikał nieubłaganie. A że Praszczur miał w sobie żyłkę biznesmena i w sumie cały czas na horyzoncie był jakiś interes do zrobienia, to na czułości nigdy miejsca nie było. Tylko się Praszczur niepotrzebnie rozdrażnił, na siłę Paulę do maszyny wsadził, sam z drugiej strony się usadowił i jak stremowany amator, jak debiutujący kochanek z lekka trzęsącą się ręką guzik z napisem „start” wcisnął.

W ułamku sekundy Praszczurowi przybyło piętnaście lat, czyli - licząc skrupulatnie - 131 400 godzin, Paula zaś wyszła z maszyny jako czteroletnia dziewczynka. Wyglądało to tak, jakby wujcio Praszczur małą Paulinę do przedszkola odprowadzał. Wujcio brzucha gigantycznego dostał, z taką troską pielęgnowany biceps sflaczał wstydliwie, pięknie napompowany sterydami kark teraz zmarszczony był niczym wątroba alkoholika. Najmniej korzystnie prezentowała się pierś Praszczura - tony żelastwa dźwigane na kłacie na nic się zdały, teraz była chuda i zapadnięta, a dwa sutki zwisały niczym ze starej kozy.

Spojrzał Praszczur w lustro i dojść prawdy nie mógł - czy to siebie w lustrzanym odbiciu dostrzegł, czy też swego pitbulla Carlosa - podobieństwo było uderzające. Rację mają ci, którzy twierdzą, że pies upodabnia się do swojego właściciela. W tym konkretnym przypadku to racja *a rebours* - właściciel upodobił się do swojego psa, zaś uczynił to w sposób zapierający dech w piersiach.

Jedynie, co pozostało bez zmian to fryzura. W obu przypadkach głoca Praszczura przypominała taflę jeziora podczas flauty - płasko, gładko, jednorodnie.

Z kolei w przypadku Pauli - teraz małej Pauliny - zmiany okazały się nad wyraz korzystne - zniknęły gdzieś bezpowrotnie i wulgarny makijaż, i utapirowany blondwłosy krzyk rozpaczki branży fryzjerskiej. Sto czternaście bransoletek dumnie dyndających na przegubach dużej Pauli teraz z hukiem spadło na podłogę z chudych dziecięcych rączek małej Pauliny. Na twarzy czteroletniej dziewczynki pojawił się uśmiech, który bez chwili wahania dałoby się uznać za miły, paznokcie wreszcie zaczęły przypominać paznokcie - tak! Tak! Teraz na Paulę śmiało można było patrzeć bez obrzydzenia. Ba! Nawet ze sporą dawką nieklamanej sympatii.

Najciekawsze zmiany dokonały się jednak - określając to może zbyt szumnie - w mózgach obojga. Czterdziestoletni Praszczur spoglądał w lustro z tępą miną faceta, któremu w życiu nie wyszło. Zatem najpierw stłukł je, a później, w imię rewanzu - brawo, brawo, cóż za błyskotliwy, brawurowy pomysł - rozniósł w drzazgi maszynę do zamiany godzin. Szansa na powrót do poprzedniego stanu malała z każdym ciosem zadawanym czterem bogu ducha winnym deskom.

O ile przed przemianą był dwudziestopięcioletnim groźnym debilem, o tyle teraz był czterdziestoletnim przegrany debilem i nie sposób jednoznacznie orzec, w którym wcieleniu był bardziej żalony.

Tymczasem - zupełnie niewiarygodna rzecz - IQ Pauli najwyraźniej wzrosło. Ponownie była miłą czteroletnią dziewczynką, chętnie uczącą się naiwnych wierszyków czy wyśpiewującą uroczo infantylne piosenki o zwierzakach i królewnach. Z ciekawością czteroletniego bystrego brzdąca najpierw bawiła się szczątkami maszyny do zamiany godzin, aby po chwili chwycić w małe rączki miotłę i szufelkę z wyraźnym planem uprzątnięcia kawałków lustra roztrzaskanego przez wujcia Praszczura.

Sam wujcio obserwował czteroletnią Paulę z nieskrywanym obrzydzeniem - nienawidził małych dzieci, jego zdaniem były mocno zbędne, a już małe dzieci w jego własnym mieszkaniu były nie tylko zbędne, ale i do bólu drażniące. Paulina z kolei patrzyła na wujcia Praszczura z przestraczem - niby kogoś jej ten brzydki pan przypominał, niby coś jej tam w czteroletniej główce świtało, niby chciała się do tego starszego pana odezwać, niemniej jako rezolutna czteroletnia dziewczynka wybrała najbezpieczniejszą opcję i po prostu wybiegła z mieszkania.

Wszystko było ogromne, gnało, pędziło, trąbiło, huczało, darło się, kłóciło, wyzywało i wyżywało, ale nic nie zwracało uwagi na Paulinę. Dziewczynka - nad wyraz spokojnie jak na swój wiek i położenie - przyglądała się biegnącemu obok niej miastu, pogłaskała małego pieska, a od ulicznej handlarki wycyganiła truskawkowego lizaka. Można było odnieść wrażenie, że skrzyżowanie ulicznego hałasu z miejskim chaosem sprawiało jej sporą frajdę.

Przygoda była przednia do chwili, w której do Pauli podszedł posterunkowy Dudziarz. Ooo, zapewne wielu znacie policjantów, wielu ich mieliście większą lub mniejszą przyjemność na swej drodze - tudzież drodze krajowej - spotkać, ale takiego fanatyka regulaminów i kodeksów jak posterunkowy Dudziarz zapewne nigdy nie widzieliście.

Zaobserwowawszy na ulicy Juliana Tuwima samotną dziewczynkę w wieku około czterech lat, posterunkowy Dudziarz przystąpił do wykonywania czynności służbowych. Metodą obserwacyjną ustalił, że chodzi ona na odcinku od Juliana Tuwima 23 do Juliana Tuwima 37. W toku dalszych czynności śledczych przyjął hipotezę, że dziewczynka z nikim się nie umówiła w konkretnym miejscu ani nikogo nie zgubiła. Nie rozpaczała, o czym świadczył ewidentnie stwierdzony brak łąz. Dlatego też posterunkowy Dudziarz, w celu wyjaśnienia zajścia, jakim był samotny spacer osoby małoletniej po odcinku ulicy Juliana Tuwima, podjął decyzję o rozpoczęciu interwencji bezpośredniej i podszedł do sprawcy zdarzenia.

Zasalutował przed Pauliną, poprawił mundur, w nienagannym stylu trzepnął obcasami, przedstawił się, pokazał legitymację służbową, podał numer - też zresztą służbowy, wyciągnął raportówkę i bezzwłocznie przystąpił do zadawania pytań w celu:

- a) sporządzenia notatki służbowej numer 27/04,
- b) wyjaśnienia zagadkowej sprawy.

Zawodowa czujność posterunkowego Dudziarza nie zawiodła go i tym razem. Policyjny instynkt i wieloletnie doświadczenie podpowiadały mu, że coś musi być nie tak w samotnym spacerze („...bez wyraźnego, określonego celu” - podkreślił słusznie w raporcie) małoletniego dziecka płci żeńskiej trwającym ponad trzy i pół godziny („Możliwe, że czas spaceru był dłuższy. Trzy i pół godziny trwała moja obserwacja, a spacer z pewnością mógł rozpocząć się wcześniej” - logicznie wnioskował posterunkowy Dudziarz we wzorcowo sporządzonym sprawozdaniu).

Interwencja wykazała, że dziecko nie potrafi wskazać miejsca zamieszkania rodziców ani żadnego opiekuna prawnego. Nie udało się także ustalić miejsca stałego pobytu dziewczynki, numeru telefonu („...ani żadnego innego dokumentu pozwalającego na identyfikację” - rozwiął bezlitośnie ostatnią nadzieję na happy end posterunkowy Dudziarz), dlatego też policjant

zdecydował się zawieźć dziecko na komisariat i tam wszcząć stosowne procedury poszukiwania rozwiązania zaistniałej sytuacji. („Z racji na wiek zatrzymanej dwukrotnie pouczyłem ją o celu zatrzymania oraz trzykrotnie pociesyłem, żeby się nie bała” - posterunkowy Dudziarz kończył notatkę nie tylko wykazaniem wybornej znajomości regulaminu, ale i pokazaniem ludzkiej, pozasłużbowej twarzy).

Niestety, sprawna akcja funkcjonariuszy, komunikaty w mediach i wywiad środowiskowy oraz - co warto podkreślić - osobiste zaangażowanie posterunkowego Dudziarza nie przyniosły najmniejszych rezultatów. Tak mu się służbowe serce krajało, kiedy odwoził dziewczynkę do domu dziecka, że aż o przygarnięciu pod swój dach biednej, niewinnej zguby zaczął myśleć. Kiedy jednak uświadomił sobie, jakich to cudów biurokratycznych trzeba dokonać, aby adopcja była zgodna z literą prawa - odpuścił. Posterunkowy Dudziarz otarł spocone czoło z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, pomachał jeszcze dziewczynce na pożegnanie, mimo że policyjnym twardzielem był, to łezkę spod oka wytarł, po czym pojechał dalej naprawiać świat. I na tym, niestety, rola posterunkowego Dudziarza w całej historii się kończy...

W domu dziecka Paulina, przynajmniej w pierwszych dniach pobytu, nie wyróżniała się niczym szczególnym. Nie odstawała od grupy, z kilkoma koleżankami natychmiast znalazła wspólny język, trochę broiła, zdarzyło się jej nad wyraz dojrzałe odpysknać wychowawcom - ale taka była norma.

Ciągnęło ją do lalek, a każdą ubierała w maksymalnie jaskrawe sukienki. To nie budziło niczyich podejrzeń, bo - po pierwsze - rówieśniczki Pauliny też ubierały swoje lalki w różowe ciuchy, po drugie - ubranek w innych kolorach nie było.

- Po co kupować sukienki w innych kolorach, skoro dziewczynki chcą się bawić tylko różowymi - tłumaczyła pani dyrektor i tym samym monopol różu stawał się faktem.

Jako jedyna w grupie maluchów potrafiła sobie akwarelowymi farbami pomalować paznokcie, co doprowadzało do furii opiekunki, jednocześnie wzbudzając zachwyt koleżanek. W zamian za pomalowanie paznokci współtowarzyszkom bidulowej niedoli stała się nieformalną liderką grupy, przyjaciółką wszystkich dziewczyn i tą, w której większość chłopaków się skrycie podkochuje.

Jednak prawdziwa bomba wybuchła na rytmice. Chłopcy raz w tygodniu mieli zajęcia sportowe, wtedy do dziewczynek przychodziła pani Krakowiak i uczyła je podstaw muzycznych: pierwszych tanecznych kroków i wycucia rytmu.

Pani Krakowiak miała swoje metody - kiedy w grupie pojawiał się ktoś nowy, to brała go na środek i prosiła o wykonanie kilku prostych ćwiczeń. Ot tak, żeby się lepiej poznać, przełamać barierę wstydu i niepewności, żeby - dając możliwość solowego występu przed resztą koleżanek - zaskarbić sobie sympatię nowego ucznia. Różnie te solowe próby wychodziły, raz lepiej, częściej gorzej, ale nie o poziom artystyczny tu chodziło. Metodę pani Krakowiak uwielbiali wszyscy, więc takiemu testowi została poddana i Paulina.

Dziewczynka wypadła fenomenalnie. Czteroletni brzdąc na swoich pierwszych w życiu zajęciach z rytmiki wyklaskał absolutnie wszystko, w dodatku równiutko jak metronom. Jakby w środku niej działał dobrze zaprogramowany muzyczny plugin pozwalający precyzyjnie oddać wszystkie klask - klask -klask. Do dłoni Paula sama z siebie dołożyła rytmiczne tupanie. Wszystko w rytmie, w tempie, z fajnym muzycznym biglem i - co najważniejsze - sprawiające niewiarygodną radość małej Pauli. Pierwszy raz w domu dziecka śmiała się pełnym głosem, pierwszy raz - no, może poza malowaniem paznokci akwarelowymi farbami - miała pewność, że jest w czymś najlepsza z grupy.

Szczęka pani Krakowiak opadła w wielkim zachwycie do kolan.

- Gdzie ty ćwiczyłaś? Gdzie ty się tego, dziewczynko, nauczyłaś? - zasypywała ją gradem

pytań.

- Nigdzie! Ja tak sama... - prawie że zgodnie z prawdą odpowiadała Paula, a pani Krakowiak patrzyła na nią i wiedziała, że ma przed sobą brylant wymagający jedynie lekkiego podszlifowania.

Ze swoim odkryciem zgłosiła się do dyrektorki, zarzuciła ją setkami „ochów” i „achów”, że ta mała

Paulinka daleko zajdzie, że w tym wieku dzieci tak równo i rytmicznie nie klaszczą („No, chyba że czteroletni potomkowie jazzmanów z Nowego Orleanu”), że ona nie chce się wtrącać, ale jej zdaniem ojca dziewczynki należy szukać wśród perkusistów albo kontrabasistów, przy czym krąg poszukiwanych śmiało można zawęzić do najlepszych muzyków w kraju. I żeby koniecznie coś z tą dziewczynką robić w tym kierunku, żeby jej nie zmarnować, bo to szkoda takiego brylantu, zawodowi muzycy marzą o takim wyczuciu rytmu, śnią o takim „tajmingu”, a mała Paula ma to naturalne.

- Patrzyłam na nią i miałam wrażenie, że ona od lat nie robi nic innego, tylko trenuje rytmikę. Że od lat nie zajmuje się niczym innym, tylko nauką klaskania i tupania. To jest fenomen, pani dyrektor, fenomen! - gorączkowała się pani Krakowiak, ale słusznie, bo choć sama szkołę muzyczną kończyła, piętnaście lat różną dzieciarnię uczyła i obserwowała, to z takim arcytalentem jeszcze się nie zetknęła.

Dyrektorka rozpuściła wici wśród znajomych i już po tygodniu Paula została przesłuchana przez wybitnego profesora muzykologii zajmującego się szkoleniem młodzieży i wyławianiem talentów. Tu werdykt brzmiał nieco mniej frenetycznie, acz też niezwykle korzystnie.

- Dziewczynka, owszem, pod względem wyczucia rytmu jest doskonała, natomiast ma kłopoty z trudniejszymi liniami melodycznymi. Proste piosenki powtarza znakomicie, bez najmniejszych problemów, za pierwszym razem, kiedy jednak pojawia się minimalnie inne frazowanie, minimalna zmiana tempa, wyraźnie fałszuje. Reasumując - estradową gwiazdeczką, piosenkarką popową czy dyskotekową już dziś może być. Ale jeśli ma być artystką, i to wybitną, a są na to spore szanse, powinna ćwiczyć - stwierdził profesor. Ważniejsze od samej oceny było jednak to, że wybitny muzykolog zgodził się włączyć Paulę do najmłodszej grupy swoich wychowanków zgłębiających tajemnicę fortepianowej klawiatury. No i - chyba najważniejsze - biorąc pod uwagę skalę talentu i sytuację życiową Pauli, zgodził się zrobić to gratis.

Profesorska diagnoza była do bólu trafna, acz odrobinę niepełna. Otóż Paula nie tylko nie potrafiła grać czysto rzeczy trudniejszych, ale w ogóle nie miała takiego zamiaru. Jej największą pasją było rytmiczne łupanie w klawisze. Z uporem godnym lepszej sprawy umiała przez kilka godzin - na jednym dowolnym akordzie - napażać łup-łup-łup. Bardziej skomplikowane utwory nudziły ją, męczyły i jedynie rozdrażniały. Profesor zdawał sobie sprawę, że to kwestia wieku i że czteroletnie dzieci lubią robić to, co potrafią najlepiej, ale z taką niechęcią do rzeczy nowych jeszcze się u swoich młodych muzyków nie spotkał.

- Ty masz, Paulinko, grać Beethovena, rozkoszować się Haendlem i Lisztem, zakochać się w Bartoku i Dworzaku, iść pod rękę ze Straussem i Vivaldim, spędzać czas z Mozartem i Chopinem, a ciągnie cię do Czerwonych Gitar albo Abby! - unosił się w pedagogicznym gniewie, rwał włosy z głowy, wpadał w stany przedzawałowe, w przyływie rezygnacji krzyczał nawet, że jeśli interesuje ją muzyka rozrywkowa, to niech przynajmniej gra jazz, a nie jakieś badziewie. - Ty masz być, Paulinko, wielką artystką, a nie muzykantem weselnym. Muzykantów weselnych są tysiące, tylko oni wszyscy razem wzięci nie mają w połowie takich możliwości jak ty, dziecko drogie, zrozum to wreszcie. - Wybitny profesor muzykologii prawie że modlił się i płakał rzewnymi łzami, bo siedział przed nim czteroletni geniusz ograniczający się jedynie do

genialnego łupania w klawiaturę.

Profesor podrzucał dziewczynce swoje ulubione płyty kompaktowe, załatwił przewodzkę z domu dziecka do rodziny zastępczej (też, zresztą, zawodowo zajmującej się muzyką), zabierał na koncerty dla dorosłych i muzyczne poranki dla najmłodszych, poświęcał jej mnóstwo prywatnego czasu, a nade wszystko kazał ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć.

Po pół roku Paula się poddała. Właściwie z dnia na dzień - jakby wielki magnes przyciągający ją do muzycznego badziewia i popeliny wyczerpał swą moc, jakby profesorowi udało się zasypać wielką studnię fatalnego smaku i gustu pod honorowym patronatem dyskotekowego łup-łup-łup.

Nikt nie wiedział, kiedy dziewczynka świętuje urodziny, więc profesor zdecydował, że Paula będzie dostawać prezenty i zdmuchiwać tortowe świeczki 27 stycznia, bo tego dnia na świat przyszedł wielki Wolfgang Amadeusz. W dniu swoich szóstych urodzin potrafiła zagrać już wszystko. Z lekkością wygrywała preludia i opusy, z zamkniętymi oczami śmigała po fugach Bacha, po jednym przesłuchaniu z pamięci odtwarzała Prokofiewa, a lekkie walce Straussa irtowały ją swoją łatwością i pewną powtarzalnością.

Profesor triumfował. Paulina potrafiła już bardzo wiele, dlatego wkrótce zaczęła poznawać tajniki kompozycji. Efekty przysły niespodziewanie szybko. Osłuchana z największymi dziełami muzyki poważnej bez kłopotu wymyślała motywy muzyczne nawiązujące stylistyką do dokonania wielkich mistrzów klawiatury, skrzypiec czy waltorni. Może brakowało tym wprawkom głębi i artystycznej dojrzałości, niemniej dziewczynka miała ewidentny dryg do komponowania. Co ciekawsze - do każdej wymyślonej melodii, która korespondowała z muzyką baroku czy oświecenia, z maniakałnym uporem wstawiała charakterystyczne łup-łup-łup. Efekt był zdumiewający - utwory Pauli nabierały życia i energii, pulsujący rytm w połączeniu z oryginalną linią melodyczną zachwycał profesora, ale i wielbiciel festiwalu w Opolu też nie pozostawał obojętny.

Starannie edukowana i nadzwyczajnie uzdolniona pod względem rytmicznym dziewczynka znalazła złoty środek, nad którym głowiły się wszelkiej maści autorytety - profesorowie muzykologii, gwiazdy popu, producenci, kompozytorzy, wytwórnie płytowe i miliony ludzi kiedykolwiek trzymających w rękach dowolny instrument muzyczny. Utwory Pauliny grywały orkiestry kameralne, można ich było posłuchać w filharmonii, młodzież szalała przy nich na studniówkach, prezenterzy mało ambitnych stacji radiowych z powodzeniem lansowali je na przeboje lata, zaś hotelarze płacili gigantyczne tantiemy, aby w ich windach pobrzmiwała muzyka Pauli.

Stał się cud. Arcydzieło goniło arcydzieło. Co prawda, o wielu kompozytorach swego czasu powiadało się jako o rasowych twórcach przebojów, ale pierwszy raz na taką skalę i w takich liczbach udało się skomponować dzieła łączące wysoką wartość artystyczną z powszechnym uwielbieniem tłumów. Profesorowie i znawcy zwracali uwagę na nowatorskie rozwiązania aranżacyjne, zachwycali się odpowiednią kadencyjnością muzycznej frazy, zmianami tempa, dynamiką i logiką całości, a przeciętni słuchacze pogwizdywali sobie te melodie w windzie i przy goleniu.

Płyty Pauli sprzedawały się grubo w milionach egzemplarzy. I za grube miliony. Wizyta na jej koncercie była nie tylko kulturalnym obowiązkiem, snobistycznym wydarzeniem sezonu, ale i niebotyczną przyjemnością. Z Pauliną chciały grać i największe orkiestry muzyki klasycznej, i popularne kapele rockowe. W obu przypadkach udział młodej artystki był jak najbardziej uzasadniony.

Udało się, jak na razie, uniknąć syndromu artystycznego wypalenia. Każda nowa płyta była inwazją świeżych pomysłów, awangardowych rozwiązań i tak niewyobrażalnych

stylistycznych mieszanek, że najbardziej czepialscy krytycy nijak nie mogli zarzucić jej powtarzalności czy schematyzmu. Więcej, wszechobecność muzyki Pauli - nadawanej w każdej telewizji, każdym radiu, w każdej windzie, na dworcu czy dyskotece - nie tylko nie zabijała jej walorów, ale wywoływała niemal narkotyczny głód słuchaczy. Jeszcze, jeszcze, jeszcze! Bis, bis, bis, pani Paulino!

Świat oszalał. Krytycy stawiali Paulę obok Mozarta i Beatlesów, Janusza Laskowskiego i Krzysztofa Pendereckiego, grupy Boys i orkiestry Glena Millera. Co więcej, przynajmniej tym razem nie można było powiedzieć, że jak zwykle się nie znają. Świat czekał na każdą kolejną płytę dwunastoletniej wówczas dziewczynki. Każdy nowy utwór uczennicy szkoły muzycznej niejako z automatu trafiał na pierwsze miejsca list przebojów.

Owszem, środowiskowi zazdrośnicy kręcili nosami i startowali z odwiecznymi teoriami, że tak jak Paulina może każdy komponować. Że może i jakiś tam talent małolata ma, ale karierę zawdzięcza znajomości z profesorem i tajemniczej przeszłości. Przecież żaden szanujący się tabloid, żadna stacja telewizyjna nie odpuści takiego tematu: „Wielki talent muzyczny znaleziony na ulicy! Geniusz z bidula! Kim są rodzice cudownej Pauliny?”. Jednak środowiskowi zazdrośnicy kręcili nosami i startowali z odwiecznymi teoriami do momentu, kiedy Paulina nie zaprosiła ich na wspólny koncert czy do „numeru gościnnego” na swojej płycie. Wtedy kończyło się prychnanie, a zaczynało odważne udowadnianie, że jednak ta młoda dziewczyna to rzeczywiście talent czystej wody. Ci, którzy zaproszeń od Pauliny nie dostali nigdy, konsekwentnie prychnali z pogardą i przedstawiali światu odwieczne teorie.

Kiedy po raz drugi Paula osiągnęła dziewiętnasty rok życia, miała już zapewnione miejsce w historii muzyki. Autorzy wszelkich opracowań, encyklopedii i leksykonów zgodnie wytyczali cesurę muzycznych dziejów - przed Paulą i po jej pierwszej nagranej płycie. Jak tania prowokacja brzmiało stwierdzenie profesora, który ukształtował ją artystycznie: „Tak naprawdę Paulina jest dopiero na początku drogi. Ma jeszcze sporo rzeczy do skomponowania”.

Tak jak jej utwory wywoływały dreszcze u słuchaczy, tak gawieź dostawała dreszczy, kiedy usłyszała cokolwiek nowego na temat życia prywatnego artystki. Punktem honoru każdego szanującego się szmatławca był artykuł ozdobiony zdjęciem Pauliny, najlepiej pijanej albo rozneglizowanej w objęciach narzeczonego. Gdyby narzeczoną był pierwszoligowy piłkarz, zatwardziały działacz ruchów gejowskich albo dwukrotnie żonaty polityk partii konserwatywnej, mielibyśmy do czynienia z pełnią szczęścia. Od biedy mogłyby być zdjęcia z supermarketu ewentualnie z restauracji. Tyle że takich materiałów nie było, bo być nie mogło. Zakupów nie robiła samodzielnie, narzeczonego nie istniał, no i jeszcze była abstynentką. Paparazzi przydzieleni do śledzenia losów wielkiej gwiazdy zdychali z głodu.

Owszem, wiele najznamienitszych męskich partii tego globu wysyłało zaproszenia na kolacje, rauty, przyjęcia czy - to jedynie najodważniejsi z nich - rejsy prywatnymi jachtami, ale wszystkie tego typu przesyłki lądowały w koszu. W życiu towarzysko-bankietowym nie uczestniczyła w ogóle. Bawiła ją tylko muzyka. Kiedy pojawiły się pogłoski o rzekomej słabości Pauli do innych pań, z miejsca o jej względy zaczęły zabiegać najlepsze żeńskie partie globu. Ich zaproszenia podzielały losy męskich odpowiedników.

W wywiadach artystka w ogóle nie mówiła o życiu prywatnym. Kiedy dziennikarz - mimo jasno wyrażonego zakazu - łamał umowę i pytał o kwestie niezwiązane z twórczością, Paula błyskawicznie przerywała rozmowę, a dwóch ochroniarzy łapało redaktora pod pachy i zrzucało go ze schodów. Jeśli wywiad był akurat przeprowadzany na parterze i w pobliżu nie było odpowiednio wysokich schodów, nieszczęsny dziennikarz najnormalniej w świecie brał po mordzie.

Kwestia życia uczuciowego kompozytorki była o tyle fascynująca, że poza arcytalentem i

pracowitością natura obdarzyła ją fenomenalną urodą - długie blond włosy, smukła szyja, piersi tak okrągłe, że na ich modelu młodzież mogłaby się uczyć geometrii i poznawać wzór na średnicę koła. Tak to już ktoś niesprawiedliwe ustalił, że jeden dostaje w spadku pięć milionów dolarów, a drugi musi od tej sumy zapłacić podatek. Najbardziej biegły i przenikliwy detektyw nie poznałby w eleganckiej, do perfekcji zadbanej kobiecie ordynarnego dyskotekowego lachotłuka z przetłuszczonymi odrostami na głowie. To tak jakby Czomolungmę porównywać do osiedlowej górki, z której śmiga na sankach okoliczna gówniarzeria poniżej piątego roku życia.

Domysły były różnorakie - tajemnicy doszukiwano się w przeszłości, ale nigdy nie odnalazła się prawowita rodzina Pauli. Owszem, zgłaszało się wielu naciągaczy i oszustów deklarujących się albo jako rodzice, albo jako dalekie wujostwo. Wszyscy wyrażający chęć i wewnętrzną potrzebę roztoczenia opieki nad genialną artystką, bo w końcu kariera karierą, ale rodzina też się przyda. Jednak jakichkolwiek dowodów potwierdzających więzy krwi nikt nie potrafił przedstawić. Niektórych rozsadała wyobraźnia. Zjawilo się małżeństwo twierdzące, że Paulina to ich córka, która w zupełnie niezrozumiały sposób odmłodniała o piętnaście lat. Zostali przepędzeni przez ochroniarzy. Samej zainteresowanej nawet o tej historii nie informowano, aby nie rozpraszać gwiazdy przed ważnym występem.

Po tym właśnie występie - a było to kilka dni po dziewiętnastych urodzinach Pauli - doszło do niecodziennego zdarzenia. Oto ochroniarze genialnej kompozytorki najwidoczniej zagapili się i podchodzącą do limuzyny artystkę zaczął sympatyczny parkingowy żul.

- Pani mistrzynio! Pani mistrzynio! Ja wszystkie pani kawałki znam, bardzo lubię i nawet mogę zaśpiewać. A jeszcze autka pilnowałem! Pani patrzy, pani mistrzynio, nawet niezadrapane! - wyznawał uwielbienie sześćdziesięcioletni na oko mężczyzna, ambitnie wyceniając swoje zasługi na pięć złotych.

Rozbawiona Paulina wielkopańskim gestem dała całą dychę i wsiadła do auta, po chwili zapominając o sprawie. Tymczasem sympatyczny parkingowy żul długo stał i patrzył za odjeżdżającym samochodem. Jeszcze pomachał artystce na pożegnanie, ale ten gest został zauważony jedynie przez towarzysza z branży.

- A ty co, kurwa? Zakochałeś się, kurwa? Nie dla psa, kurwa, kiełbasa, kurwa! - skomentował Adaś Hubacki, a niech jego słodką tajemnicą pozostanie to, jakiego słowa używał w życiu najchętniej.

- Nie uwierzysz, ale kiedyś taką miałem! Piętnaście lat temu miałem taką. Przez miesiąc nie wychodziliśmy z łóżka - rzucił niespodziewanie sympatyczny parkingowy żul.

- Taa, kurwa! Ty, Praszczur, akurat taką, kurwa, miałeś! Chyba, kurwa, własną rękę, kurwa! - w swojej ulubionej poetyce polemizował Adaś Hubacki.

Praszczur nie odpowiedział. Stał i patrzył na róg ulicy, za którym przed chwilą zniknęła czarna limuzyna z uznaną kompozytorką. Praszczur - tak naprawdę jedyny człowiek na świecie, który potrafiłby opowiedzieć historię genialnego talentu Pauliny - no, przynajmniej wczesnych początków. Ale kto by tam wierzył opowieściom parkingowych żuli. Kto by tam wierzył w nieprawdopodobne historie sprzed piętnastu lat...

PROSZĘ
ZADAWAĆ TYLKO
TE PYTANIA, KTÓRE
PANI ROZUMIE!



3. ZWYCIĘSTWA I PORAŻKI

- Listę zrobić! Numerki rozdać, to jakiś porządek będzie!
- Dwie listy! Listę A dla tych, co chcą kupić, listę B dla tych, co chcą sprzedać!
- Odwrotnie. Właśnie A dla tych, co chcą sprzedać. Ważniejsi są!
- Nie pierdol, dziadek! Jacy ważniejsi?

Tłum przed wejściem do warsztatu wuja Franciszka liczył ze czterysta osób. Dwie osiedlowe uliczki były sparaliżowane, ale paraliżującym nie przeszkadzało to w najmniejszym stopniu.

- Słyszała pani, że podobno rozbierać się trzeba do tej maszyny?
- A co mi tam, jak płacą, to mogę się rozbierać...
- Bzdury, wchodzi pani do tej maszyny normalnie, kurtkę trzeba tylko ściągnąć, po dwóch minutach pani wychodzi i od razu forszę wypłacają... Tylko że czasu coraz mniej!
- No i co, że mniej. Potem się odeśpi!

Takie wiadomości rozchodzą się szybciej niż epidemia grypy. Jeśli ktoś rzuca hasło: „Można łatwo dorobić i to bez szczególnego wysiłku”, to po kwadransie wie o tym cała okolica, po godzinie całe miasto, a po dwóch sprawą zaczynają się interesować lokalne media. Jakkolwiek głupio brzmiałaby informacja, jakkolwiek nieprawdopodobną bzdurę puściłoby się w teren, to jeśli wniosek końcowy komunikatu brzmi: „Uwaga! Można łatwo dorobić i to bez szczególnego wysiłku” - zawsze znajdą się odważni gotowi sprawdzić wiarygodność przekazu.

Stara ludowa prawda głosi, że naprawdę lepiej iść samemu, zobaczyć, wy badać, rozejrzeć się, podpytać, niż siedzieć w domu, a później przez pół roku słuchać legend o szczęśliwcach, którzy odważyli się, poszli i niemiłosiernie się wzbogacili. Albo przynajmniej opowieści tych, co to znają szczęśliwców, którzy się wzbogacili, bądź też znają kogoś, kto jest w doskonałej komitywie z kimś, kto zdołał się wzbogacić.

Tak naprawdę ryzyko jest żadne. Jeśli informacje o łatwym zarobku okazują się być - hm, eufemistycznie rzecz ujmując - wyolbrzymione, to zawsze można wzruszyć ramionami i powiedzieć: „Od razu wiedziałem! Ja tu tylko przyszedłem popatrzeć na tych naiwniaków, którzy naprawdę się ludzili, że będą forszę rozdawać”. O, tak, to jest fantastyczna postawa! Jeszcze człowiek z niedowierzaniem kręci głową i głośno pomstuje, że tylu głupków w jego mieście pomieszkuje. Jeszcze człowiek na potrzeby rodzinnych imienin i pogrzebów stworzy anegdotkę, jak to sobie poszedł pooglądać idiotów liczących na łatwy grosz. Jeszcze człowiek o dziesięć centymetrów w swoim jestestwie urośnie, że on taki cwany i wyrachowany, że tylko przyszedł na darmowe widowisko, a reszta to naiwne matoly i łatwowiecy.

Tak naprawdę ryzyko jest żadne. Jeśli bowiem pogłoski o łatwym zarobku okazują się być jak najbardziej wiarygodne, to człowiek zawsze może wzruszyć ramionami i powiedzieć: „Od razu wiedziałem! Za stary wróbel jestem, aby tak łatwo wykołegować się z genialnego interesu?”. O, tak, to jest fantastyczna postawa. Jeszcze człowiek z niedowierzaniem kręci głową i głośno pomstuje, że tylu frajerów z jego miasta w ogóle nie przyszło. Nawet leniwym leszczom ruszyć się tyłka nie chciało! I dobrze, będzie mniej chętnych do podziału! Jeszcze na potrzeby rodzinnych imienin i pogrzebów stworzy heroiczną opowieść, jak to wyczuł pismo nosem, zwiertzył okazję, z daleka rozpoznał korzystną koniunkturę i w ogóle jakie to ma niemal profetyczne zdolności. Jeszcze człowiek o dziesięć centymetrów w swoim jestestwie urośnie, że taki z niego zapobiegliwy i łebski gość, a reszta to zwykłe matoly, w dodatku leniwe.

Wuj Franciszek z dumą popatrzył na tłum zza firanki.

- O ósmej rano otwieramy, szóstej jeszcze nie ma i już czeka kilkaset osób. To jest dopiero sukces! - pokrzykiwał radośnie, doprowadzając Grażynę do szału, bo pozostali domownicy nadal w najlepsze spali. Ona też nie oderwałaby głowy od poduszki, ale trudno spać, gdy ktoś od pół godziny wydziera się na cały dom: „To jest dopiero sukces!”.

- Franek, może następnym razem mógłbyś skonstruować jakiś uniwersalny tłumik, co? - syczała przez zęby. - Przecież my z Piotrem idziemy do pracy, dzieci do przedszkola, dajże przynajmniej im się wyspać!

Wuj Franciszek był w zbyt szampańskim nastroju, aby tracić czas na durne polemiki. On teraz będzie czasem handlował, fortunę zbijał, już niedługo banknotami lufciki uszczelniała. Przed nim teraz wielkie, monstrualne wręcz perspektywy. To stać go na wielkopański gest, aby o szóstej rano się nie wydzierać. Niech śpią, jeśli wolą przespać moment, w którym tworzy się historia. Tak jest, niech śpią. Sukces jest bezdyskusyjny, nie trzeba o nim głośno krzyczeć, i tak wszyscy będą chwalić, poklepywać po ramieniu wuja Franciszka.

Kilkaset osób przed domem, a reklamy właściwie nie było żadnej. Trzy papierowe ogłoszenia sporządzone markerami i mocno ograniczonymi zdolnościami plastycznymi wuja Franciszka. Tyle. I wystarczyło. Gdzieś ktoś komuś powiedział, ktoś coś usłyszał, poczta pantoflowa zadziałała bez zarzutu i ludzkość zwietrzyła szansę. Na zarobek, na korzystne zmiany, na niezły biznes.

Jeszcze wczoraj krawaciarz biznesmen nie chciałby na wuja Franciszka splunąć, teraz pokornie stoi gdzieś w czternastym rzędku i czeka na swoją kolej. Pytanie tylko, czy chce kupić dodatkowe godziny, czy może kredyt jakiś go przerósł i teraz będzie cenne biznesowe minuty opylał, aby dziurę w budżecie zakryć?

A ta młoda dama w futerku i białych kozaczkach? No ta, w miarę ładna taka, co w siódmym rzędzie stoi... Ta, tak, z pępkiem na wierzchu i wielkimi złotymi kolczykami. Jak to - gdzie kolczyki? W uszach, rzeczonym pępku, nosie, na wardze, w brodzie, brwiach, a ci, którzy ją bardzo dobrze znają, wymienią jeszcze jedną, dość istotną lokalizację. Ona chyba chce dorobić, bo i niby po co jej dodatkowe dwie czy trzy godzinki? Na solarium?

A te trzy starsze panie, które przed chwilą skutecznie wepchały się na sam początek? Nie przypominały biednych rencistek z chudym portfelem, bardziej już niemieckie emerytki wożące stare gnaty luksusowym autokarem po Europie. Dorobić czy kupić? Czy może po prostu pogapić się i poplotkować? Bo ostatnio takie tłumy w miasteczku zgromadziły się na pogrzebie wieloletniego szefa tutejszej straży pożarnej, a później na koncercie grupy Kombi, która walczyła na parkingu przed supermarketem. Przy czym pogrzeb szefa straży był dużo ciekawszym wydarzeniem, o poziomie artystycznym nawet nie ma co wspominać. A tu, przed warsztatem wuja Franka, materiał do plotkowania rodził się pierwszorzędnym.

No i jak interpretować obecność dwóch umundurowanych policjantów? Służbowo tu przyszli, sprawdzić, co się dzieje, co to za zamieszanie i zbiegowisko o szóstej nad ranem? Czy tu aby nikt nie wznosi niemiłych okrzyków pod adresem najznamienitszych obywateli miasteczka? Czy tu przypadkiem nie skanduje się nieprzyzwoitych haseł i prawd o możliwościach intelektualnych i kondycji moralnej naszych elit? A może po prostu przyszli dorobić do upokarzającej pensji, ot tak, przechodzili, zorientowali się w czym rzecz i nawet do domu nie pojechali cywilnych ciuchów włożyć, aby ich okazja nie minęła? Zdecydowanie najmniej prawdopodobne wydawało się przypuszczenie, jakoby dwóch policjantów chciało sobie dokupić z upokarzającej pensji kilka godzin i przeznaczyć je na najbardziej pilną i czasochłonną robotę papierkową...

Przepychały się przed warsztatem wuja Franciszka wszelakie grupy społeczne, różne pokolenia, stany i doświadczenia życiowe. A w każdej z kilkuset głów siedział podobny plan:

„No, to teraz się, kurczę blade, zmieni. Karta na lepsze się odmieni, w końcu kiedyś musi! Było jak było, ale teraz to dopiero zacznie się prawdziwe życie! No, teraz to ja dopiero wszystkim pokażę!”.

Realizacja tych ambitnych zamierzeń zależała od wuja Franciszka, który długo obserwował tłum zza firanki, a kiedy wreszcie odjechał od okna, zatarł ręce i nie bacząc na prośby Grażyny, gromko wykrzyknął:

- Tak! To jest dopiero sukces!

Pół godziny przed wielką inauguracją pojawiły się pierwsze problemy. Chętni zatarasowali i furtkę, i bramę wjazdową do garażu, w związku z czym Piotr i Grażyna musieli uciekać się do alarmowych telefonów do pracy z prośbą o dzień wolny „z przyczyn losowych”.

- Bardzo dobrze! Pomożecie! Będziecie ochroniarzami obiektu. Ktoś musi pilnować porządku, bo się tu pozabijają! - skomentował wuj czyniący jednocześnie ostatnie poprawki w przemówieniu powitalnym.

- No, ochroniarz! Zawsze to jakaś fucha. I tak dobrze, że nie lokaj - prychnął Piotr.

- Jak się Piotrek sprawdzisz, to w przyszłym tygodniu, kto wie, może cię przy kasie posadzę. - Triumfalizm w głosie wuja Franciszka był nieco tylko mniejszy od jego tremy.

- Jeszcze lepiej. Albo ochroniarz, albo kasjer! Wysoko mnie cenisz. Szkoda, że wcześniej tej maszyny nie skonstruowałeś, tobym nawet studiów nie zaczynał. - Zdenerwowanie w głosie Piotra było z kolei dużo większe od ciekawości, co za chwilę będzie się działo w warsztacie wielkiego konstruktora i wynalazcy.

- Ty w niedzielę bądź taki wygadany, to może w końcu raz ze mną w quizie wygrasz! - Wuj z harcerską nadgorliwością sięgnął po argument ostateczny i Piotr pojął, że wielki konstruktor i wynalazca najnormalniej w świecie trzęsie się ze strachu. Jeszcze się cały handel czasem nie zaczął, a sprawa już go przerosła. Jeszcze złotówki na swoim wynalazku życia wuj nie zarobił, a najchętniej oddałby funkcję prezesa komuś bardziej zaradnemu i obrotnemu. Sam z przyjemnością zamknąłby się w garażu, konstruował genialne lub prawie genialne urządzenia i przygotowywał pasjonujące quizy rodzinne.

Kwadrans przed ósmą wuj stwierdził, że jest nieprzygotowany, że maszyna - owszem, rewelacyjna - niemniej wymaga jeszcze pewnych usprawnień, i że najlepszym pomysłem na obecną chwilę jest odwołanie wielkiej inauguracji.

Moment, moment, zaraz_ Jak odwołać?! Przecież ci ludzie ponad dwie godziny koczują przed domem wielkiego wynalazcy i konstruktora. I teraz co - ktoś ma do nich wyjść i zakomunikować, że wielka inauguracja odbędzie się w innym terminie, bo wujo ma słabszy dzień? Migreny dostał? Przechodzi kryzys mentalny? Odważniacha, który coś takiego powiedziałby kilkusetosobowej grupie oczekujących, zostałby najpewniej zlinczowany, a kto wie, czy ludzie nie roznieśli by na strzępy i warsztatu wuja Franciszka, i cudownej maszyny do handlu czasem, a może i głównego bohatera niedoszłej uroczystości. I mieliby świętą rację. Przecież to nie tylko warsztat może ucierpieć, ale i reszta domu; nie tylko cudowna maszyna, ale i przeciętne żelazko, telewizor czy lodówka; nie tylko sam wuj Franciszek, ale i pozostali domownicy.

- Teraz się głupio nie wykręcaj, bo to wstyd po prostu! - wypaliła babka Wiktoria i wuj ponownie nałożył maskę drażniącego wszystkich mądrali.

- Dobrze, dobrze, chwilę zawahania mieli i Napoleon, i Kopernik, i Maria Skłodowska-Curie. To i ja mogę. Ale szary człowiek, nawet z rodziny, nigdy tego nie pojmie - zauważył kwaśno i kazał otwierać drzwi na balkon. - Na początku przemówię do nich z tarasu, później dostojnie pozdrowię zebranych ręką - oświadczył niby papież albo prezydent na chwilę przed wygłoszeniem noworocznego orędzia. Był dumny i blade, miał sucho w gardle i za cholerę

nie wiedział, co zrobić z rękami.

Wyjechał na taras. Rozejrzał się po ludziach i błyskawicznie zmienił scenariusz. Zdecydował, że zacznie od pozdrowień ręką. Machał dobre pół minuty. Niestety, wbrew oczekiwaniom nie pojawiły się huraganowe oklaski. Przybyli najprawdopodobniej nie połapali się w intencjach wielkiego konstruktora. Zapadła krępująca - przynajmniej dla wuja Franka - cisza. Pomachał ręką jeszcze raz, tłum nadal nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

- Kochani! Bardzo się cieszę, że aż tylu was tu się zjawilo... - Wuj zrezygnował z przydługich wstępów i szybko przeszedł do meritum. - Chciałem powiedzieć, że jesteście świadkami wielkiego dnia.

Ludzie wreszcie spojrzeli na taras. Na wózku inwalidzkim siedział mężczyzna w średnim wieku, który z obłędem w oczach machał w ich stronę rękami i coś do nich pokrzykiwał. Bardziej odważni i wygadani postanowili zareagować.

- Co?! Nic nie słyhać! Głośniej, dziadek, głośniej! Trzeba se było, kurwa, megafon kupić! Otwieraj, nie gadaj!

Pierwsze zdania pracowicie przygotowanego przemówienia powitalnego były umiarkowanym sukcesem wuja. Owszem, nie udało się porwać audytorium, ale też przynajmniej kilkudziesięciu słuchaczy nie pozostało obojętnych wobec osoby wuja Franka.

- Otwieraj! Dwie godziny tu stoimy! Dziadek, ja muszę do roboty! Kiedy to się zacznie?! - pokrzykiwali najbardziej zdesperowani.

Wuj Franciszek postanowił skrócić część oficjalną do niezbędnego minimum. Zrezygnował z dalszego przemawiania, z żalem odpuścił trzy anegdoty przygotowane na ewentualny bis, dał sobie spokój z przecinaniem wstęgi, nawet zmrożonego na tę okazję szampana nie otworzył.

Po krótkiej chwili w drzwiach warsztatu zazgrzytał klucz. Od tego momentu kto tylko miał ochotę albo wystarczająco sporo gotówki, mógł sobie ustalić, ile czasu będzie trwała jego doba...

Wuj Franek potrzebował ledwie miesiąca, aby sparaliżować dotychczas istniejący porządek. Fantastyczny wynalazek pracował bez ustanku. Chętni liczyli się w setkach, bałagan dotarł do milionów, zyski wuja szły w miliardy.

Owszem, niby radio bez ustanku podawało, która jest obecnie godzina, ale kiedy doba jednego liczyła 36 godzin i kwadrans, a drugiego zaledwie 42 minuty, to spiker mógł mówić cokolwiek do mikrofonu. Jeśli nawet udawało się dojść do porozumienia, że jest punkt dwunasta - a nie udawało się nigdy - to nikt nie odważył się jednoznacznie stwierdzić, czy chodzi o punkt dwunastą w południe, czy punkt dwunastą w nocy. Czy o punkt dwunastą w poniedziałek, czy o punkt dwunastą w środę sprzed dwóch tygodni, która dla części szaleńców trwała w najlepsze.

Galimatias najlepiej oddaje przykład Piotra, którego pewnej nocy potwornie rozbolała dolna szóstka. Z samego rana wykonał telefon do zaprzyjaźnionego gabinetu, gdzie przemiła pani w recepcji akurat przeżywała najpiękniejszy piątek swego życia, bo sto szesnaście godzin wcześniej oświadczył się jej narzeczony i w jej najlepszym interesie było, aby ów piątek trwał wiecznie.

A że akurat narzeczony był z tych bogatszych, to dzięki wynalazkowi wuja Franciszka dało się dowolny piątek wydłużać do dowolnych rozmiarów. Przemiła pani w recepcji zdawała sobie wprawdzie sprawę, że jej narzeczony to gbur i świnia, a całe te oświadczyły to bardziej kaprys, który wcale nie musi skończyć się kobiercem. Ale wiedziała też, że narzeczony to nie aż taki gbur i świnia, aby zrywać zaręczyny tego samego dnia, kiedy poprosi o rękę. Zatem piątek przemiłej pani recepcjonistki trwał w najlepsze i niewiele wskazywało na to, aby miał się skończyć.

Gwoli ciekawości - narzeczonemu przemilej pani recepcjonistki wypadał obecnie czwartek. Nie został z ukochaną w fantastycznym zaręczynowym piątku, bo - jak tłumaczył - rozpoczął przygotowania do ślubu i weselicha.

Zatem Piotr dzwoni do zaprzyjaźnionego gabinetu z pilną potrzebą załatwienia zaniedbanej dolnej szóstki. Pieniądze nie grają roli. Czas się liczy. Przemiała pani recepcjonistka zdaje sobie sprawę, że czas w nagłych przypadkach jest najistotniejszy, więc uprzejmie pyta:

- Na kiedy?

Zdesperowany Piotr wykrzykuje, że na dzisiaj, na już, im szybciej, tym lepiej!

- Na dzisiaj nie da rady. Może być na jutro rano, czyli na sobotę - uśmiecha się serdecznie przemiała pani z recepcji, z dumą zerkając na zaręczynowy pierścion z brylancikiem w środku.

- Mhm, ale sobota jest dopiero za cztery dni. Skonam do tego czasu! - Piotr wyje z bólu w słuchawkę, ząb go zdrowo naparza, ale nie na tyle, aby stracić rachubę w kalendarzu.

Tylko że przemiała pani z recepcji ma piątek i jest tego na trzysta procent pewna, bo to najpiękniejszy dzień jej życia. I Piotr wyszedłby na zwykłego chama, prostaka i mendę złośliwą, gdyby zaczął panience z recepcji wmawiać, że dziś mamy wtorek. No w ogóle jak?! Święto dziewczynie zepsuć tylko dlatego, że ząb cię boli? To trzeba było nie żreć tyłu landrynek i szorować po każdym posiłku pastą z fluorem. A nie teraz niewinnej, szczęśliwie zakochanej, świeżo upieczonej narzeczonej odbierać chwile kruchego szczęścia. Ba! Własną dolną szóstką jej to szczęście mącić i niepokój wprowadzać...

Poza tym ani Piotr, ani przemiała pani recepcjonistka nie mają bladego pojęcia, że lekarz, który ewentualnie miałby zająć się nieszczęsną bolącą szóstką, właśnie rozpoczął niedzielę i był widziany na stołecznym lotnisku Okęcie z deską surfingową pod pachą. Wsiadał do samolotu lecącego na Haiti. Żona stomatologa uspokaja, że niedziela męża potrwa niedługo - wedle starych obliczeń jakieś dwa tygodnie. No, chyba że nie będzie pogody, to wtedy jeszcze krócej. Ale gdzie nie będzie pogody? Na Haiti? Wolne żarty...

A dolna szóstka naparza coraz bezlitośniej.

Istnieje tylko jedna szansa, że dentysta odpuści sobie surfingowe szaleństwa po haitańskich falach. Otóż z jego biletu wynika, że odlot ma we wtorek o ósmej piętnaście rano. To jest informacja pewna, wydrukowana czarno na białym, zgodna z wielką elektroniczną planszą ARRIVALS - DEPARTURES hali lotniska. Tu nie ma nad czym się zastanawiać.

Zastanawiać można się nad innymi kwestiami - czy pilot tego samolotu też wie, że ma lecieć na Haiti we wtorek o ósmej piętnaście? To akurat zapewne wie, tylko czy jego ósma piętnaście wypadnie w tej samej chwili co lekarza stomatologa? No, tu już należałoby mieć pewne wątpliwości. Czy kontroler z wieży lotów nie przedłużył sobie poniedziałku i właśnie nie kończy szalonego bankietu u przyjaciół, którzy akurat mają wolną sobotę? A czy kierowca lotniskowego autokaru, który ma dowieźć stomatologa z terminalu na pokład samolotu, będzie - tak najnormalniej w świecie, po ludzku - punktualny? I kto to może wyrokować, czy kierowca jest niepunktualny, czy po prostu skorzystał z dobrodziejstw wynalazku wuja Franka i dobę ustawił po swojemu?

Istnieje tylko jedna szansa, że dentysta odpuści sobie surfingowe szaleństwa po haitańskich falach. Ale jest to szansa gigantyczna. I bardzo możliwe, że lekarz stomatologii po ośmiu godzinach beznadziejnego dreptania między halą odpraw a sklepami bezcłowymi ciśnie bilet na Haiti do kosza, zrezygnuje z dwutygodniowej niedzieli, odsprzeda nadmiar wolnego czasu i jak młody bóg ruszy w poniedziałek z rana do gabinetu, aby zająć się bezlitośnie naparzającą dolną szóstką Piotra. A po szczęśliwie zakończonym zabiegu absolutnie nie ma co się przejmować, kiedy lekarz rzuci szorstko: „Za tydzień o tej samej porze zapraszam do kontroli”. To może, acz wcale nie musi, być konkretna wskazówka.

Wujo Franciszek wysłuchał łaskawie dramatycznej historii Piotra i gromko się roześmiał.
- Jak trwa rewolucja, to nie będziemy płakać nad jedną bolącą szóstką. My zmieniamy świat, niech maluczcy leczą zęby! - grzmiał niczym Pinochet, Castro i Lenin razem wzięci, w życiowej formie w dodatku.

Nijak, oj nijak te rewolucyjne, płomienne przemowy nie przypadły do gustu Piotrowi, zresztą Grażynce i babce Wiktorii też. Jedynie bliźniaki miały wuja Franka za prawdziwego bohatera, jego niekończących się tyrad słuchały z przyjemnością i - jak to młodsza młodzież ma w zwyczaju - każde słowo z nabożną czcią traktowały. Może nie wszystko pojmowały idealnie, może niewiele rozumiały z tego, co się dookoła dzieje, ale - jak to młodsza młodzież ma w zwyczaju - strasznie to całe zamieszanie im się podobało. Dlatego też uwagi i szczerego uwielbienia dla autora zadymy miały znacznie więcej niż podczas trwania niedzielnych quizów.

Bogiem a prawdą - znacznie starsi i dojrzalsi od Hani i Michasia też nie mieli bladego pojęcia, co tak naprawdę się dzieje, z tym że o uwielbienie dla autora zadymy było jakby trudniej. A bo za drogo, a bo za długo trzeba czekać, a że kiepska organizacja, a w ogóle to z daleka jedzie jakimś żydowskim wynalazkiem i choćby z tego względu należałoby całej zabawy zakazać, i to raz na zawsze. Niby kto inny wpadłby na szatański plan, aby handlować czasem? I jeszcze zarabiać na tym krocie?

Wujo Franek - w przyływie początkowej euforii - zajrzał nawet do Internetu, aby sprawdzić, jak tam masy postrzegają jego rewolucyjny pomysł. Emocjonująca była to wizyta, ucząca pokory i zdecydowanie odbierająca chęć zarówno do kolejnych wizyt, jak i dalszych działań.

Do niedawna jeszcze zupełnie anonimowego wuja Franka teraz znali właściwie wszyscy. I to jak znali! Forumowicze mieli jasno sprecyzowane poglądy na temat nie tylko samego wuja, ale i jego matki, ojca; ba! całe drzewo genealogiczne wuja Franka nie stanowiło dla bywalców forów najmniejszej tajemnicy.

A wszystkie wpisy życzliwe, pełne dobrze pojętej ludzkiej serdeczności, jakby ktoś nagle postanowił wysłać do wuja Franka pół tysiąca kolorowych pocztówek z najlepszymi życzeniami. „Zabić tego sukinsyna!” - było tym z kategorii najłagodniejszych. Te bardziej radykalne w formie szczegółowo opisywały, jak to należy zrobić i mnożyły pozdrowienia.

Nieco mniej liczna kategoria internetowych bywalców informowała łaskawie, kto za wujem Frankiem stoi, kto na tym wynalazku tak naprawdę zarabia i jak to się teraz będzie przeciętnego Kowalskiego doić. Kiedy się wujo Franek dowiedział, że jest przez czternaście lat szkolonym tajnym agentem Mosadu i KGB z przeszłością wojenną w Afganistanie, to aż mu się słabo zrobiło. Nawet zaczął się zastanawiać, czy może Mosad i KGB nie mają na tyle nowatorskich metod, aby przez czternaście lat szkolić człowieka w takiej tajemnicy, żeby się ten szkolony nie zorientował... Cholera ich wie! No, ale żeby w tajemnicy przed samym sobą na wojnę do Afganistanu pojechał? Bez jaj, tego nie dałoby się ukryć, chociażby z tak prozaicznego powodu, że po powrocie wujo byłby mocno opalony. Rodzina na pewno zwróciłaby uwagę na długą nieobecność i ciemną karnację.

Kolejna grupa internetowych filozofów zarzucała wujowi oszustwo i ogólnie rozumiany prymitywizm, bo przecież tak po prostu handlować czasem się nie da. Gdyby się dało, to ktoś mądrzejszy by to dawno wymyślił, a nie taki fiut i prostak jak wujo Franek. Jednak z tymi wpisami polemizowali ci, którzy długo, dłuuuugo, bardzo dłuuuuuugooo przed wujem Frankiem wiedzieli, iż to możliwe, a ten fiut wujo Franek - co do określeń panował pełen konsensus - po prostu ukradł im pomysł życia. Tylko że oni zrobiliby to dużo lepiej, sprawniej i w ogóle bezboleśnie. A przede wszystkim za darmo, pro publico bono.

Czyli - podsumowując - masy miały wuja Franka zarówno za oszusta wciskającego

porządny ludzkiej niemożliwe, jak i za złodzieja kradnącego porządny ludzkiej genialne pomysły. Miały go za agenta każdej niemal nacji, jego rodzinę traktowały jak akademicki katalog ludzkich przypadłości i występków, co w całości sprowadzało się do jedynej słusznego postulatu: „Zabić tego sukinsyna!”. Zdecydowanie największa liczba wpisów zgrabnie łączyła wszystkie powyższe wątki.

- Dobrze czy źle, byle po nazwisku! - z wdziękiem stałego bywalca Hollywood i corocznego gościa pierwszych rzędów ceremonii wręczania Oscarów wuj Franciszek rzucił pod nosem odwiecznie potwierdzającą się maksymę. Zwłaszcza że im ostrzej subtelni forumowi dyplomaci traktowali i wynalazek, i samego autora, z im większego kalibru naparziali, tym bardziej rosła kolejka chętnych do handlowania czasem. Zapewne też niejedyn z autorów sążnistych forumowych elaboratów grzecznie odstawał swoje, grzecznie należność uiszczał, rękę wuja Franka przez kwadrans ścisnął, gratulował, jaki to fantastyczny mózg, cóż za wyobraźnia, i pytał, czy wujo przypadkiem nie szuka współnika. Bo akurat tak się składa, że... i tu następowała lista już skonstruowanych wynalazków oraz znacznie dłuższa planów co do dalszych, jeszcze genialniejszych odkryć.

Wujo Franek swój rozum miał, nieprzypadkowo od kilku lat nikt go w rodzinnym quizie nie mógł pokonać, więc szybko doszedł do przekonania, że masowym idolem raczej nigdy nie zostanie i do Internetu przestał zaglądać.

Innych zajęć było aż nadto.

Wujo Franek zapał się, że wszystko będzie robił sam. Z kilku względów. Po pierwsze - nikt mu nie będzie wtrącał się do interesu. Po drugie - nikt by tego lepiej niż on sam nie poprowadził. Po trzecie - chyba najistotniejsze - nikomu nie będzie musiał zdradzać, w jaki sposób jego cudowna maszyna pracuje.

Owszem, małostkowe to było do granic przyzwoitości - sknerstwo i miłość własna wuja Franka dawno już tę granicę przekroczyły, no, ale cóż robić? Mówimy o człowieku, który przez kilkanaście lat nikogo z najbliższej rodziny do warsztatu nie wpuścił. Więcej, był z tego dumny.

- Mógłbyś być rekinem, a będziesz małą, chudziutką płotką z prywatnego warsztaciku - obrazowo tłumaczył Piotr. - Jak już chcesz świat podbijać, to nie za pomocą jednej maszynki skleconej ze starych, nieheblowanych desek. Trzeba odpuścić detal, a pomyśleć o hurcie. Przestać bawić się w rzemieślnika, tylko zastanowić nad fabryką.

Jednak te ze wszech miar logicznie brzmiące argumenty nijak do wielkiego wynalazcy trafić nie chciały. Ba! Nawet perspektywa niewyobrażalnego zwielokrotnienia zysków jakoś wuja nie przekonywała.

- A co, mało mam? Dziennie zarabiam tyle, ile wy w dwa miesiące! - obruszał się wujo Franek, kiedy ktoś poruszał aspekt finansowy przedsięwzięcia. I jakby mu nie odmawiać racji, to pewnego rodzaju zaściankowości w myśleniu nie dało się przeskoczyć. - Jakbyście tacy mądrzy byli, to sami byście taką maszynę wymyślili - pokrzykiwał jeszcze geniusz z warsztatu.

Niestety, wujo Franek zdradzał ewidentne objawy choroby wielkich dyktatorów - najtrudniej, kurczę blade, o ludzi, do których można by mieć studziesięcioprocentowe zaufanie. A nawet jak już takich się znajdzie, to jak sprawdzać, czy to studziesięcioprocentowe zaufanie nie jest w minimalny choćby sposób nadużywane? Nie takie głowy przed powyższym dylematem stawały, nie takie głowy wobec powyższego zagadnienia okazywały się bezradne.

Taktyce wuja Franka też nie ma co specjalnie się dziwić. Kolejna maszyna to kolejny człowiek, którego w całą sprawę trzeba wtajemniczyć. Wiara w to, że wtajemniczony nie zechce się podzielić swoją wiedzą choćby z narzeczoną, z kumplami przy piwie, z kolorową gazetą czy z pieprzonym forum internetowym, była w wuju, powiedzmy delikatnie, wiarą ułomną. Całe powodzenie wynalazku opierało się na zachowaniu tajemnicy. Zasada funkcjonowania maszyny

wuja była tak banalnie prosta, że przeciętnie uzdolniony uczeń technicznej zawodówki mógł sobie takie urządzonek zrobić na długiej przerwie. Ci wybitnie mało zdolni potrzebowali na to ferii zimowych.

A tu nawet opatentować tego wynalazku się nie dało. Wuj Franek chciał załatwić rzecz formalnie - Piotrowi kazał się do stosownego urzędu zawieźć. W najlepszej - bo jedynej - marynarce po dwóch godzinach karnego czekania przed dostojnym urzędniczym jestestwem się zameldował i wyłuszczył problem. Że taka to a taka maszyna, z jednej strony jeden człowiek, z drugiej drugi, jeden ma za dużo czasu, drugi za mało, pyk, i po chwili każdy ma tyle, ile chce. I właśnie on, wuj Franciszek, chciałby taki wynalazek opatentować.

Różnych już szajbusów urzędnik w życiu widział, nie takich mu genialnych pomysłów przychodziło wysłuchiwać i szkoda mu było cennego czasu na wgłębianie się w szalone idee kolejnego nawiedzonego idioty. Urzędnicze doświadczenie, wieloletnia praktyka oraz potrzeba niczym niezmaconego spokoju kazały mu spławić wuja Franka w ciągu trzech sekund.

- Nie ma czegoś takiego! - stwierdził z całą mocą i powagą urzędu.

Wuj Franek też życie znał nie od dziś, na kwiaty i fanfary nie liczył (no, może w najgłębszej skrytości ducha), ale jakoś mu się tak po ludzku przykro zrobiło.

- No, jeszcze nie ma. Znaczy się nie było, bo ja coś takiego wymyśliłem - odparł.

- Tak?! - Trzy zaplanowane sekundy minęły dobre pięć sekund temu, więc urzędnik ostro ruszył do decydującego natarcia. - A niby jak to działa? - spytał chytrze.

- Nie mogę panu powiedzieć.

- No to ja panu nie mogę zarejestrować.

Pogadali jak rodzimy urzędnik z rodzimym petentem. Ale wuj, zamiast karnie odjechać spod okienka, patrzył przez dłuższą chwilę na urzędniczy świat, czego żaden urzędnik nie jest w stanie znieść dłużej niż piętnaście sekund.

- No cóż, jeśli się pan upiera... W końcu po to jestem, aby panu pomóc - uśmiecha się kwaśno przedstawiciel urzędniczej kasty. - Zatem najpierw pojedzie pan do pokoju numer 3, gdzie otrzyma pan wzór podania, formularz typu B-246 i HC-319. Każdy z tych formularzy zawiera specjalne załączniki, po które musi pan się udać do pokoju 77 B na siódmym piętrze, ale tylko jeśli idzie o załącznik B-246. Bo jeśli chodzi o załącznik do formularza HC-319, to musi pan zjechać na piętro czwarte, gdzie w pokoju 49 odbierze pan deklarację typu Q 72. Po wypełnieniu tych dokumentów należy dostarczyć rysunek techniczny, opis projektu, zaświadczenie o niekaralności Aha, jeszcze jedno pytanie, czy pan już u nas kiedyś coś rejestrował?

Pytanie zawisło w próżni. Wuj Franciszek, rzuciwszy wyjątkowo mało pasującym do jego dżentelmeńskich manier słowem, wyjechał z urzędu gdzieś przy drugim formularzu. Na razie opatentowanie nie wchodziło w grę. Wuj Franek utwierdził się w przekonaniu, że powinien działać na własną rękę.

Po pierwszej euforii podziw dla poczynań wuja wśród domowników delikatnie zmalął. Sukces wynalazku - bezdyskusyjny, sukces finansowy - przekraczający najśmielsze prognozy, zainteresowanie - stale rosnące, cóż jednak z tego, kiedy w domu żyć się właściwie nie dało. Gra „Żeby było normalnie, a jeszcze w dodatku sympatycznie” z wolna przestawała mieć jakikolwiek sens.

Przez okrągłą dobę przed warsztatem gromadził się tłumek chętnych; prozaiczne wyjście do pracy czy sklepu wydawało się wspinaczką na Czomolungmę, i to podczas burzy z piorunami.

- Nic nie poradzę, że tu stoją cały czas! Jasno na tabliczce napisałem, że interes czynny od ósmej do szesnastej - tłumaczył Grażynie wuj Franek. Niby skąd miał wiedzieć, że trzeba będzie organizować społeczne kolejki, że przed domem pojawią się tzw. kolejkowi stacje, no i że

chyba Grażyna sukcesów zazdrości, skoro się czepia o takie drobiazgi jak tłum na ulicy.

Grażynę, kobietę ze wszech miar spokojną, ugodową i łagodnie usposobioną, brała najzwyczajniejsza pod słońcem jasna cholera.

- Jaka tabliczka od ósmej do szesnastej?! Jaka tabliczka?! Przecież ty czasem handlujesz! Dla tych ludzi przed domem nie ma już ósmej, dwunastej czy szesnastej! U jednego ósma wypada w środku nocy, dwunasta chwilę po wschodzie słońca, a szesnasta równo w południe. Oni tu wszyscy punktualnie przyszli i słusznie pyskołą, że na tabliczce napisane: 8-16, jest punkt dziesiąta, a warsztat zamknięty. Z kolei szef interesu, wielki wynalazca wujo Franek, w najlepsze przycina komara! - krzyczała na całe gardło.

- Jak to?! Przecież jest czas centralny i według niego pracujemy. - Światowy geniusz wujo Franek poczuł się najwidoczniej przyparty do muru.

- Ludziom w kolejce to powiedz, bo oni najwyraźniej tego nie wiedzą! - Grażyna, kiedy brała ją najzwyczajniejsza pod słońcem jasna cholera, to adrenaliną mogła obdzielić trzy sezony nielegalnych walk bulterierów. - Niby do kiedy będziesz ten swój kramik prowadził, co? Dzieciaki do przedszkola nie chodzą, my z Piotrkim od dwóch tygodni na urlopie...

Tu światowy geniusz wujo Franek poczuł się mocny w temacie i przeszedł do kontraktaku.

- Już kilka razy mówiłem, że będę was utrzymywać! Mogłabyś w domu siedzieć z Hanią i Michasiem, Piotrek zostałby moim asystentem i wszystko jakoś by się dotarło - przedstawił na swoją zgubę plan naprawy sytuacji.

- Nie! Ciebie chyba do reszty pojebało!

Drugi raz w życiu Grażyna użyła słów powszechnie uważanych za nieprzyzwoite. Pierwszy raz ze szczęścia, kiedy przeżył ginekolog poinformował ją, że na jednym dziecku to się nie skończy i trzeba szykować podwójną wyprawkę, wymknęło się jej pod nosem klasyczne: „O kurwa mać!”. Ze wstydliwym uśmiechem tłumaczyła potem mężowi, że emocje poniosły i trzeba było jakoś odreagować. Piotr dawno nie miał takiego ubawu, kiedy czerwona po uszy małżonka cytowała najbardziej soczyste wyrażenie w dotychczasowym życiorysie.

- Tydzień! I to tydzień w starym, dobrym tego słowa znaczeniu. Nie tydzień i dokupiona w warsztacie godzina czy siedemnaście godzin! Tydzień i nie widzę tu ani handlu czasem, ani kolejki przed domem, ani najmniejszej tabliczki. Tydzień! Inaczej sama tę twoją cudowną maszynkę w drzazgi porozwalam! - Trzaśnięcie drzwiami było ewidentnym sygnałem dla wuja Franka, że rozmowa się skończyła. Treść i forma były ewidentnym sygnałem, że negocjacji raczej nie będzie.

- Nawet Napoleon dostał sto dni. A tu tydzień, i to jeszcze z jaką awanturą - stękał pod nosem wujo, który tego dnia miał wyraźną słabość do pozowania na dawno minionych cesarzy.

Nie sposób stwierdzić, czy tygodniowy termin wyznaczony przez Grażynę bardziej zmartwił wuja Franka, czy bliźniaków. Dla Hani i Michasia trwał nieustający karnawał - przedszkole nie istniało, dotychczasowe zabawy i zabawki jakby straciły swój czar i powab, nawet koledzy i koleżanki przestali się liczyć w hierarchii. No, ale jeśli w domu wujo Franciszek przeprowadza wielką rewolucję - to i przedszkole, i zabawki, i nawet szacowne koleżeństwo Hani i Michasia powinny zrozumieć sytuację.

Ileż nowych znajomości! Jaki fantastyczny przekrój społeczny! Wszelkie warstwy, stany, płcie, wzrosty, charaktery i ubiory. Ile nowych wrażeń! Cóż za niepowtarzalna szansa na poznanie nowych słów, w tym również brzydkich!

Do tej pory - jeśli idzie o wulgaryzmy - Michaś miał pewną przewagę nad Hanią, a to z tego względu, że Piotr raz zabrał syna na mecz piłkarski. Coś zaczął Michaś przebąkiwać, że mecz na żywo to on by bardzo chętnie zobaczył, że piłkę nożną bardzo lubi i że w zamian obiecuje dokładnie posprzątać swój pokój. Takie zobowiązanie nie mogło pozostać bez odzewu,

więc któregoś soboty Piotr zapakował syna do samochodu i pojechali kibicować.

Już podczas rozgrzewki obu drużyn Michaś kilkakrotnie zetknął się z polszczyzną raczej w domu nieużywaną. Sam mecz nie był porywającym widowiskiem. Było nudne zero do zera. W dodatku tuż obok Michasia i Piotra siedział wybitny lokalny teoretyk futbolu, który z dokładnością szwajcarskiego zegarka wykrzykiwał, że sędzia główny to męski organ rozrodczy. Z tym że w trosce o wydajność gardła i jasność przekazu nie używał przydługiej formy „męski organ rozrodczy”, tylko decydował się na krótszy i zdecydowanie bardziej spopularyzowany synonim, co do którego pisowni toczy się odwieczny spór - przez H czy CH.

Około sześćdziesiątej minuty spotkania Piotr zwrócił się do wybitnego lokalnego eksperta futbolowego z prośbą o urozmaicenie repertuaru.

- Owszem, cały stadion zna już pańską opinię na temat arbitra, mój syn niestety też, ale czy byłby pan uprzejmy wyjść poza dotychczasową formułę kibicowania? - zapytał z wrodzonym sobie wdziękiem, a wybitny lokalny teoretyk futbolu przeprosił i obiecał zdecydowaną poprawę.

Niestety, emocje piłkarskie kolejny raz wzięły górę i po minucie ekspert ponownie podzielił się z audytorium swoim zdaniem na temat sędziego. Zreflektował się chwilę potem, przypominając sobie o prośbie Piotra, i urozmaicił repertuar: - I to taki dwudziestocentymetrowy!

Michaś wrócił do domu niespecjalnie przekonany do futbolu, za to krótki i dosadny synonim męskiego organu rozrodczego miał na długo utrwalony i zakodowany. I to, wstyd przyznać, był jedyny brzydki wyraz, jaki Michaś miał w swoim sześcioletnim wokabularzu.

Kiedy jednak przed domem stanął regularny tłum kolejkowiczów - jako się rzekło, przedstawiciele wszelakich profesji i grup społecznych - edukacja w tym zakresie zaczęła przynosić natychmiastowe postępy. I dla Hani, i dla Michasia słownik wulgaryzmów przestał stanowić jakkolwiek tajemnicę, więcej - niejedną ceną i nowatorską uwagę mógłby autor takiego słownika od nich usłyszeć.

Niechęć Grażyny do rewolucyjnej działalności brata brała się także z osiągnięć, jakie w niektórych przynajmniej dziedzinach czyniły jej dwa ukochane urwipołcie. Kiedy zawoławszy Hanię na obiad, usłyszała w odpowiedzi radosne i soczyste: „Nie mam, kurwa, teraz czasu!”, jakie sześcioletnia dama wyrecytowała bez najmniejszego zająknięcia czy zażenowania, los domowej działalności wuja Franka został przypieczoneowany.

Jeszcze przez tydzień Hania i Michaś mogli chodzić wśród kolejkowiczów w glorii szczęśliwców, którzy do wielkiego wynalazcy zwracali się per „wujku”; dumni i bladzi opowiadali tłumowi o niuansach technicznych wynalazku, odpowiadali na pytania i nie szczędzili dobrych rad, jak się najlepiej przy wuju zachowywać. Kto chciał słuchać - słuchał, kto nie - niekoniecznie, ale frajdy i zabawy nikt Hani i Michasiowi zabrać nie mógł. Jeszcze przez tydzień. I to w starym tego słowa znaczeniu.

A jaki to był cios dla babki Wiktorii! Przecież i ona zaraziła się wirusem tak zwanego small businessu. Trzeciego dnia od rozpoczęcia handlu przez wuja Franka tuż przy drzwiach wejściowych babka ustawiła dwa krzeselka, mały stolik i rozłożyła płytki domina.

Stawki były niewielkie - kilka złotych od partii. Kolejkowicze siadali chętnie, bo gra na minimalne stawki to żaden hazard, a i samo domino to rozrywka miła i niewinna. W ciągu dnia babka Wiktorii dorabiała drugą emeryturę.

- Przecież ta starsza kobieta cały czas wygrywa! Sprawdzić klocki, oszukany gra! - krzyknął w pewnej chwili jakiś kibic potyczek Dominatorki. Sprawdzono klocki, uważnie patrzono babci na ręce, ba!, przyniesiono inny komplet domina - wszystko na nic. Trzeba było trójki - babka Wiktorii wyciągała trójkę, brakowało mydełka - w dłoniach babci pojawiała się mydełko. Z leniwym uśmiechem charakteryzującym świadomych własnej siły mistrzów rozkładała na łopatki kolejnych pretendentów. Niektórzy odstępowali swoje miejsce w kolejce,

aby tylko szansę rewanżu dostać. I dostawali, a po chwili kolejną bolesną lekcję profesjonalnego wykładania płytek domina. Innych w ogóle nie interesował wynalazek wuja Franka. Przychodzili zmierzyć się w domino z nieznaną kobietą, której podobno nikt w okolicy nigdy nie pokonał. A biznes rodzinny najpełniej kwitł w przypadku klientów, którzy najpierw kupowali sobie dodatkową godzinkę u wuja Franka, a potem przeznaczali ją na kilka partii domina z arcymistrzynią.

Mało komu udawało się zakręcić koło remisów. Pojedynki były błyskawiczne. Jeden ze stałych obserwatorów wykrzyknął w pewnym momencie: „Blitzkrieg!”, i trudno o lepszy komentarz do wyczynów babki. Stos złotych rósł w postępie geometrycznym, jak w naiwnej telewizyjnej reklamie lokaty bankowej. Babka nie przeliczała drobniaków na bieżąco, tylko raz na jakiś czas wsypywała monety do plastikowej torebki i szła do wuja Franka wymieniać na banknoty.

I teraz okazuje się, że partyjki domina przynoszące stały i spory dochód trzeba będzie przerwać.

- Może babka się ustawiać ze swoim stolikiem obok mojego nowego miejsca - łaskawie zaproponował wuj Franek, ale zbyła jego ofertę wyniosłym milczeniem. We własnym domu w domino pograć - nie ma problemu. Ale na ulicy? W obcym miejscu? Na pieniądze? Babce Wiktorii zarabianie kasy na ulicy kojarzyło się tylko z jedną profesją i z pewnością nie była nią gra w domino.

- Co za dom! Babka ogrywa połowę miasta w domino, a wuj tej drugiej połowie ustala, ile godzin będzie trwała ich doba - kręcił głową Piotr, pocieszając się, że całe to zamieszanie potrwa jeszcze tylko tydzień. I to w starym tego słowa znaczeniu.

Jeszcze w tygodniu poprzedzającym wyprowadzkę Grażyna uświadomiła sobie, że sama wyprowadzka niewiele pomoże. Pewne problemy załatwi, ale niezależnie od tego, gdzie wuj Franek będzie prowadził swoją biznesowo-rewolucyjną działalność, powrót do spokojnych czasów raczej się nie uda. W owych spokojnych czasach poranna wizyta w sklepie nie była niczym nadzwyczajnym - ot, Grażyna wkładała do koszyka pieczywo, wędliny, ser, soki, jogurty, jakąś gazetę z programem telewizyjnym, garść smakołyków dla bliźniaków, pokornie odstawała swoje w kolejce do kasy, na prośbę pani w czerwonym fartuchu szukała w portfelu drobnych i tu pojawiał się napis „meta”. Koniec historii, zakupy zrobione.

Teraz jednak - ho, ho! - pojawienie się Grażyny w osiedlowym supermarkecie urastało do rangi wydarzenia dnia. „Uwaga! Uwaga! Przyszła do sklepu ta, co jej brat, ten kaleka na wózku, wymyślił maszynę do handlu czasem i teraz dzień w dzień niewyobrażalną forszę trzepie”. Brakuje tylko, aby przez specjalne głośniki specjalnie szkolona pani w specjalnym komunikacie poinformowała, że dziś, obok promocji pomarańczy, musli, płynu do czyszczenia szyb i posadzek, dodatkowa atrakcja - wizyta Grażyny, siostry tego kaleki na wózku od handlu czasem. „Kierownictwo supermarketu serdecznie wita i życzy udanych zakupów!”.

I dawaj wszyscy Grażynie do koszyka zaglądać - zwykle kajzerki niesie czy te lepsze bułki, droższe, z kminkiem i kawałkami sera? Jeśli zwykle, to patrzcie państwo - tyle forsy ma, a jeszcze na cholernych bułkach oszczędza! Jej milionów za mało, miliardy jej dać, wtedy sobie może lepszą bułkę kupi.

Ale jeśli lepsze pieczywo sobie do koszyka włoży - to z kminkiem i kawałkami sera - no, tej to dopiero odbiło. Ledwie trochę więcej forsy powąchała, to już o skromności nie pamięta, dawaj do koszyka pakować najdroższe pieczywo w całym sklepie! Nikt normalny sobie tych królewskich bułek nie kupuje, tylko tacy, co na forsie śpią. Niby wszyscy żołądki mają takie same, większości zwykle kajzerki znacznie bardziej smakują od tych wydumanych z kminkiem i serem, ale rozrzutna pindzia nie zwraca na tego typu subtelności uwagi. Ona musi, po prostu

musi, jakby wszystkim innym w sklepie na złość robiła, z idiotycznej i prostackiej potrzeby zaimponowania, lepsze bułki do koszyka wkładać. I to od razu osiem! A co, pięcioma bułkami to się nie da śniadania opędzić?! Jasne, że się da, ale skoro można ubogich bliźnich podrażnić, to się na złość pakuje do koszyka osiem sztuk. Niech gawieź podziwia, niech zazdrości, niech się gapi na lepsze bułki nie w swoim koszyku, niech ślinę bezradnie przełyka.

Kto wie, czy tu na oczach wszystkich głupia cipa nie pakuje do koszyka ośmiu lepszych bułek, a potem nie wyrzuca ich do kosza, bo oni tak naprawdę na śniadanie pałaszują zwykle kajzerki! Kto to niby wiedzieć może! Bo czy ona, czy jej brat kaleka na wózku to na takich wyglądają, coby mogli bułkami z kminkiem i serem się objadać? Nie wydaje się!

Ledwo Grażyna z działu „pieczywo” wyjeżdża, a już jej pół sklepu nienawidzi. Drugie pół jeszcze nie zauważyło jej obecności. A tu masz, nieświadoma niczego nowobogacka na „warzywa i owoce” z koszykiem wjeżdża... I dawaj! Soczyste zielone winogrona sobie do foliowej torebki pakuje, a każdy owoc tak okrągły, jakby go sam Pan Bóg cyrklem niebiańskim wyrysował, a chrupiący, a słodziutki, a krople wody po skórcie spływają tak apetycznie, że aż człowiekowi błogo na duszy się robi. Takie kiście podawali na ucztach rzymskich cesarzy i średniowiecznych królów, takie to wybitni przedstawiciele ludzkości powinni jadać na deser. A tu nowobogacka paniusia jak gdyby nigdy nic, jakby jej to słusznie się należało, pakuje te winogrona na wagę - taka kiść waży kilo trzydzieści. Widzieliście państwo?! Kilo trzydzieści soczystych winogron! To już nie można zwykłej, skromniejszej, bardziej przyzwoitej kiści wziąć? Pół kilo winogron nie wystarczy? Przecież od kilo trzydzieści to się pochorować można! Jawna prowokacja! W dodatku skuteczna, bo przecież nikt dla smaku nie potrzebuje ponad kilograma winogron. Nikt normalny tego nie przeje. No, chyba że na winogrona byłaby akurat promocja. Wtedy to co innego. Ale nie, żadnej promocji, winogrona w wysokiej cenie wolnorynkowej.

Ci bardziej odważni nie tylko na koszyk się gapią, ci bardziej odważni prosto w oczy Grażynie zagląдают. I ten wzrok mówi wszystko, spod zmrużonych powiek śmigają w stronę Grażyny komentarze: „No i co? Wyżej nosa to już nie sposób zadrzeć, co? Jakbyś tak weszła do kościoła z tym zadartym nosem, z miejsca pogasiłabyś wszystkie kandelabry!”. Albo domorośli poeci przytaczają na chybcika przygotowane porzekadło: „Jak się w głowie porąbało, lepszych bułek by się chciało, co?!”. Kiedy ci bardziej odważni tak śmiało i hardo wgapiąją się w oblicze Grażyny, ta w ogóle nie reaguje, nie broni się, nie zamierza kontratakować - przełamują więc słuszny wstręt i oczywistą niechęć, nabierają niemal heroicznym cech charakteru i się odzywają.

- Dzień dobry, pani Grażyno! Świetnie pani wygląda! Niedawno, daruje pani szczerłość, jak taka zwykła baba z czworaków się pani nosiła, a teraz to widać najprawdziwszą damę! Oj, powodzić się musi, bo to i po pani widać, i po zawartości koszyka! Tak, tak, słyszeliśmy o tym cudownym wynalazku, słyszeliśmy. Może i my, po znajomości, moglibyśmy się wybrać do warsztatu pana Franciszka? - pytają z uśmiechem na twarzy, chociaż uśmiech krzywy i kwaśny. Komplementy, mimo że banalne i najbardziej niewinne, z trudem przez gardziel przechodzą, język szczypią, podniebienie drażnią, zęby atakują, nim na świat się wydostaną i przed obliczem najszanowniejszej pani Grażyny w pełnej krasie się zameldują. A od razu widać, że te komplementy nie z serca płyną, że znacznie dłuższą drogę pokonać musiały, gdzieś tam, hen, spod wątroby, z okolic woreczka żółciowego, na wiele przeszkód natrafiły, zanim udało się je autorowi wypluć z siebie i wydusić. I przed Grażyną nie komplement stoi, ale pokurcz jakiś mały, niezgrabny, połamany w kilku miejscach, nadgryziony i zabiedzony chuderlak w podartym łachmanie na plecach przed nią paraduje, starając się nieudolnie przekonać, że jest szczerzy, miły i sympatyczny.

Cóż jednak Grażynie robić wypada? Nic, tylko się uśmiechnąć - na poły radośnie, na poły

smutno - i nieśmiało podziękować. Uuu, błąd to straszny, potwarz niewybaczalna, dyplomatyczna klęska i sromota. To oni, głupia cipo, komplementy ci prawią, a ty raptem półgębkiem wymamroczesz skromnie: „Dziękuję”?! Jakże to tak?! Oni pod niebiosa cię wynoszą, twoją urodę podkreślają, choć - mówmy szczerze - nie za specjalnie ta uroda do wychwalania się nadaje, a ty im ledwo, ledwo, na odczepnego bąkniesz: „Dziękuję”? No tak, jak już sobie człowiek wsadzi do koszyka lepsze kajzerki z kminkiem i kawałkami żółtego sera, jak go stać na kilo trzydzieści słodziutkich winogron, to na komplementy uwagi nie zwraca. Odwieczna prawda rodem z supermarketów: kto ma koszyk pełny, ten ma serce puste!

Będą się teraz za tobą gapić, a jak już przy kasie staniesz i za portfel chwycisz, to mało się nie podduszą wzajemnie, byleby tylko twój portfel, jaśnie pani Grażyno, z bliska obejrzeć. A czy skórzany z bajerami, czy zwykły, skromny, ze skaju na zatrask z magnezem? A czy wypchany, czy raczej portfel chudzina? A kartą płacisz czy gotówką? A jeśli kartą, to jaka to? Platynowa? Diamentowa ze świecącym skróttem VIP przy nazwisku? A jeśli gotówką, to banknotem o jakim nominale? Zielonkawą stówką czy też zwykłą niebieską pięćdziesiątką? Bo chyba nie pozwolisz sobie na obciach i nie wyciągniesz trzech obdartych, sponiewieranych dwudziestek? Tobie takich gestów, jaśnie pani Grażyno, czynić nie wypada. Obciach!

A co z resztą wydaną przez panią w czerwonym fartuchu - skrupulatnie przeliczysz czy niedbale wsypiesz do kieszonki na drobniaki? A może się z wielkopańska zachowasz i resztę jako napiwek zostawisz, co?

Jaśnie pani Grażyno - teraz wszyscy chcą to wiedzieć! Ba! Oni muszą, ich to niezwykle interesuje. Przy śniadaniu ze zwykłymi kajzerkami opowiedzą najbliższemu, co sobie nakupowałaś, ileż to dóbr doczesnych do koszyka napchałaś, jaki masz wielki, tłusty i wypchany portfel, jak to lekką ręką najgrubsze nominały na plastikową podstawkę koło kasy wykładasz. I tak będzie, jaśnie pani Grażyno, cały czas. Ubieraj się elegancko, nie jak dziadówka, bo zauważą i na języki wezmą. Acz nie strój się nazbyt elegancko, nie jak brytyjska królowa na bal noworoczny, bo od razu zauważą i na języki wezmą. Tak między nami, po prawdzie, niech się pani ubiera, jak chce, jaśnie pani Grażyno. Nie mają żadnego znaczenia styl, rodzaj materiału, pomysł czy jego brak. Tak czy tak - zauważą i na języki wezmą.

I niech się pani, jaśnie pani Grażyno, nie ludzi, że za tydzień, jak wujo Franek z cudowną maszyną wyprowadzą się, to sytuacja się poprawi. Gapić się przestaną, do koszyka zaglądać nie będą, na stan i zawartość portfela uwagi nie zwrócą. Niech pani porzuci złudną nadzieję, że będzie spokojniej, lepiej i normalniej. Otóż, jakkolwiek by poniższa prawda brutalnie zabrzmiała - spokojniej, lepiej i normalniej już było.

Wielu rzeczy wujo Franciszek nie przewidział, bo i nie był w stanie przewidzieć. Ani skali zainteresowania - choć w skrytości ducha na taki właśnie sukces liczył, ani coraz bardziej postępującego chaosu - choć w skrytości ducha niezbyt się nim przejmował, ani też napiętej sytuacji w szeroko pojmowanym życiu rodzinnym - choć w skrytości ducha wierzył, że Grażyna cofnie jeszcze swoją decyzję o likwidacji handlu w warsztacie.

Najbardziej nieoczekiwane i zupełnie nieplanowane było jednak coś innego - oto wielki wynalazca wuj Franciszek stał się obiektem westchnień wielu okolicznych niewiast: wdów, starych panien, niezależnych kobiet w kwiecie wieku czy nawet młodej żeńskiej latorośli studiującej na prywatnej uczelni marketing i zarządzanie.

Owszem, osobistego wdzięku i swoiście pojmowanej charyzmy wujowi nigdy nie można było odmówić. Na temat swojej urody sam ukuł złotą myśl: „Rzym nie ma wieży Eiffla, a i tak podoba się turystom”. I ten komentarz właściwie zamykał rozważania na temat piękna zewnętrznego wuja. Był też nieszczęsny wózek inwalidzki, na którym wujo - trzeba przyznać - siedział z gracją Freda Astaire'a w szczytowym okresie kariery, ale w ocenie znacznej części płci

pięknej taka forma przemieszczania się po świecie stanowiła istotny powód do dyskwalifikacji. Wuj Franek, bo i niby cóż innego mu zostało, odpuścił sobie rywalizację damsko-męską walkowerem, a uczucia i pasje przelał na quizy rodzinne i wynalazki.

Od kilku dni wózek przestał jednak przeszkadzać. Braku urody nie zauważano. Wuj Franek - chcąc nie chcąc, choć po prawdzie bardziej nie chcąc - awansował nagle na pozycję lidera wśród okolicznych playboyów. Pierwszego lowelasa gminy. Z łatwością wygrywał rankingi na najbardziej pożądanego kawalera w powiecie. Na najbardziej atrakcyjną męską partię w województwie. Od kilku dni był postrzegany jako atrakcyjne ciacho, które z chciwością, sporym apetytem i słabo skrywanymi lubieżnomatrymonialnymi planami zamierzały skonsumentować panny mające 18-78 lat. Pozwalając sobie na nieco karkołomne porównanie, że wuj Franek był jak warcaby, ciepła kąpiel albo długi spacer - atrakcja dla każdego bez względu na wiek.

Obok klasycznych klientów, którzy chcieli dzień wydłużyć lub skrócić, w warsztacie wuja Franka w ilościach niemal hurtowych zaczął się pojawiać specyficzny typ interesantek. One tak nie do końca wiedzą, czego by chciały, one się ciągle wahają, co się bardziej opłaca - sprzedać czas czy może kupić kilka godzin, one to właściwie przyszły się skonsultować i to wstępnie, poprosić o radę, no bo pan wie, panie Franciszku, one jeszcze nigdy swoim czasem nie handlowały i one po prostu nie wiedzą. No nie wiedzą i już. Więcej, one nie tylko nie wiedzą, one się dodatkowo trochę tej maszyny boją, może nie tyle boją, co lekko obawiają, i gdyby pan, panie Franciszku, mógł je jakoś dobrym słowem i fachowym instruktążem uspokoić, to one byłyby dozgonnie wdzięczne, tak jest, dozgonnie wdzięczne. No i oczywiście łatwiej by im się było zdecydować.

I tu - trach - uśmiech filuterny i flirtujący zarazem występuje, a co odważniejsza pozwala sobie na klasyczne zarzucenie przynęty: „No, gdybym przy panu, panie Franciszku, miała spędzić te dodatkowo wykupione godziny, to mogłabym nawet się zapożyczyć”. Albo dłuższe wyznanie: „A w ogóle, panie Franciszku, chciałam panu tak szczerze, od serca powiedzieć, że jest pan fascynującym człowiekiem, w dodatku bardzo mądrym. Sama nawet nie umiem stwierdzić, czy bardziej jest pan mądry, czy fascynujący. A znam się na ludziach. I ja pana od zawsze szczerze podziwiałam, a w ogóle wynalazcy to moja ulubiona branża. Niech się schowają piosenkarze, piłkarze, aktorzy czy działacze partii politycznych. Wynalazcy, panie Franciszku, to jest mój słaby punkt, cha, cha, cha, bo przecież gdyby nie wynalazcy, cha, cha, cha, to byłoby na świecie strasznie nudno, cha, cha, cha, nic by nie zostało wynalezione i w ogóle, cha, cha, cha, świat stałby w miejscu”. (Od pewnego momentu panie klientki czują się w obowiązku co kilka słów wstawić w wypowiedź rytmiczne „cha, cha, cha”, aby pan Franciszek dostrzegł ich poczucie humoru oraz szeroką, nieskrępowaną, wręcz humanistyczną wyobraźnię, jak i łatwość komunikowania się. No i jeszcze to, że się z taką klientką fantastycznie rozmawia na tematy prozaiczne. Czy pan tego nie dostrzega, panie Franciszku? Przecież one tak specjalnie dla pana!).

Skoro pani klientce udało się wprowadzić do warsztatu tak radosną atmosferę i tak fantastycznie rozmawia się o życiu i innych prozaicznych rzeczach, to - oczywiście, nie chciałyby się narzucać - może by się jakiejś kawki albo herbatki napili, bo jest jeszcze kilka istotnych pytań oraz kluczowych kwestii, jakie pani klientka chciałaby poruszyć. Aha, nie ma filizanek czystych i imbryka, tak? Nie szkodzi, to się je poruszy bez kawy czy herbaty, ale od razu, panie Franciszku, widać tu brak kobiecej ręki, oj, cha, cha, cha, wyraźnie widać. Ale do rzeczy - jak pan w ogóle, panie Franku, wpadł na pomysł tego fantastycznego wynalazku? To było coś jak fantastyczne olśnienie czy raczej efekt kilkuletniej, wytężonej, fantastycznej pracy, przestudiowania wielu mądrych, fantastycznie grubych książek i sporządzenia tysięcy fantastycznych wyliczeń, fantastycznych notatek oraz równie fantastycznych projektów wstępnych? Jak to jest, panie

Franciszku, wymyślić coś, co tak fantastycznie potrafi zmienić nasz i tak już fantastyczny świat? I wreszcie pytanie kluczowe, panie Franku - czy nie chciałby pan tej swojej wielkiej radości, mądrości i genialnych pomysłów dzielić z kimś panu najbliższym? Z kimś, kto przytuli, pocieszy, wysłucha, kawy zrobi, po blok techniczny do księgarni skoczy, a przede wszystkim z kimś takim, kto potrafi wprowadzić do domu fantastyczny nastrój i równie fantastyczną atmosferę, z kimś, kto potrafi prowadzić fantastyczne rozmowy na tematy poważne oraz prozaiczne. Na deser zostało ostatnie zagadnienie - może darujmy sobie te staroświeckie „panie Franku” i po prostu mówmy sobie po imieniu? Zaręczam ci, Franku, choć trudno w to uwierzyć, że ten już przecież fantastyczny nastrój rozmowy po przejściu na ty będzie jeszcze bardziej fantastyczny...

I tak się spojrzą, tak włosy poprawią, taką minę słodką zrobią, oczy w ponętny sposób zmrużą, że nie ma na świecie faceta, no po prostu nie ma takiego siłacza czy twardziela, który by taki atak, takie bombardowanie, taki nalot dywanowy potrafił przetrzymać. Najgroźniejsze w tym ataku jest to, że bomby w stronę murów obronnych nie lecą, nikt granatami nie rzuca ani z katiuszy nie naparza. Tu zamiast bomby komplemencik słodki polecą, serię granatów zastąpi ciąg uroczych uśmiechów, huku katiuszy nie usłyszysz, ale w zamian usłyszysz delikatny szmer słów tak ciepłych i miłych sercu, że najwięksi twardziele, mistrzowie defensywy, filary gry obronnej pod taką kanonadą stają się słodkimi misiakami przytulankami.

One to potrafią! One się tego uczą od wczesnego pacholęctwa, one te umiejętności trenują od zawsze. To są setki godzin profesjonalnych szkoleń w trakcie najszczerzych rozmów z psiapsiółami od serca, to są tysiące filmów, książek i artykułów z prasy specjalistycznej, to wreszcie dziesiątki, setki prób podczas letnich kolonii czy szkolnej zabawy noworocznej. I tu nie ma zmiłuj - kiedy przychodzi do decydującej rozgrywki, one najczęściej prezentują poziom finezyjnego lewoskrzydłowego reprezentacji Brazylii. Ty jesteś co najwyżej defensywnym pomocnikiem kadry Austrii. Siepaczem. Wyrobnikiem. Drewniakiem. Siłę masz, wzrost masz, chęci ci specjalnie odmówić nie można. Tylko umiejętności i talentu Bozia, niestety, poskąpiła. Szczytem twoich marzeń jest, powiedzmy szczerze, bezbramkowy remis. Najczęściej, też powiedzmy szczerze, nieosiągalny.

Zresztą kto jak kto, ale wujo Franek w ogóle nie zamierzał się specjalnie bronić. Przynajmniej na początku czuł się jak amant filmowy, w którym nie tylko podkochuje się aktorka, bo tak każe scenariusz, ale i dla którego serca oraz głowy tracą inspicjentki, charakteryzatorki, nawet panie z bufetu. A koleżanka aktorka, której miłość do amanta nakazuje scenarzysta, jest serdecznie zniechęcona przez pozostałą część żeńskiej obsady za to tylko, że ta niezdolna farciara będzie filmowymi pocałunkami zasypywała usta pana amanta, w jego ramionach spędzi kilkanaście dubli, a kto wie - może i jakaś scena łóżkowa jej się trafi.

Notes wuja Franka pęczniał od zachęcająco prężących się numerów telefonów, każda szóstka czy dziewiątka była obiecująco zaokrąglona; jeśli w numerze trafiało się zero ewentualnie piątka czy trójka, to tym krągłościom też niczego nie można było odmówić. No i te dopiski: „Zadzwoń! Czekam, Ilona!” albo „Czekam na sygnał, Agnieszka!” - ech, kilka zwykłych słów, najbardziej banalny komunikat, ale jakąż kryjąca się w nim obietnica erotycznych igraszek najwyższego rzędu. Jakie w tych prostych słowach moc i temperatura.

Biurko, do niedawna jeszcze zwyczajny drewniany mebel, na którym wujo przygotowywał swój wynalazek, teraz było zasypane stosem wizytówek od niewiast w różnym wieku. A każda wizytówka gorąca, prawie że bezwstydnie się narzucająca: Mnie wybierz! Do mnie zadzwoń! Mnie wykorzystaj! Franek, no! No! Franek, nie bądź ciapa, do roboty się bierz, drugi raz taka szansa się nie trafi! Franek, no!

Jak się takim propozycjom oprzeć? A niby po jaką cholere wujo Franek miałby się

opierać? To jest tylko wynalazca, a nie fundamentalistyczny starozakonnik od karmelitów bosych.

O ile w przypadku męskiej klienteli wizyta w warsztacie wuja Franka trwała niecałe pięć minut, o tyle w przypadku niektórych przynajmniej niewiast pół godziny potrafiło zlecieć, nie wiadomo kiedy. Biznes cierpiał, zyski były znacznie mniejsze, niż mogłyby być, ale cóż tam handel i maksymalizacja dochodów... Forsy wujo Franek i tak miał jak sopli lodu na dachach i parapetach w styczniu, za to takiego wigoru, takiej pozytywnej energii i tak szczerego uśmiechu wielki wynalazca nie prezentował światu nigdy przedtem. Nawet po wygranej w wyjątkowo zaciętej edycji rodzinnego quizu wujo ograniczał się do cierpkiego półuśmiechu mistrza, który ponownie dokopał słabeuszom. Z dziką rozkoszą rzucał jeszcze kilka ironicznych uwag na temat rywali, raz czy dwa dogryzał Piotrowi i radość się kończyła. A po wizycie jednej czy drugiej klientki, po zanotowaniu kolejnego obiecującego numeru telefonu, uśmiech wuja Franka był tak szeroki, że gdyby nie uszy, to przypominałby równoleżnik.

- No co, chyba nie jestem już taki stary, co? - niczym nadgorliwy uczeń dopytywał Grażynę o przyczynę swoich sercowych sukcesów. Nie doczekawszy się odpowiedzi, po trzech minutach startował ponownie: - No co, chyba jeszcze jestem jakoś tam atrakcyjny? Co nie, Grażynka?!

Niestety, Grażyna była jedną z nielicznych kobiet w okolicy, na których ewidentny wdzięk, czar, osobowość i szarmanckość wuja Franka nie robiły najmniejszego wrażenia.

Z Piotrem też nie bardzo dało się na ten temat pogadać, chociaż, wiadomo, zawsze z chłopem mniej zręcznie. Ale i jemu wielki wynalazca nie darował.

- Jak myślisz, chyba nie ma w tym domu przystojniejszych od nas, co? - Wujo wykazał się nie lada dyplomacją, jednak Piotr przyjął tę samą taktykę co małżonka i zajął się gazetą.

Rodzina w żaden sposób nie komentowała sercowych przygód wielkiego wynalazcy, raz tylko babka Wiktoria rzuciła, że to coraz mniej przypomina handel, a coraz bardziej dom schadzek. Wujo Franek od razu usadził ją celną ripostą, że osobie czerpiącej spore zyski z gier hazardowych typu domino akurat sąsiedztwo domu schadzek w ogóle nie powinno przeszkadzać. Babka Wiktoria nie podjęła wątku, kontra okazała się skuteczna. Grażyna milczała, bo zbliżał się upragniony koniec tygodnia.

- Niech przez te kilka dni przychodzi do Franka, kto chce! - rzuciła jedynie.

I przychodzili. Różni. Każdy z rewelacyjną ofertą i z tak genialnym pomysłem, że pan Franciszek na pewno będzie zachwycony. Faceta, który proponował umieszczenie banerów reklamujących maszynę do handlu czasem na swoich lokalnych busach, Piotr osobiście jedenaście razy wywalał za drzwi. Inni członkowie rodziny drugie tyle. Bliźniaki zaczęły go traktować jak stałego bywalca i z własnej woli mówić mu „dzień dobry”.

Jakież on perspektywy radosne przedstawiał! Jakież kolorowe wizje na swoim laptopie wyrysować potrafił! Dysponował ponad setką przygotowanych haseł, a każde wymalowane było wszystkimi kolorami tęczy w tonacjach tak jaskrawych, że organizatorzy karnawału w Rio de Janeiro wpadliby w kompleksy. Miał tych swoich busów pół tuzina, jeździły tylko w godzinach szczytu i tylko w samym centrum. Każdy mieszkaniec świetnie potrafił je rozpoznać i warto, po prostu warto byłoby takie banery reklamowe umieścić. Kosztuje to grosze, naprawdę symboliczne grosiki - tu pan pokazywał kolejną kolorową tabelkę z kosztorysem, na oczach zachwyconej rodziny dodawał jeszcze siedem procent rabatu, bo więcej nie może, naprawdę nie może, a po sekundzie wyciągał dwa jednobrzmiące egzemplarze umów czekających jedynie na podpis obu stron.

I tak występ przemilego właściciela prywatnej linii busów dobiegał końca, zamiast braw i huku otwieranych szampanów wujo Franek z żalem stwierdzał, że bardzo mu przykro, ale nie jest

zainteresowany taką formą reklamy.

Nic nie szkodzi, sympatyczny pan uśmiechał się szeroko, przecież on jest gotów raz jeszcze przedstawić szczegóły swojej niesamowitej oferty reklamowej na najbardziej popularnych, w zasadzie jedynych busach jeżdżących po miasteczku. Może po prostu pan Franciszek czegoś nie zrozumiał, może nie uwierzył, że warunki oferty i umowy są aż tak korzystne. Sympatyczny pan z dziką rozkoszą wszystko powtórzy, a najciekawsze fragmenty gotów jest przypomnieć i pięć razy z rzędu, jak refren wakacyjnego przeboju. Żeby największy muzyczny tępak był w stanie nucić go sobie przy goleniu.

Ależ naprawdę, dziękujemy, pan już przedstawił swoją ofertę, jest naprawdę niewiarygodnie korzystna, śmiało można zaryzykować stwierdzenie, że doskonała, jednak pan Franciszek nie jest nią zainteresowany.

A skąd taka pewność? Czy sympatyczny pan mógłby dostać jeszcze jedną szansę na przedstawienie choćby kluczowych aspektów swojej niewiarygodnej oferty, bo może panu Franciszkowi coś umknęło?

Nie, nie ma potrzeby, panu Franciszkowi nic nie umknęło.

Skądże tak kategoryczne sformułowania? Przecież nie będzie wiadomo, czy coś panu Franciszkowi umknęło, czy nic mu nie umknęło, jeśli tego nie sprawdzimy.

Jeśli nawet umknęło, to najwidoczniej nie było to na tyle znaczące, aby mogło w jakikolwiek sposób wpłynąć na decyzję pana Franciszka.

No, jeśli umknęło, jak sami państwo przyznajecie, to nie sposób wyrokować, czy to było znaczące, czy nie. Trzeba to sprawdzić. A jedyną sensowną formą sprawdzenia jest powtórna prezentacja.

Nie, naprawdę dziękujemy, nawet jeśli umknęło coś niezwykle znaczącego, to trudno, jakoś będziemy z tym żyć.

Jakże to tak?! Przychodzi sympatyczny pan, przedstawia świetną ofertę i przy założeniu, że podczas prezentacji umknęło coś niebywale znaczącego, rezygnuje się z projektu w całości? Toż to niewiarygodny błąd biznesowy...

Tak, tak, to są dopiero początki pana Franciszka w biznesie i jako debiutant ma prawo do błędów.

Niech więc korzysta z rad bardziej zaprawionych w biznesowych bojach. A w celu uniknięcia błędów sympatyczny pan jest gotów raz jeszcze przedstawić swoją niewiarygodną ofertę umieszczenia superkolorowych banerów na najbardziej rozpoznawalnych, w zasadzie jedynych prywatnych busach w miasteczku.

I takie dialogi, takie wymiany stanowisk, takie sięganie po argumenty psychologiczne, logiczne, ekonomiczne i jakiegokolwiek inne potrafiły trwać w nieskończoność. A wszystko z szerokim uśmiechem i długą pauzą. Jedyną szansą na zakończenie rozmowy było pokazanie delikwentowi drzwi, co Piotr nazywał „wywaleniem namolnego frajera na zbity pysk”, z kolei namolny frajer określał mianem „impasu negocjacyjnego”.

W celu przerwania tego „impasu negocjacyjnego” nazajutrz pojawiał się ponownie. Wchodził bez kolejki - bo przecież on jest w trakcie trwających od kilku dni negocjacji - żądając natychmiastowego spotkania z panem Franciszkiem, od biedy z kimś z rodziny, bo on, ów sympatyczny dżentelmen, wprowadził do swojej i tak już świetnej oferty kilka znaczących poprawek, dzięki czemu ta świetna oferta - niewiarygodne, ale to fakt - będzie jeszcze świetniejsza.

Otóż niech pan słucha, panie Franciszku, wprowadzimy specjalny zapis w umowie, w myśl którego najbardziej rozpoznawalne, a w zasadzie jedyne prywatne busy w miasteczku oblepione superkolorowymi banerami reklamującymi maszynę do handlu czasem będą jeździły o

dwadzieścia kilometrów na godzinę wolniej. I co?! I co?! I wszyscy mieszkańcy będą z większym komfortem patrzeć na reklamy - z łatwością przeczytają treść napisu, przyswoją komunikat, tym samym akcja będzie bardziej skuteczna... No niech pan powie, panie Franciszku, czy nie jest to genialny pomysł? Owszem, będzie trochę, minimalnie, co prawda, ale zawsze drożej, jednak chyba warto, prawda?

Pan Franciszek, mimo wyraźnej poprawy i tak już świetnej oferty, cały czas nie jest zainteresowany.

Niemożliwe, to może ja powtórzę, bo może coś umknęło.

Nie, nie umknęło.

Skąd wiadomo, że nie umknęło? Jeśli coś umknęło, to nie wiadomo co, bo niby skąd byłoby wiadomo, że umknęło?

Tak, tak, już wczoraj o tym mówiliśmy...

Ale przesympatyczny pan całą noc spędził na udoskonalaniu swojej i tak już świetnej oferty, to chyba nie może zostać niezauważone przez pana Franciszka.

I tak w kółko. A takich przesympatycznych panów potrafiło przyjść ze czterech dziennie. I każdy z nich szczerze zapewniał, że propozycje trzech poprzedników są - przepraszając za szczerość i ostrość opinii - gównem. Tak naprawdę on i tylko on, nikt inny, ma ofertę godną uwagi. I on ją chętnie przedstawi, a w razie czego powtórzy, aby mieć pewność, że podczas pierwszej prezentacji nic nie umknęło.

O ile Grażyna i Piotr mogli liczyć na to, że jeszcze parę dni i w domu umilknie, przestaną ich odwiedzać nadgorliwi akwizytorzy i radośni szarlatani biznesu, o tyle wuj Franek od ich ofert, propozycji, przymilań, przypodobań i niekończących się prezentacji nie uwolni się już nigdy. No, może wtedy, kiedy ludzie stracą zainteresowanie handlem własnymi godzinami. Na to jednak na razie się nie zanosilo. Tłum przed warsztatem wuja Franciszka rósł w tempie geometrycznym.

Znacznie bardziej brzemienna w skutkach była wizyta trzech panów w dresach. Zjawili się w warsztacie ostatniego dnia, godzinę przed zakończeniem działalności biznesowej. Nie jest do końca jasne, czy chcieli zapoznać się ze szczegółami technicznymi cudownej maszyny, czy raczej uściskać dłoń samemu wielkiemu wynalazcy - panowie mówili niewiele, a gdyby pominąć słowo „kurwa”, to właściwie milczeli.

W pierwszej chwili wuj Franek, ujrawszy trzech młodzieńców w sportowym odzieniu, wziął ich za zawodników sekcji juniorskiej tutejszego klubu. Kombinacja nie była taka głupia - gdyby tak jeden maratończyk odsprzedał godzinę drugiemu maratończykowi, dotychczasowe tabele światowych rekordów runęłyby z hukiem. A już sprinterzy i średniodystansowcy zanotowaliby wyniki ujemne.

Wuj Franek, wielki fan sportu i gorący kibic niemal każdej dyscypliny, zaczął z zapalem godnym pensjonarki wypytywać przybyłych o postępy w treningu i rekordowe osiągnięcia, ofiarować rabat dla zawodowych sportsmenów i wpraszać się na najbliższe zawody. Jednak panowie w dresach absolutnie nie byli zainteresowani podejmowaniem konwersacji, co jeden z nich dobitnie wyraził umieszczeniem prawej pięści na lewym policzku wuja Franciszka.

- Aha! Rozumiem, panowie bokserzy! - wywnioskował wuj Franek i już w milczeniu przypatrywał się poczynaniom trójki mężczyzn. Ci bez najmniejszego zmieszania, nie mówiąc o klasycznym w takich przypadkach pytaniu: „Czy można?”, zabrali się do wynoszenia cudownej maszyny.

Porozumiewali się znakomicie za pomocą przytoczonego wcześniej słowa. Zadawali sobie pytania i udzielali wyczerpujących odpowiedzi. Dzielili się wątpliwościami, które błyskawicznie rozwiewali. Na bieżąco korygowali plan akcji, chwalili się wzajemnie, udzielali

sobie fachowych porad, ale potrafili także skrytykować działania kolegi, jeśli tylko coś szło niezgodnie z przewidzianym scenariuszem. Dodawali sobie otuchy. Ustalali trasę, jaką będą wracali. Dokonywali wstępnych obliczeń zysków i równie wstępnego podziału łupów. Gratulowali sobie pomysłu i wykonania. Ba! Potrafili też spytać, co słyhać u ich narzeczonych. Kazali je serdecznie pozdrowić. Umówili się na wieczorne opijanie dzisiejszego sukcesu. A wszystko to za pomocą jednego słowa, dwóch sylab i pięciu liter. Jakby to powiedział jakiś początkujący aforysta - za pomocą jednego słowa rozumieli się bez słów.

Niestety, wujo Franek nie był aż tak lotny, nie miał takich zdolności językowych, aby z takim samym zasobem leksykalnym porozumieć się z trójką dżentelmenów. W ustach gości pojawiło się zatem kilkakrotnie pytanie: „Jak to działa?”, sownicie okraszone słowem podstawowym.

Wuj Franciszek starał się łagodnie tłumaczyć, że to dzieło jego życia, że były pewne kłopoty z opatentowaniem wynalazku, tak więc nie za bardzo chciałby się dzielić swoją wiedzą z - darując panowie szczerłość - obcymi osobami.

- Kto wie - zadumał się - może za jakiś czas opublikuję artykuł w jakimś popularnonaukowym periodyku i gdyby panowie łaskawie zostawili swoje zamiary, to chętnie podeślę kilka egzemplarzy. Mogą być z autografem.

Drugi cios, jaki wuj Franek zainkasował na lewy policzek, kazał mu błyskawicznie domyślić się, że panowie raczej nie należą do fanów pism popularnonaukowych, ponieważ ukazują się one średnio raz na miesiąc, zaś panowie, jako ludzie biznesu, najwidoczniej taką ilością wolnego czasu nie dysponują. Trzeci cios.

Wuj Franek zaczął tłumaczyć, że jego obecność jest po prostu niezbędna przy każdorazowym użyciu maszyny. Czwarty cios.

Wuj Franek zaczął tłumaczyć, że... Piąty cios.

Wuj Franek zaczął... Szósty cios.

Wuj Franek... Siódmy cios.

- Dobra! - zrozumiał w końcu istotę problemu. - Jeśli chcecie panowie zabrać maszynkę i korzystać z niej do oporu, to pozwólcie, że ustawię stosowne parametry.

Trójka dżentelmenów - zasłuchana w fantastycznie brzmiące i kompletnie dla nich obce słowo „parametry” - pozwoliła. („Parametry? A co to jest? Dwa metry, bo dwa to para, a metry to metry”? - takie zapewne myśli kłębiły się w ich sympatycznych głowach, co można było wywnioskować z ich równie sympatycznych obliczy). Wuj Franek przekreślił coś przy jednym z liczników, naciągnął odpowiednią sprężynę i poklepał czule na pożegnanie cudowny wynalazek.

- To teraz musicie panowie robić tak: sprzedający wchodzi po lewej stronie, kupujący po prawej, trzeba wcisnąć ten czerwony guzik i sprawa załatwiona. Życzę miłej zabawy! - do końca trzymał fason i zachowywał maniery dżentelmena. Trzech panów w dresach - pomijając słowo podstawowe i fundamentalne - do końca zachowało wyniosłe milczenie.

Tak naprawdę owa wizyta mężczyzn w dresach była znacznie mniej kłopotliwa niż późniejsza rozmowa z Grażyną i Piotrem. W pierwszym przypadku wszystko odbyło się niemal w całkowitej ciszy, bez najmniejszego napięcia - ot, negocjacje profesjonalistów, w których wszelkie sporne kwestie były rozwiązywane ciosem w policzek czy szczękę jednej ze stron. Owszem, twarz bolała, ale pertraktacje w szybkim tempie zmierzały do finału. Przy czym - jak zapewniał wuj Franciszek - ciosy były zupełnie niegroźne.

Drugi przypadek okazał się znacznie poważniejszy. Tu rozmowa trwała o wiele dłużej, punktów spornych było dużo więcej, a o prostych rozwiązaniach zastosowanych przez trzech dżentelmenów można było jedynie pomarzyć. Mówmy wprost, Grażyna z Piotrem urządzili wujowi klasyczne piekło.

- A dlaczego nie krzyczałeś?! Przecież przybiegliśmy na ratunek, wezwalibyśmy policję! Czemu nie dałeś najmniejszego sygnału?!

No jakże to tak - sygnał dawać, kiedy do warsztatu wchodzi trzech sportowców? Na sportsmenów policję wzywać? Po cholerę?! Przecież wujo naprawdę myślał, że to są lekkoatleci albo kolarze. A jak już się okazało, kim byli naprawdę, to na wzywanie jakiegokolwiek pomocy było za późno.

Przecież to gangsterzy! Bandyci! Jezus Maria, przez ten swój upiorny wynalazek wujo ostatnich zbirów do porządnego domu ściąga. Margines będzie po salonach się płatał! A gdyby tak akurat w warsztacie siedzieli Hania z Michasiem? O matko święta!

I Grażyna z Piotrem lamentowali przez kwadrans - że na policję trzeba od razu, że komunikat do prasy dać, że może ktoś widział tych złoczyńców, że została skradziona, ba!, bestialsko zrabowana, niezwykle wartościowa rzecz, że trzeba ufundować nagrodę, to się może znajdzie. I ze sto razy pojawiły się w ich ustach - choć u Piotra znacznie częściej - pytania: „I co teraz?“, „No i co teraz zrobisz?“, „Co dalej z handlem czasem?!“.

Aż się wujowi miło zrobiło! Warto było dać sobie gębę obić, aby takiej troskliwości ze strony najbliższych doświadczyć.

- Jak to co dalej? Nic! Po staremu! Zrobię sobie drugą! Ładniejszą. Z tej pierwszej to, po prawdzie, już trochę lakier odlatywał - tłumaczył spokojnie.

- No tak, ale ta stara przecież w pełni sprawna była. Nie pojmujesz, że ci się teraz pod nosem pojawi konkurencja? I to taka konkurencja, która lubi mieć monopol? - pytał, sensownie zresztą, Piotr.

- Życzę szczęścia! Niech próbują! - uśmiechnął się pod nosem wuj Franciszek. Jakby kto pytał - wielki wynalazca i światowy geniusz.

Rodzaj uśmiechu jednoznacznie wskazywał, że w żaden sposób nie zamierza przejmować się ewentualnymi konkurentami. Rodzina zbyt dobrze знаła usposobienie wuja - tak łatwo to on nie pogodziłby się ze stratą życiowego osiągnięcia. Zbyt cwany i - co tu kryć - zbyt złośliwym typem był wujo Franek, aby sobie z trójką panów w dresach najnormalniej w świecie w kulki nie pograć.

- No, słuchamy, cóż też znowu wykombinowałeś... - zachęcała do zwierzeń Grażyna.

Wujo, najwidoczniej dumny z siebie, podrapał się w łysinę, uśmiechnął się promiennie i wypalił:

- Otóż przygotowałem konkurencji niespodziankę! Dokręciłem maszynę na maksymalne obroty czasowe. Jak ktoś z niej skorzysta, to nie dostanie dodatkowej godziny, tylko... - Zamilkł w kluczowym momencie i zaczął coś gorączkowo obliczać na palcach.

- Tylko... - dopowiedział Piotr.

- No, według moich obliczeń jakieś piętnaście lat! - uśmiechnął się szelmowsko wujo.

- Jezu! - jedynie na taki komentarz stać było Grażynę.

- I to zadziała? - większym pragmatykiem okazał się być jej mążnek.

- Nie wiem, nigdy nie próbowałem.

- Dlaczego?! - wykrzyknęli zgodnie Grażyna z Piotrem.

- A niby gdzie znaleźć frajera, który w ciągu minuty chciałby się postarzeć o piętnaście lat? - co prawda niegrzecznie, bo pytaniem na pytanie, ale przekonująco odpowiedział wujo Franciszek. I to była mocna puenta całej dyskusji.

MÓWI, ŻE
ZA NIC W ŚWIECIE
NIE WEZMIĘ DO
UST MIKROFONU...!



5. DZIENNIKARZE I REPORTAŻE

Za bracią dziennikarską wuj Franciszek specjalnie nie przepadał. Od zawsze utrzymywał, że nie ma parcia na szkło, nie chce z siebie robić medialnej mały, ale powodzenie wynalazku kazało mu nieco złagodzić stanowisko wobec przedstawicieli czwartej władzy.

Wujo - owszem - współpracował, ale o jakiegokolwiek sympatii nie mogło być mowy. Wywiadów udzielał półsłówkami.

- A bo to są cały czas te same pytania. Ja już ze dwieście razy na nie odpowiadałem, a im ciągle mało - tłumaczył.

Do prawdziwych scysji dochodziło, kiedy razem z dziennikarzem na wywiad przychodził fotograf, bo zgodnie z panującymi trendami tekst bez zdjęcia był mniej ważny, tak naprawdę sesja fotograficzna się liczyła. Żeby bohater specjalnie dla naszych czytelników na bóstwo się zrobił, zapozował czy to na intelektualistę, czy to na przyjaciela, czy to na pajaca. Pies trącał, na co zapozuje, byleby to zrobił z myślą o czytelnikach.

I te nieustające, przemiłym tonem szeptane prośby: „Panie Franciszku, a mógłby pan z tym wózkiem pod okno podjechać, bo tam lepsze światło będzie?”. Zatem pan Franciszek, grzecznie poproszony, dyma na wózku przez cały pokój i karnie ustawia się przy oknie. Chociaż dla niego ganz pomada, bo w całym domu jasno, jest - według czasu centralnego - kilka minut po trzynastej. Dzieli się wujo swoimi spostrzeżeniami z fotografem.

- Hmm... - mistrz lustrzanki i obiektywu stęka z odpowiednim zacięciem filozoficznym znamionującym głęboki intelekt. - Może pod oknem rzeczywiście nie jest najlepiej. Może lepiej będzie na tle tej białej ściany obok kominka, co? Byłby pan łaskaw, panie Franciszku?

Pan Franciszek, bo i cóż innego pozostało uczynić, byłby łaskaw. Z konsekwencją miejskiego tramwaju śmiga przez długość pokoju i ustawia się na tle białej ściany. Obok kominka.

- Tak, świetnie! Świetnie! Panie Franciszku, doskonale! - ryczy podniecony pan fotograf, ale przez obiektyw patrzy i coś mu teoria z praktyką nie chcą się pogodzić. - Byłoby jednak jeszcze świetniej, gdyby pan stanął obok kominka, tylko z drugiej strony... Bardzo proszę, panie Franciszku...

Moment, moment, stanąć z drugiej strony to i można, ale jakie znowu: „panie Franciszku”?! Koledzy? Co to za słowne poklepywanki, co to za fraternizujące zagaduchy? Zdenerwowany, ba!, wkurzony wuj Franciszek, wielki wynalazca, staje wózkiem po drugiej stronie kominka.

- Panie Franku! Niech pan się nie denerwuje, zaraz będzie po kłopotcie - uśmiecha się profesjonalnie pan fotograf i pstryka po raz pierwszy. Po chwili drugi raz i trzeci.

Wuj Franciszek oddycha z ulgą, bo przez telefon pan fotograf mówił, że to zajmie naprawdę sekundkę. „Pyknę trzy fotki i już mnie nie ma”. Kto jak kto, ale wielki wynalazca potrafi przecież zliczyć do trzech. Tymczasem pan fotograf jakby miał z tym delikatny problem, bo absolutnie niespieszony woła:

- No, panie Franku, ale to ma być żywe zdjęcie, a nie mumia egipska! Niech pan coś zrobi z twarzą! Panie Franciszku, specjalnie dla naszych czytelników, niech pan coś z twarzą zrobi!

Ożeż w dupę jeża! Niby co sobie wuj Franciszek, wielki konstruktor, ma z twarzą zrobić, aby dobrze było? Aby czytelnik był zadowolony? Pociąć skórę na policzkach? Włożyć do gęby dwie piłeczki pingpongowe? Pomalować usta szminką lilaróż? A może dla zadowolenia czytelników wystarczy, jak wuj Franciszek walnie klasycznego zeza? Będzie w porządku?

Pójdzie pan sobie wtedy, panie fotografie, w cholere?

- Panie Franciszku, jakby pan tak głowę obrócił w lewo, z kolei oczy skierował lekko w górę i delikatnie się uśmiechnął. Podpiszemy to: „Czyżby w głowie świtał następny przełomowy wynalazek?” - ekscytuje się fotograf, zdradzając inklinacje i - bez wątpienia - talent do artystycznego opisu świata. - Tak, o to chodzi, świetnie! Tylko jedna kwestia - jakby pan, panie Franciszku, nie uśmiechał się tak triumfalnie, tylko nieco subtelniej, delikatniej po prostu. Bardziej chodzi mi o klimat zamyślenia, pewnego rodzaju rozmarzenia, a nie pełnego zwycięstwa.

Nie wiedzieć czemu, wuj Franciszek wciela się w amatorską wersję Sophii Loren czy Penelope Cruz i trenuje półuśmiech sugerujący „zamyślenie, a nawet pewnego rodzaju rozmarzenie”. W środku krew burzy się w temperaturze 95 stopni szanownego pana Celsjusza - jeszcze jedna głupawa wskazówka czy idiotyczna prośba ze strony fotografa, a wuj Franciszek eksploduje, nie znajduje dla intruza grama litości. Intruz fotograf, najwidoczniej nieświadom niebezpieczeństwa, drapie się w głowę. Coś jest nie tak. Coś pięknie obmyślona wizja nie chce się zmaterializować.

- Panie Franku! - rzuca tonem jednoznacznie wskazującym, że do końcowego sukcesu jest bardzo, ale to bardzo daleko. - Chyba naprawdę będzie lepiej, jak pan z tym wózkiem ustawi się pod oknem...

Zatem dobrze, wuj Franciszek ponownie parkuje przy oknie. Ponownie pozuje. Ponownie robi coś z twarzą. Ponownie odnosi wrażenie, że wychodzi na totalnego debila. Obiecane telefonicznie trzy fotki zmieniają się w trzy tysiące prób. W końcu jest! Nie że od razu sukces końcowy i ostateczny, ale fotograf wpada wreszcie na pomysł, czemu przez tyle czasu sesja nie wychodzi. Przyczynę znalazł, to najważniejsze, teraz tylko odpowiednio problemowi zaradzić i pójdzie jak z płatka.

- Daruje pan szczeroc, panie Franciszku, ale koszulę ma pan zbyt mdłą. Nasz czytelnik nie znosi szarocci! Niech pan coś żywszego włoży, od razu będziemy mieli to, o co nam chodziło! - niemal krzyczy. A wuj Franciszek, jakby zapominając o swojej pozycji i osiągnięciach, potulnie przebiera się w koszulę o barwie jaskrawej zieleni z krwistoczerwonymi lampasami.

Po dwóch godzinach intruz fotograf, złorzecząc, żegna się i wychodzi. Wielu tępych modeli miał do dyspozycji, wielu nieutalentowanych aktorów pstrykał, ale taki sztywniak jak ten cały pan Franciszek jeszcze nigdy mu się nie trafił. Sześć rolek filmu na tego patałacha zużył i jasne, zawsze coś się z tego wybierze, ale nie należy spodziewać się rewelacji.

Fotograf wychodzi, a wtedy do wuja Franciszka, wypompowanego do granic możliwości, przysiadła się dziennikarz. Wyciąga dyktafon i z szerokim, profesjonalnym uśmiechem zapewnia, że jemu pójdzie znacznie krócej.

- Mam nadzieję! - prychna wielki wynalazca.

Atmosfera na moment tężeje, ale przecież pan redaktor wie, uczył się tego na studiach i na kursie dodatkowym, mówili mu o tym przełożeni i bardziej doświadczeni koledzy, że od umiejętności wprowadzenia rozmówcy w komfortowy nastrój będą zależały i klimat wywiadu, i chęci jego bohatera do zwierzeń. Zatem puszcza uwagę wielkiego wynalazcy mimo uszu, sięga do kajetu z zapisanymi pytaniami, ponownie wrzuca na facjatę profesjonalny uśmiech sru!... od razu wali z grubej rury.

- Panie Franciszku! To może niech pan na początek powie, jak pan wpadł na pomysł maszyny handlującej czasem... - a błyskotliwe zagajenie poparte jest triumfującą miną pod tytułem: „Co?! Zaskoczony, nie?! Ale wist! Ale as serwisowy! Ale otwarcie! Nie tego się pan spodziewał, panie wynalazco, co nie?”.

I potem mają pretensje do wuja Franciszka, że świata mediów nie lubi, że udzielając wywiadów, odpowiada półsłówkami. Że przedstawicielei czwartej władzy nie tylko nie szanuje, ale i pogardy nie ukrywa. Wuj Franciszek, owszem, pogardy nie ukrywa, jednak zapewnia, że ma swoje powody.

Dlatego za spory sukces należy uznać to, że poświęcił pewnej młodej redaktorce mnóstwo czasu, chętnie i szeroko opowiadał, nie szczędząc anegdot i dygresji daleko wykraczających poza ramy pytań.

Reportaż ukazał się w specjalnym dodatku tygodnika „Wydarzenia, Opinie, Komentarze” z okazji piętnastej rocznicy pojawienia się możliwości handlu czasem. Młoda redaktorka „WOK” pracowała nad tekstem prawie pół roku, ale efekt był taki, że wuj Franek, niezwykle krytyczny wobec wszelkich publikacji na swój temat, z uznaniem kiwał głową.

- Co nieco bym poprawił, nad stylem popracowałem, ale generalnie nie jest najgorzej... - wymamrotał pod nosem po lekturze, co w wolnym tłumaczeniu z wujowego na ojczysty brzmiałoby mniej więcej tak: „Pani redaktor! Napisała pani tekst zdumiewająco doskonały, jest pani dziennikarską znakomitością i gdyby to ode mnie zależało, to powinna pani w tym roku otrzymać Pulitzera. Gratuluję i dziękuję, lektura pani tekstu to prawdziwa duchowa uczta”.

Nagłówek był mało oryginalny. *Historia pewnego wynalazku*. Jakby się pani redaktorce już nad nim popracować nie chciało. Jakby po skończeniu tekstu na laurach spoczęła i nad tytułem nawet sekundy nie posiedziała. Jednak dalej było znacznie ciekawiej...

Trudno dziś sobie wyobrazić jakąkolwiek miejscowość na świecie bez charakterystycznych czerwono-niebieskich plastikowych budek. Każda stacja benzynowa, dworzec, supermarket, biurowiec czy park miejski wyposażone są w aparaty do - jak to się powszechnie określa - sprzedaży czasogodzin. I trudno chyba znaleźć człowieka, który by choć raz z takiej budki nie skorzystał. Wyjątkowo zgodni w tej kwestii eksperci nie mają wątpliwości - to wynalazek wszech czasów. Jak kiepska anegdota brzmi dziś informacja, że przed piętnastu laty handlować czasem można było w jednym tylko miejscu - starym garażu przerobionym na warsztat.

POCZĄTKI

- *Osobiście wywiesiłam trzy ogłoszenia przygotowane na domowej drukarce. Niedaleko kościoła, na przystanku autobusowym i na tablicy ogłoszeń przy supermarkecie. To była cała akcja marketingowa. Następnego dnia rano przed garażem stało kilkaset osób - opowiada Grażyna, siostra Wielkiego Wynalazcy.*

Z kolei Wielki Wynalazca, którego cały świat nazywa pieśzczośliwie Wujem Frankiem, nie bez złośliwości przypomina, że ta sama siostra kazała mu po miesiącu działalności zamknąć interes, bo „przeszkadzało jej zamieszanie”.

- *Owszem, kręciło się przed domem mnóstwo osób, ale jak na epokowy wynalazek i tak było dość spokojnie.*

Tworzyły się komitety kolejkowe, zmartwychwstał zawód „kolejkowego stacza”, pojawili się zawodowi oszuści i naciągacze obiecujący dostęp do Wuja Franka bez konieczności „odstania swojego”. Przed garażem zjawiali się także żądni sensacji dziennikarze. Na początku swoich wysłanników przysyłały redakcje tabloidów, tym z założenia nikt nie wierzy, więc doniesień o rewelacyjnym wynalazku nikt nie brał serio. Kiedy jednak coraz liczniejsi świadkowie

zgodnie potwierdzali, że na sprzedaży własnego czasu udało się im zarobić tudzież za stosunkowo niewielką sumę wydłużyć swoją dobę o kilka godzin, wydarzenia zaczęły nabierać rozpędu.

- Bez przesady z tym rozpędem! - prostuje Wuj Franek. - Zainteresowanie od samego początku było spore, ale musiałem zamykać cały majdan, bo się siostrze bałagan przed domem nie podobał. Nieistotne były ani wielkie perspektywy, ani też olbrzymie pieniądze, jakie hurtowo dzień w dzień przynosili klienci.

Sprawę dodatkowo skomplikował brutalny rozbój, jakiego w garażu Wielkiego Wynalazcy dopuścili się trzej łysi młodzieńcy z nieistniejącej już dzisiaj subkultury dresiarzkiej. Podczas napadu został skradziony prototyp maszyny. Mimo daleko idących poszukiwań i wykwalifikowanych służb, i hobbystów amatorów, do dziś nie udało się odnaleźć pierwszego egzemplarza. Organy ścigania nigdy też nie ustaliły sprawców napadu.

- Bo źle szukali! Wśród gówniarzerii robili łapanki! A ja im sto razy mówiłem, żeby szukać w towarzystwach o piętnaście lat starszych. To się tylko panowie policjanci znacząco patrzyli i dobrotliwie uśmiechali - opowiada Wuj Franciszek, dodając z właściwym sobie przekąsem, że szybciej skonstruował drugi egzemplarz, niż mu siniaki z twarzy poschodziły.

Historia z napadem przekonała jednak samego Wielkiego Wynalazcę, że prowadzenie tego typu działalności w przydomowym garażu nie jest najlepszym pomysłem. Ale znalezienie nowego pomieszczenia nie było zadaniem banalnym. Kiedy potencjalnie zainteresowani właściciele odpowiednich przybytków dowiadywali się, że chodzi o bliżej niesprecyzowany proceder handlu czasem, z miejsca kończyli negocjacje, zwracali zaliczki, rozwiązywali umowy albo przestawali odbierać telefony.

- Tak, z perspektywy czasu widzę, że z mojej strony odmowa była czystym frajerstwem i niewybaczalnym błędem... - przyznaje Łukasz Strzepniak, właściciel małej hurtowni ogrodniczej. - Ale jakby pani redaktor zareagowała, gdyby na poważny anons prasowy odpowiedział dziwak na wózku inwalidzkim z całym przekonaniem twierdzący, że on w pustym magazynie będzie sprzedawał czas? A właściwie to nie tyle będzie sprzedawał, ile pośredniczył w tym handlu. I jeszcze by panią redaktor zapytał, czy zapłata ma być w gotówce, czy też może w postaci dowolnej liczby dodatkowych godzin. Uznałem go za narwanego szaleńca i po prostu pogoniłem. Niby kto mądry chciałby robić biznes z wariatem? Nie wiem jak pani, ale ja nie...

Jako ciekawostkę można dodać, że pusty magazyn Łukasza Strzepniaka przed kilkoma laty został przerobiony na solarium i siłownię. Biznes kręci się średnio, bo dzisiaj ludzie albo dokupują kilka godzin i lecą poopalać się na Karaiby, albo nie marnują czasu na takie zbytki jak solarium i siłownia.

- Ileż ja się wtedy natłumaczyłem, ileż ja się wtedy po próżnicy nagadałem - nie kryje do tej pory wściekłości i rozgoryczenia Wuj Franek. Odpowiadał na wszystkie możliwe ogłoszenia typu: „Magazyn wynajmę” czy „Warsztat wynajmę”. Nawet nie chciał się specjalnie targować o cenę, czym z jednej strony zyskiwał sobie przychylność rozmówców, z drugiej jednak wzbudzał podejrzania. Ktoś, kto w tamtych czasach nie chciał zbić głupiej stówki, nie mógł mieć czystego sumienia i chwalebnych intencji. Takie egzemplarze po prostu się nie trafiały, przynajmniej nie w tej części świata.

Dlatego niemal z miejsca rozmówca pytał: „A co pan zamierza w tym warsztacie robić?”. I tu zaczynały się schody. Wuj Franek nie chciał kłamać, bo w tym wypadku kłamstwo błyskawicznie wyszłoby na jaw i konieczność szukania nowego adresu stałaby się palącą potrzebą. Zatem zgodnie z prawdą odpowiadał, że zamierza tu handlować czasem, a nawet nie tyle handlować, ile jedynie pośredniczyć.

Reakcje były różne: „Aha, tak z ciekawości zapytałem, bo od wczoraj ogłoszenie nieaktualne” albo ostrzejsze: „Czyli burdel chciałby pan założyć? Nie u mnie, bo ja jestem porządny katolik. Hotel pan wynajmij, nie magazyn, bo nikt panu nie przyjdzie!”, zaś najczęściej pojawiała się opcja: „Mógłby pan jakieś lepsze kłamstwo wymyślić! Żegnam!”.

Jeśli już ktoś podtrzymywał chęć rozmowy, to - też obowiązkowo - pojawiała się kolejne, równie oryginalne pytanie: „A niby na czym takie pośrednictwo w handlu czasem polega?”. Tu zwykle negocjacje kończył Wuj Franek. Bo i niby jak to wytłumaczyć? Wchodzi dwóch ludzi do drewnianej maszyny, po chwili jeden ma 23 godziny, a drugi 25?

Rzadko, bardzo rzadko zdarzało się, że Wielki Wynalazca i posiadacz odpowiedniego budynku przeznaczanego na wynajem docierali do tego etapu pertraktacji. Jeszcze rzadziej udawało się go pokonać. Jeśli jednak - podkreślmy, że były to wyjątkowe, sporadyczne przypadki - rozmowa dochodziła do punktu, w którym ani Wuj Franek, ani jego rozmówca nie mieli się serdecznie dosyć i nie żywili wzajemnej nienawiści, to z nieubłaganą pewnością poruszany był kolejny problem. Rozmówca Wuj Franka zbierał się w sobie, przetykał ślinę, brał głęboki oddech, po czym walił prosto z mostu: „No dobrze, rozumiem, dwóch ludzi wchodzi do maszyny, jeden po chwili ma dłuższy dzień, drugi krótszy, wszystko jasne... Ale proszę zdradzić, w jaki sposób działa ta cała pańska maszyna?”.

I w tym momencie Wuj Franciszek, rzuciwszy jeszcze odpowiednio grubym słowem, negocjacje kończył ostatecznie i nieodwołalnie. Wynajem - z przyczyn niezależnych od Wuj Franka - absolutnie nie wchodził w grę. Mimo wielu prób i starań. Pojawił się zatem pomysł, aby samemu kupić kawałek ziemi i zbudować własny budynek. Tu jednak zabrakło chęci. Wuj Franek nie po to wymyślał genialną rzecz, aby teraz za kielnię czy szpachlę chwytać i w murarza się zabawiać. Po pierwsze - siedząc na wózku inwalidzkim, trudno buduje się cokolwiek, po drugie - prestiż Wielkiego Wynalazcy kłócił się Wujowi Frankowi ze stereotypowym wizerunkiem budowlańca. Po trzecie - najważniejsze - szkoda było czasu.

- Myślałem, aby cały ten wynalazek rzucić w diabły, a wykombinować coś równie opłacalnego, tylko mniej kłopotliwego. Tyle że przed domem zaczęły się gromadzić demonstracje moich zwolenników i żądać ponownego otwarcia warsztatu - z wyraźną satysfakcją uśmiecha się Wuj Franek.

Nieco inne zdanie na temat tych wieców ma jego szwagier, pan Piotr.

- To nie byli żadni zwolennicy Franka, tylko okoliczna żulia, drobne parkowe pijaczki, klasyczne menele; generalnie rzecz ujmując, ci, którym w życiu się nie powiodło. Dzięki wynalazkowi Franka mieli fantastyczny okres w życiu. Sprzedawali swoje wolne godziny, a tych mieli w nadmiarze, i za zarobione fundusze mogli do woli bankietować. Przecież dla nich to był

raj, to było dolce vita. I teraz im się dostęp do tego raju zamyka. Dlatego te protesty. Z tym że dla nich to był raj, a dla nas koniec normalnego życia. Stąd decyzja mojej żony, aby się Franek ze swoją wynalazczością jak najszybciej wynosił z warsztatu. Dodam, że jej decyzję uważałem i uważam za stuprocentowo słuszną. Na szczęście brat żony ma nieskończenie wielkie pokłady miłości własnej, więc to zebranie przed domem potraktował jako wiec poparcia dla niego - nie bez odrobiny złośliwości dodaje pan Piotr.

Rodzinna legenda głosi, że Wielki Wynalazca Wuj Franciszek patrzył na zbiegowisko przed domem ze łzami w oczach, mamrotał pod nosem, że nie może tych ludzi zawieść, że to są jego wyznawcy i „jedyni, którzy w pełni doceniają jego talent”. Po kwadransie nie wytrzymał i wyjechał na wózku do demonstrantów. Przed sobą pchał drugi na świecie egzemplarz maszyny do handlu czasem. Pomysł, może i efektowny, wtedy akurat nie sprawdził się do końca, bo wśród zebranych nie było nikogo z gotówką, a Wuj Franek na tyle szczodry nie był, aby mecenasować swoim zwolennikom. Jednak to doświadczenie podsunęło mu idealne rozwiązanie problemów lokalowych - ogólnodostępne i samoobsługowe budki na ulicy.

Lawina ruszyła.

Pierwsza budka stanęła na parkingu nieopodal supermarketu. Już wtedy miała czerwono-niebieskie barwy (według pomysłu i projektu Wuja Franciszka), wielką instrukcję obsługi (autorstwa Wuja Franciszka), pod którą wisiał numer telefonu alarmowego (bezpośrednio do Wuja Franciszka). Dziś wydaje się to nieprawdopodobne, ale przed piętnastu laty każdy mógł spokojnie zadzwonić do Wielkiego Wynalazcy, który - co chętnie przypomina najbliższa rodzina - jak dziecko cieszył się z każdego sygnału. Nawet negatywnego.

Zainteresowanie było ogromne. Niesprawdzone legendy i chętnie powtarzane anegdoty opowiadały o desperatach gotowych przejechać kilkaset kilometrów, aby odstać swoje w kolejce i jeszcze własną dobę skrócić o kilka godzin.

Sprawę coraz bardziej nagłaśniały media, a Wuj Franek natychmiast awansował na bywalca wszelakich telewizyjnych audycji czy nawet - co za wstrętne czasy! - ówczesnych programów rozrywkowych. Na stare lata został medialnym celebrytą, co - bez dwóch zdań - mocno go drażniło, ale i - też bez dwóch zdań - mile lechtało Wujową próżność. Efekty biznesowe pojawiły się błyskawicznie. Urzędy gmin czy rady miast zaczęły licznie zgłaszać się do Wuja Franciszka, pytając o możliwość i warunki nabycia czerwono-niebieskich budek.

Biznesowy potencjał wynalazku Wuja Franka momentalnie dostrzegły lotniska i dworce. W ramach testu poustawiano po kilka egzemplarzy samoobsługowych budek w okolicach poczekalni, słusznie kalkulując, że turysta czy biznesmen chętnie sprzeda trzy godziny z międzylądowania. Nie dość, że nie będzie musiał czekać, to jeszcze kilka złotych zarobi. Ci z kolei, którym pobyt w mieście albo i samo miasto spodobały się do tego stopnia, że nie zechcą wyjeżdżać, z ochotą sobie godzinkę czy dwie dokupią. Ci, którzy nie pozatalwiali wszystkich spraw, nie zdążyli zwiedzić miejsc wartych zwiedzenia, nie poświęcili odpowiedniej ilości czasu kochance czy prawnikowi, gotowi byli bez wahania uszczuplić portfel o kilka banknotów, aby tylko kochanka czy prawnik nie poczuli się urażeni.

- Na początku wszyscy podejrzewali wielką zgrywę. Przyspieszony prima aprilis albo

ukrytą kamerę, tego typu finezyjne żarty dla rozbawienia pólidiotów, którzy w piątkowy wieczór piją piwo przed telewizorami - wspomina Piotr Maciejczyk, wtedy biznesmen, dziś taksówkarz, jeden z pierwszych klientów czerwono-niebieskiej budki. - Przez kwadrans kręciłem się wokół budki i patrzyłem, jak to działa. Odważyłem się i z dwóch godzin czekania zostało mi dziesięć minut na przebiegnięcie do terminalu odlotów. A jeszcze zdążyłem za zarobione pieniądze kupić butelkę dobrego alkoholu. Zupełnie nie wiedziałem, kim jest Wuj Franciszek, ale byłem pełen podziwu dla mózgowicy, która taką rewelacyjną rzecz wykombinowała. Człowiek się czuł, jakby wygrał w totka. I miał świadomość, że wygra zawsze, jeśli tylko zdobędzie kupon - Co prawda, dziś szczerze tego wynalazku nienawidzę, ale wtedy byłem pełen uznania - uśmiecha się smutno pan Piotr.

Niechęć naszego rozmówcy jest uzasadniona i zrozumiała. Pan Piotr oszczędności swojego życia postanowił zainwestować w korporację taksówkową. Jednak w miarę rozwoju wynalazku Wuja Franciszka ludzie przestali się gdziekolwiek spieszyć, taksówki straciły więc swój sens istnienia. Pan Piotr utopił pieniądze, obecnie pracuje tylko w weekendowe nocki, kiedy nie pośpiech jest decydującą motywacją do korzystania z taryfy.

- Z trudem daję radę, nieźle mnie ten Wujo Franek urządził. Z drugiej strony mam świadomość, że tylko dzięki wynalazkowi w krytycznych momentach mogę sprzedać kilka godzin i podreperować budżet - kończy pan Piotr.

Usługę można było opłacić albo gotówką, albo kartą kredytową. Kto kupował dziesięć lub więcej godzin, mógł liczyć na niewielki rabat. Z kolei za dodatkową symboliczną opłatą maszyna potrafiła wydrukować fakturę VAT, aby zabiegany biznesmen z własną działalnością tudzież księgowy w korporacji z rozbudowanym systemem socjalnym mogli sobie zakupione godziny wrzucić w koszt.

Oczywiście, takiej gratki nie mógł nie zauważyć fiskus. Nie dość, że Wuja Franka ukarano najwyższą z możliwych grzywn za „niezalegalizowanie” i „niedopełnienie formalności wobec urzędu skarbowego”, to jeszcze handel czasem obłożono dwudziestojednoprocentowym podatkiem. Wuj Franciszek był jednak w takim punkcie kariery, że najwyższe nawet grzywny mogły go co najwyżej rozżłościć. Zwłaszcza że mimo opodatkowania handlu godzinami ten rozwijał się w zawrotnym tempie.

Kwestią czasu było pojawienie się kontrahentów z zagranicy. Japończycy na punkcie wynalazku i samego Wuja Franka po prostu oszaleli - honorowe obywatelstwo Tokio oraz symboliczny złoty klucz do bram miasta wręczono Wielkiemu Wynalazcy w obecności dwustutysięcznej publiczności. Wiwatom nie było końca. Oni tyle czasu nad czymś podobnym pracowali - i wszystko na nic. A tutaj, dzięki skromnemu wynalazcy amatorowi ze skromnego przydomowego garażu ich dzień mógł mieć teraz 36 albo i 96 godzin. Kto zabroni?

Głowy państw zapraszały Wuja Franka na prywatne audiencje. Papież prosił o sprowadzenie jednego egzemplarza do Watykanu, delikatnie sondując, czy istnieje możliwość wyprodukowania budki w barwach żółto-biało-niebieskich. Wielki Wynalazca odebrał Nobla w kilku kategoriach (z fizyki, ekonomii i wreszcie pokojowego). W liczbie otrzymanych doktoratów honoris causa zdeklasował wręcz dotychczasowego lidera klasyfikacji.

Sam bohater niechętnie wraca do chwil absolutnego triumfu.

- Tyle się wtedy zaczęło dziać, takie zamieszanie, że właściwie niczego nie pamiętam. Proszę sobie wyobrazić, że musiałem zatrudnić dwie sekretarki i osobistego asystenta. Tak, facet po pięćdziesiątce, do tej pory spokojny wynalazca amator z przydomowego garażu, nagle nie potrafił się obejść bez dwóch sekretarek i osobistego asystenta! No, to jakże to mogło mi się podobać! - tłumaczy podniesionym głosem. - Na trzydzieści dni w miesiącu miałem ze dwieście zaproszeń. Do tego doszło, że sam musiałem dokupywać czas, aby znaleźć wolną chwilę na odespanie. Znowu pojawiła się konieczność wynajęcia biura, tyle że teraz nie było żadnych problemów. Ba! Nadmiar chętnych i propozycji. Zdecydowałem się na mały pałacyk w centrum miasta, ale na jego tyłach kazałem postawić dokładną replikę swojego warsztatu - dodaje Wuj Franciszek.

Nie wypaliły jedynie wykłady i spotkania na żywo z publicznością. Mimo zawrotnej wysokości honorariów Wuj Franek zrezygnował z takiej formy aktywności. Jego wstępny spicz trwał piętnaście sekund i brzmiał mniej więcej tak: „Pomysł miałem od dosyć dawna. Pewnej zwyczajnej niedzieli postanowiłem sprawdzić, czy to jest możliwe. Okazało się, że tak. Pod wieczór prototyp maszyny był gotowy. Tyle że rodzina nie zagrała sobie w quiz. To wszystko...”.

Tu Wuj Franciszek kłaniał się, sala wiwatowała. Ponieważ głupio było po piętnastu sekundach kończyć spotkanie z wybitną osobistością, konferansjer anonsował serię pytań. Przy czym słowo „seria” jest jaskrawym nadużyciem, gdyż najpóźniej trzecie pytanie brzmiało: „No dobrze, ale czy może pan zdradzić nam, jak ta pańska cudowna maszyna działa?”. I tu już nie pomagały ani prośby, ani groźby, obietnice podwojenia honorarium czy te ze strony organizatorów, że to pytanie już więcej z sali nie padnie.

- Był nieublagany! Na widowni tysiąc ludzi, w pierwszych rzędach elity województwa, szczęśliwcy stoją na parapetach, pechowcy siedzą na schodach, farciarze złapali łoże na szafach, dwie godziny przed spotkaniem kończyły się miejsca wiszące, byleby zobaczyć na żywo geniusza. Przed salą drugie tyle wyznawców Wuja Franka z nadziejami, że może się Wielki Wynalazca ulituje i da drugi wykład autorski. Przy czym mało kto z obecnych zdaje sobie sprawę, że wizyta szanownego gościa pochłonęła półtoraroczny budżet na działalność organizacyjną uniwersytetu. A wykład trwa krótko, geniusz w trzeciej minucie spotkania się obraża i jak to się u was mówi, pozamiatane - opowiada profesor Chris Humbuck z Oxfordu. - Wiem, że wielcy ludzie mają prawo do wielkich dziwactw, ale czemu te dziwactwa kosztują aż tyle? - dodaje z sarkazmem godnym profesora brytyjskiej uczelni.

ZEGAR OSOBISTY

Błyskawicznie na rynku pojawiły się zegarki z podziałem na „czas centralny” i „czas osobisty”. Całe mnóstwo hochsztaplerów opublikowało quasi-poradniki w rodzaju: „Zaplanuj swój dzień! Zaplanuj swoje życie!” tudzież „Jesteś panem swojego czasu!”. Im bardziej jednak ludzie ufali książkom i planowali terminarz po swojemu, im bardziej ingerowali w dotychczasowy rytm i układ kalendarza, tym większy robił się galimatias.

- Nie ukrywam, sytuacja trochę mnie przerosła, nie byłem w stanie przewidzieć nawet ułamka konsekwencji wynikających z upowszechnienia wynalazku. Doszło do tego, że ludzie

dzwonili do mojego biura z pytaniem, która tak naprawdę jest godzina, bo oni już kompletnie pogłupieli. Ja, szczerze mówiąc, trochę też. - Wuj Franciszek drapie się w głowę i oddychając z ulgą, rzuca pod nosem, że tylko na początku był „taki burdel”.

Na ciekawą formę protestu wpadli technicy obsługujący powracającą do łask instytucję telefonicznej zegarynki. Zamiast monotonnego głosu obwieszczającego schematycznie: „Siedemnasta dwadzieścia trzy! Siedemnasta dwadzieścia trzy! Siedemnasta dwadzieścia trzy”, dzwoniący słyszeli równie monotonne: „Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem!”.

Liczba randek, jakie nie doszły do skutku, niebotycznie wzrosła. A nieszczęśliwie zakochany absztyfikant nie mógł mieć pewności, czy panna klasycznie wystawiła go do wiatru, czy też pojawiły się prozaiczne problemy z „precyzyjnym umówieniem się”. Stali więc nieboracy obok parkowych ławek i czekali nie akademicki kwadrans, nie zwyczajowe pół godziny nadziei, ale bite 48 godzin. A jak niewiasta była szczególnie warta uwagi i wszelakich inwestycji, to i 96 godzin potrafił jeden nieszczęśnik z drugim parkową alejkę wydreptywać.

Jeśli do spotkania nie dochodziło - pół biedy. Ale gdy zamiast miłosnych uniesień i przemyśłych wspomnień niedoszły narzeczony wracał do domu z grypką i zapaleniem płuc - sytuacja wymykała się spod kontroli. Katastrofa zupełna. Trzeba było bowiem udać się do przychodni rejonowej, gdzie pani z okienka z napisem „rejestracja” wręczała choremu delikwentowi tak zwany numerek i wyznaczała wizytę na ósmą trzydzieści rano. Z tym że wyznaczanie jakichkolwiek godzin czy terminów przestało mieć jakikolwiek sens, o czym niespełniony kochanek wiedział doskonale. Jakby ktoś cztery dni zmarnował w parku, oczekując na miłość życia, też by się zbyt mocno do terminów i godzin nie przywiązywał.

- No dobrze, a niby co innego miałam robić? - pyta pielęgniarka Elwira Bączkiewicz. - Tak, wydawanie karteczek z godziną wizyty było zupełnie bezsensowne, bo na tych karteczkach mogło być napisane cokolwiek. Ludzie i tak przychodzili w dowolnym terminie, zresztą najczęściej na próżno - lekarze albo już byli po dyżurze, albo akurat na urlopie. Zrezygnowałam po pół roku, psychiczne napięcie było nie do wytrzymania. Bo do kogo ludzie mieli pretensje? Oczywiście, że do kobiety, która sama im te cholerne karteczki wydała. Nie do cwaniaka, który sobie maszynę wymyślił i bałagan wprowadził na sto cztery fajerki! - kończy wyraźnie zdenerwowana wspomnieniami z tamtego okresu emerytowana pielęgniarka Elwira Bączkiewicz.

Nieodbyte randki to - owszem - fakt bezdyskusyjny, ale faktem bezdyskusyjnym stały się też wówczas złote lata romansu. Prywatni detektywi głupieli, zazdrosne żony tudzież zazdrośni mężowie rwali sobie włosy z głowy, niemniej nikt nikomu niczego nie był w stanie udowodnić. Przy ogólnym zamieszaniu dodatkowa godzina spędzona z sekretarką z biura czy przystojnym instruktorem z fitness klubu była właściwie niewykrywalna. Obserwatorzy, historycy i eksperci zawodowo badający i opisujący tamten szalony czas nie mają wątpliwości.

- To był krótkotrwały, acz niezwykle intensywny okres obyczajowego rozpasania - tłumaczy socjolog Barbara Kosior. - Najogólniej rzecz ujmując, ludzie przestali być niewolnikami własnego zegarka, jednocześnie mieli świadomość, że dokonana się wielka zmiana, że nic już nie będzie takie samo jak przedtem. Pojawiło się coś na kształt społecznego przyzwolenia w myśl zasady: „Nie wiadomo, co się dzieje, nie wiadomo, co się będzie działo, to przynajmniej spędźmy ten czas w maksymalnie sympatyczny sposób”.

Co ciekawe, zdaniem Barbary Kosior społeczne przyzwolenie na tak zwaną kulturę romansu szybko odebrało nieformalnym związkom atrakcyjność.

- Zakazany owoc przestał być zakazany, tym samym smaczny. Przed epoką handlu czasem romans niósł ze sobą tajemnicę, dreszczyk emocji: „Wyda się, czy się nie wyda?”, poczucie wyjątkowości lub przynajmniej odskocznię od szarego dnia codziennego. A kiedy zabrakło tajemnicy czy emocji, romans błyskawicznie przestał być czymś wyjątkowym - po początkowym szybkim zachłyśnięciu się nowymi możliwościami ludzie jeszcze szybciej zaczęli się nudzić. Klasyczne podcinanie gałęzi, na której człowiek siedział kilka tysięcy lat - podsumowuje autorka bestsellerowej książki z pogranicza socjologii i kulturoznawstwa Wolna miłość w wolnym czasie.

W potocznym języku natychmiast zadomowił się związek frazeologiczny „zegar osobisty”. Podstawowym pytaniem przy zawieraniu nowych znajomości - obok powszechnych: „Czym się zajmujesz?” albo „Jak masz na imię?” - było: „Na jakim zegarze osobistym funkcjonujesz?”. W domyśle: „Ile godzin ma twoja doba?”.

Odpowiedź stawała się w znacznym stopniu wyznacznikiem pozycji społecznej. Jeśli ktoś dumny i blady, ze słabo skrywaną nutką wyższości rzucał od niechcienia, że jego doba liczy 36 godzin, od razu było wiadomo, że mamy do czynienia z człowiekiem mającym, nieco próżnym, który lubi sobie pożyć ponad stan, nie żałuje grosza i jest optymistycznie nastawiony do świata. Trudno bowiem wyobrazić sobie pesymistę introwertyka, który z własnej woli i za własne pieniądze wydłuża każdy dzień, i tak będący dla niego źródłem niewysłowionych cierpień i katuszy.

- Obok eleganckiego garnituru, dobrych perfum czy sportowego samochodu nadmierna liczba dodatkowych godzin stała się kwestią nie tyle zwykłego szpanu i snobizmu, ile kolejną wizytówką, którą warto było mieć. Sęk w tym, że o ile elegancki garnitur czy sportowy wóz dostrzec łatwo, o tyle nie sposób jednoznacznie stwierdzić, kto naprawdę ma wiele nadgodzin, a kto jedynie mówi, że ma - opowiada kulturoznawca Maciej Partes. - Ludzie wpadali na najdziwniejsze pomysły, zmieniali sposób poruszania się na powolniejszy, bardziej dystyngowany, byleby tylko udowodnić światu, że czego jak czego, ale czasu to mają w nadmiarze. Przecież tylko idiota spieszyłby się do autobusu lub podbiegałby do pociągu, skoro jego doba trwa 48 godzin, czyli dwa razy tyle, ile ma do dyspozycji szary przeciętniak. Tylko że nagle wszyscy, nawet popularne wówczas „chomiki”, zachowywali się jak wytworni koneserzy swoich minut i godzin. Stała się rzecz jeszcze do niedawna niewyobrażalna - ludzie generalnie przestali się spieszyć. Ale też była to naturalna reakcja na to, że czas, czy raczej rytm życia, jaki znaleźliśmy do tej pory, po prostu przestał obowiązywać. Albo inaczej - przestał być aż tak ważny - dodaje Partes.

Niezbyt przychylny i zaszczytny przydomek „chomików” przypadał tym, których doba trwała mniej niż zwyczajowe 24 godziny. Pojawiały się też epitety w rodzaju „dorobkiewiczów” czy wręcz - zwłaszcza po spożyciu alkoholu tudzież w niższych warstwach społecznych - „ prostytutek czasowych”. Owszem, „chomik” był o sporą sumkę zamożniejszy, ale też niemal samookreślał się jako nieudacznik, który woli pożyć krócej, byleby tylko mieć za co.

Równie szybko doszło do głosu wszelakiej maści snobstwo korzystające z wynalazku Wujka Franka bez potrzeby, ot tak, dla frajdy... Po prostu wypadało. Bo przecież wszyscy... Bo przecież

teraz to modne... Bo przecież jakże to inaczej. I podobnie szybko utworzyło się środowisko antysnobów uważających wynalazek Wuja Franka za niepotrzebną ingerencję w sprawnie działający system i kontestujących proceder handlu czasem jako przejaw ostatecznego zdżiczenia obyczajów. Dyskusje zwolenników obu nieformalnych ruchów nie miały, bo i nie mogły mieć końca. Dylematy moralno-etyczne związane z wynalazkiem Wuja Franciszka należały do kategorii nierozstrzygalnych.

Pojawiły się też niepotwierdzone opowieści o oryginałach, co to wydłużali sobie dobowę do dawnego pół roku albo i dłużej. Nie brakowało głupkowskich konkursów na najdłuższy dzień w historii i - rzecz jasna - na najkrótszy dzień w historii. Telewizje i kolorowe gazety dla debili znalazły całą masę nowych, jednodniowych bohaterów w stylu Teresy (lat 46), która sprzedała trzy dni swojego życia, aby wysłać bratanka na zimowisko, albo Zbigniewa (lat 63), który przez całą środę (73 godziny) wisiał na drążku i recytował z pamięci Koran.

Mówiąc najkrócej - wynalazek Wuja Franciszka zaimponował intelektualnym elitom, ale i trafił pod strzechy.

Z drugiej strony elity też chętnie korzystały z nowych możliwości. Powstały setki prac doktorskich i magisterskich poświęconych tak wynalazkowi, jak i postaci Wuja Franka. Młodzi socjologowie, prawnicy, ekonomiści czy filozofowie popelniali grube tomy opisujące to zjawisko i poboczne skutki jego działania. Ciekawie rzecz się miała z fizykami, którzy pełni dobrej wiary, owszem, też pisali swoje prace, jednoznacznie stwierdzając, że z fizycznego punktu widzenia taka maszyna nie ma prawa działać. Oceniający ich profesorowie stawiali im z czystym sumieniem piątki, bo z naukowego punktu widzenia prace były bez zarzutu, niemniej niejedyn profesor stawiał ową piątkę w dwudziestej ósmej czy trzydziestej szóstej godzinie swojej doby. Tak, tak, sprawdzanie prac magisterskich to niezwykle czasochłonne zajęcie i trzeba korzystać z każdej ewentualności, nawet niezgodnej z fizycznymi prawami.

- Cóż mogę powiedzieć? Jako profesor fizyki uważałem i nadal zresztą uważam, że taka maszyna nie ma prawa działać. Powtarzam, kładąc na szalę cały swój naukowy autorytet - to nie ma prawa działać. Z kolei jako obywatelowi kilkakrotnie zdarzyło mi się z tej maszyny skorzystać. Nie widzę specjalnej sprzeczności - przekonująco tłumaczy Stanisław Twerkaniec, emerytowany wykładowca stołecznej politechniki.

POLOWANIE NA JELENIA

Naturalną kolejną rzeczą sprawą wynalazku i osobą Wuja Franciszka zainteresowały się oficjalne urzędy. Wszystkie życiowe niedorajdy z fiskusa, wszyscy nieudacznicy zgromadzeni w państwowych instytucjach zwierzyli swoją życiową szansę.

Jakżeby inaczej? Tu się świat zmienia, na ich oczach dokonuje się rewolucja, a oni mieliby na to patrzeć zza urzędniczych biur i jeszcze bardziej urzędniczych żaluzji?! Przecież to byłby urzędniczy grzech zaniechania! Móc się wtrącić, a się nie wtrącać? Odpuścić sobie?! Mieć dobrze pojęte i słuszne prawo urzędniczego namieszania i z niego dobrowolnie nie skorzystać? Nie! To byłoby pogwałcenie urzędniczego etosu, zbrukanie kanonu urzędniczej filozofii. Jeśli coś w miarę sprawnie funkcjonuje, przynosi zyski i jeszcze klienci są zadowoleni, to koniecznie i niezwłocznie należy nasłać tam dowolny urząd. Najlepiej siedem na raz. Niech się chłopaki

wykażą. Niech panny po trzyletnich studiach licencjackich z prywatnych uczelni, dumne posiadaczki dyplomów z zarządzania i marketingu udowodnią, że też je na coś stać!

Pierwsi do boju ruszyli rycerze ze skarbowki. Można by rzec, że to taka urzędnicza awangarda. Zawsze w czołówce. A w przypadku Wuja Franka sprawa była bezdyskusyjna - zarabia grubą forszę, a urząd nie! Czyli rozbój w biały dzień. Działalność na tyle świeża, na tyle niepokalana przepisami, tyle grosza z niej można wycisnąć, że żaden szanujący się urzędnik takiej frajdy by nie odpuścił.

I dawaj, handel godzinami obłożyć podatkiem VAT. Niech się z godziny zrobi 48 minut, 12 z każdej przehandlowanej godziny trafi na rzecz skarbu państwa, a tam już coś sensownego się z tym czasem robi. Na razie jeszcze konkretnie nie wiadomo co, ale z pewnością coś niezwykle mądrego i pożytecznego. Jak zawsze. Jakoś się ten czas sensownie zagospodaruje. Powoła się zespół ekspertów, zrobi się badania, przeprowadzi analizy i dojdzie do konkretnych wniosków. Urzędnicza brać nie raz i nie dwa dawała przecież światu dobitne dowody, że myślenie kreatywne, odważne rozwiązania i oryginalność w postępowaniu to mocne strony tego środowiska. Zatem i tym razem na pewno się uda.

Za awangardą ze skarbowki cała urzędnicza nawałnica nadciąga. Galopem podąga i jakie ważne pytania stawia, jakie palące kwestie podnosić Czy korzystanie z takiej maszyny nie ma niekorzystnego wpływu na ludzkie zdrowie? Nie ma. A skąd wiadomo, że nie ma? A dlaczego te kolorowe budki nie mają żadnych homologacji? (Nawiasem mówiąc, kto zna tego durnia, który wymyślił słowo „homologacja”? Czym tego nieszczęśnika dręczono w dzieciństwie?). Czemu nie ma żadnych atestów? No i wreszcie pytanie zasadnicze: kto na to wszystko pozwolił?

I dawaj - drukami oraz formularzami Wuja Franciszka zasypywać, listę zaświadczeń i niezbędnych pieczętek wraz z podpisami urzędniczymi przynosić natychmiast-raz-dwa-trzy-migiem! Wuj Franek tłumaczył, że chciał na początku sprawę załatwić formalnie, ale został z urzędu pogoniony, bo pan urzędnik autorytatywnie stwierdził, że czegoś takiego jak maszyna do handlu czasem nie ma i być nie może.

Oj, dawno się tak brać urzędnicza nie uśmieła. Wiele dziwacznych czy idiotycznych tłumaczeń zdarzyło jej się słyszeć, ale to, że „pana urzędnik pogoniła”? Wolne żarty! Może jeszcze Wuj Franciszek chciałby z tego tytułu skargę wnieść albo rościć sobie prawo do odszkodowania, skoro taka krzywda się stała, że „pan urzędnik pogonił”? Dajcie spokój, bo wytrzymać nie idzie z takimi facecjami.

- Urzędniczy najazd trwał pół roku, drugie pół spełnianie żądań i zachcianek. Zatrudniłem sześciu prawników i tuzin księgowych. Moim zadaniem było jedynie podpisywanie podsuwanych mi papierów. Po pół roku prawy nadgarstek przypominał nadgarstek zawodowego tenisisty - opowiada Wuj Franciszek. - Nałożyli na mnie wszystkie możliwe finansowe kary, spłaciłem całość z wymaganymi odsetkami, specjalnie się nie targowałem. Po prostu przez tydzień handel czasem przynosił zysków. Dało się przeżyć! - uśmiecha się, nie bez krztyny złośliwości, Wielki Wynałazca.

Pomysł okazał się być na tyle prosty, że nawet zjednoczone siły urzędniczej armii nie potrafiły go popsuć. Tak! Mogłoby się to wydawać mało prawdopodobne czy wręcz niemożliwe,

ale ludzie nadal bardzo chętnie handlowali czasem, interes kwitł, do tego jeszcze doszło, że Wujowi Franciszkowi przyznano jakieś ulgi podatkowe. Niby że przedsiębiorca poruszający się na wózku inwalidzkim, zatrudniający ponad pięćdziesiąt osób, ma prawo do takiego wynalazku. Nie bez osobistej przyjemności Wuj Franek odpowiedział, aby się urzędnicza brać wytwornie i uprzejmie pocałowała w dupę. Tym samym propozycja ulg podatkowych przestała być aktualna, rozpoczął się proces o zniesławienie urzędniczej braci. Zasądzoną grzywnę Wuj zapłacił, też bez specjalnego targowania się. Tyle że oszczędził sobie jakichkolwiek dodatkowych komentarzy. Ot tak, dla świętego spokoju.

W chwili kiedy biznes prowadzony przez Wuję Franka został przez oficjalne struktury uznany za w pełni legalny, swoje polowanie na jelenia urządzili inni. Też groźni. Też nieobliczalni. Też zdeterminowani. Też z ciągotami fanatycznymi. I nie da się ukryć - też trochę szaleni.

Pierwsza pojawiła się propozycja startu z ramienia partii lewicowej. A tak, bo przecież taki wynalazek idealnie wpisuje się w lewicowe ideały i tradycje.

- Wyrównuje szanse prostego i ubogiego człowieka w starciu z rekinami finansjery, każdemu stwarza możliwość zdefiniowania na nowo swoich potrzeb, pragnień i życiowych aspiracji - tłumaczył Wujowi Franciszkowi dziarski czterdziestodwuletni działacz lewicowej młodzieżówki, przed którym centrala od szesnastu lat kreśliła świetlaną przyszłość i którego mamila nieograniczonymi możliwościami rozwoju i awansu. Młody działacz perorował głupio, ale za to z rewolucyjnym żarem, stanowiąc idealny przykład delikwenta, któremu nie sposób przerwać. Z kimś takim nie tylko wejść w merytoryczną dyskusję jest niezwykle trudno, ale i zwykle wyrzucenie natręta za drzwi często okazuje się być zadaniem niewykonalnym.

Jako drugi przybiegł przedstawiciel partii rolniczej. Temu przynajmniej udało się rozbawić Wuję Franciszka stwierdzeniem, że „owszem, istnieje szansa umieszczenia Wielkiego Wynalazcy na listach wyborczych, ale co partia rolnicza będzie z tego miała?”. Po chwili ciszy, określanej mianem krępującej, pragmatyczny działacz charakterystycznie mrugnął okiem i dodał:

- Wie pan, panie Franciszku, nie ukrywam, że pańskie miejsce na liście uzależnione jest od tego, jak wiele korzyści odniesie nasze ugrupowanie!

Wuj Franciszek wymamrotał pod nosem, że sprawę przemyśli. Przedstawiciel rolników położył na stole wizytówkę „w razie jakby co”. Na uwagę gospodarza, że działacz lewicowej młodzieżówki zostawił pół kilo materiałów propagandowych, przeczesał brązową teczkę, a nie znalazłszy tam niczego godnego uwagi, wyciągnął z portfela drugą wizytówkę i z triumfującą miną oznajmił:

- Cóż, na razie tylko tyle mogę dla pana zrobić.

Chwilę potem pojawił się posępny, doświadczony aktywista partii prawicowej. Zapytał Wuję Franciszka o pochodzenie. Kiedy przeanalizował drzewo genealogiczne Wielkiego Wynalazcy do - mniej więcej - czwartej starożytnej olimpiady i wszystko z grubsza wydawało się być w porządku, rzucił pytanie, dlaczego te budki są czerwono-niebieskie, a nie białe-czerwone? Dlaczego przed skorzystaniem z maszyny ani sprzedający, ani kupujący nie są zobligowani do

wysłuchania hymnu narodowego? Czemu nie ma zniżek dla księży? Albo 90-procentowych upustów dla biskupów? Czemu mniejszości seksualne nie płacą więcej? A w ogóle czemu przedstawiciele mniejszości seksualnych i narodowych - a zwłaszcza jednej narodowej - mogą z maszyny korzystać jak wszyscy inni, porządni, zdrowi i normalni? Dlaczego nieporządni, nieprawomyślni, chorzy i nienormalni nie mają wprowadzonych choćby delikatnych utrudnień? No i wreszcie - w jaki sposób wynalazek maszyny do handlu czasem koresponduje ze światłą myślą największego Polaka w historii?

Potem zostały do wyjaśnienia prozaiczne kwestie techniczne - czy dałoby się w taki sposób przerobić te całe maszyny, aby handel czasem odbywał się w pozycji klęczącej, a nie, jak dotychczas, stojącej? Czy Wuj Franciszek będzie konsekwentnie nieczuły na umizgi zagranicznego kapitału? Czy w jego rodzinie - choćby sporadycznie - spożywa się kremówki? Dlaczego te maszyny są czynne także w niedziele?

Przy sto szesnastym pytaniu: „Dlaczego nikt nie sprawdza, czy z tych maszyn bez ograniczeń nie korzystają byli oficerowie aparatu represji?”, Wuj Franciszek miał dreszcze, kłopoty z oddychaniem i z wolna tracił przytomność. Wyprosił gościa dopiero w chwili, kiedy został wypytany o związki z Bractwem Wielkiego Szczerbca i słabość do łóż masonskich.

Ledwie drzwi się zamknęły, a Wuj Franciszka ponownie odwiedził przedstawiciel partii rolniczej. Podbił pierwotną ofertę karkołomną konstrukcją myślową.

- Jak pan nie chce startować u nas, to pan wcale nie musi. Tylko niech pan powie, co będzie z tego miało nasze ugrupowanie? - Zmarszczył przy tym chytrze siwe brwi rolniczego działacza, wręczył dwie wizytówki i wyszedł, dając Wujowi sporo do myślenia.

Z kolei na obiad zaprosili Wielkiego Wynalazcę przedstawiciele opcji centrowej. Tej powodziło się ostatnio znakomicie, więc jej działacze stać było na przyjęcie nieco innej formy negocjacji. Wuj Franciszek podjechał do stołu, pod talerzem z zupą - w formie podkładki - leżał laptop z partyjnym logo.

- To dla pana, panie Franciszku! Proszę sobie zatrzymać na pamiątkę naszego spotkania... - uśmiechnął się życzliwie członek partii centrowej.

Potem okazało się, że talerz, wazę, chochlę, sztucce, a nawet pieprzoną kokilkę do sosu Wuj Franek też mógłby sobie od biedy zatrzymać - wszystko bez wyjątku przystrojone partyjnym logo. Więcej, przemówił przedstawiciel opcji centrowej stwierdził w pewnym momencie, że tak na dobrą sprawę restauracja, w której panowie się spotkali, też może należeć do Wuj Franciszka. Wraz z parkingiem, drogą dojazdową, trasą do mostu, mostem, dwupasmówką, dworcem i postojem taksówek.

- Może nie na wszystkim jest nasze logo, ale proszę mi wierzyć, panie Franciszku, to się akurat da załatwić - uśmiechnął się działacz opcji centrowej. Warto podkreślić, że podczas półgodzinnej rozmowy uśmiechnął się po przyjacielsku jakieś dwieście razy. Ba! Ale jak się macierzystej formacji powodzi, to stać go, aby takim uśmiechem szafować na wszystkie strony świata! Niech się patrzą i cieszą, że mają tak sympatycznego przyjaciela. W dodatku z opcji centrowej!

Wielki Wynalazca odpowiedział równie przyjacielskim uśmiechem i delikatnie napomknął, że bardzo dziękuje za prezenty oraz obietnice dalszych, ale ma wystarczająco wiele tak zwanych dóbr doczesnych, aby łasić się na następne.

I wtedy na twarzy działacza opcji centrowej zaczęło się dziać coś na kształt rewolucji tudzież powstania ludowego. Przyjacielski uśmiech ustąpił miejsca bezgranicznemu zdziwieniu i oznakom klinicznego debilizmu. Jak to tak? Jest okazja, żeby coś wziąć, i to wziąć absolutnie za darmo, a tu znajduje się gamoń, który nie chce? Nie chce, bo twierdzi, że ma wystarczająco i więcej nie potrzebuje! Słyszał ktoś większy idiotyzm? Przecież dzisiaj nie można mieć za dużo. Taka kategoria pojęciowa dawno i słusznie przestała istnieć.

Przedstawiciel opcji centrowej pożegnał się - też bez przyjacielskiego uśmiechu - wstał gwałtownie od stolika i udał się do toalety, gdzie przez kwadrans moczył swój partyjny leb w lodowatej wodzie. Jego system nerwowy po prostu przegrzał się czy wręcz przepalił. Oto dowiedział się, że po tym padole chodzą najzwyklejsze pod słońcem pojeby z uporem maniaka twierdzące, że mają za dużo. Mniej by się zdziwił przedstawiciel opcji centrowej, gdyby w okolicach Zalewu Żegrzyńskiego spotkał potwora z Loch Ness.

I to był raczej koniec kontaktów Wielkiego Wynalazcy ze światem współczesnej polityki. Dla wypełnienia kronikarskiego obowiązku odnotujmy jeszcze trzecią wizytę przedstawiciela partii rolniczej.

- Panie Franciszku! Bo się pogniewamy! Przychodzę do pana już trzeci raz, a nasze ugrupowanie cały czas nic z tego nie ma... Czy takie zachowanie przystoi porządnemu naukowcowi? - pytał działacz wzburzonym głosem i na dowód tego wzburzenia wręczył aż trzy swoje wizytówki.

Od tej pory zamilkło. Zmieniały się konfiguracje, ustalenia, sojusze, koalicje i układy sił. Świat wielkiej polityki zaczął traktować Wujka Franka jak trędowatego, w dodatku niezrównoważonego psychicznie. Dziwnego typu niepojmujących reguł i zasad. Frajera i leszcza niewiedzącego, o co chodzi. Matola i debila. Czyli jak resztę elektoratu.

ŻEROWANIE NA JELENIU

Znacznie wcześniej, właściwie od chwili upowszechnienia się wynalazku na rynku, pojawiły się fałszywki. Owszem, przygotowanie czerwono-niebieskiej budki sporych rozmiarów przysparzało nieco trudności, ale potencjalne zyski fałszerzy wydawały się być nieograniczone. Ochootników nie brakowało.

Autentyk od podróby mogli rozróżnić jedynie ci, którzy wiedzieli, na czym polega fenomen wynalazku. Czyli - mówiąc wprost - poza Wujem Franciszkiem nikt. Budki wyglądały tak samo od wewnątrz, jak i od zewnątrz, więcej - fałszerze umieszczali na swoim produkcie napis „Uwaga, dziś promocja!” i wyceniali godzinę o dziesięć procent taniej niż Wuj Franciszek.

Napis „Uwaga, dziś promocja!” od dosyć dawna ma działanie magiczne. Moc zaklęcia hokus-pokus wypowiedzianego przez aktora przebranego za czarnoksiężnika podczas

chaltowniczych przedstawionek dla przedszkolaków. Niby wszyscy wiedzą, że to ściema, ale nawet panie przedszkolanki na dźwięk tych słów wystrzają uwagę i z ciekawością patrzą, cóż tym razem wypadnie z kapelusza albo w kogo zmieni się żaba.

- Zaszkodzili mi dużo bardziej niż urzędnicy i politycy razem wzięci. Dostawaliśmy jako firma tysiące pytań, dlaczego w jednych budkach są promocje, a w innych nie. Tłumaczenia, że te z promocjami są zwykłym oszustwem niewiele dały. Byli tacy, którzy woleli zapłacić dziesięć procent mniej i nie mieć z tego absolutnie nic, bo przecież w naszej mentalności nieskorzystanie z promocji jest traktowane jako grzech zaniechania - opowiada Wuj Franciszek.

Z jednej strony fenomen, z drugiej klątwa wynalazku polegały na tym, że klient dopiero po 24 godzinach miał pewność, czy maszyna zadziałała, czy też dał zarobić oszustom.

- Myślałem, że normalny człowiek da się oszukać tylko raz i wróci do mnie. Proszę sobie jednak wyobrazić, że było mnóstwo takich, którzy raz nabici w butelkę następnego dnia znowu wypatrywali budek z napisem „Uwaga, dziś promocja!”. Bo taniej! - uśmiecha się kwaśno Wuj Franciszek.

Nic nie dawały wizyty w stosownych urzędach czy zgłoszenia policji. Stosowne urzędy były zdania, że odróżnić budkę autentyczną od fałszywej jest banalnie prosto. Oto na autentycznej są umieszczone tabliczki homologacyjne w kolorze srebrnym o wymiarach pięć na trzy centymetry. Na fałszywkach takich blaszek homologacyjnych, przynajmniej zdaniem stosownych urzędów, być nie może, bo to byłoby przestępstwo. Niech więc klienci korzystają tylko z tych budek, na których umieszczone są tabliczki, i problem zniknie. Zdaniem stosownych urzędów.

Tłumaczenia, że klientom raczej nie będzie chciało się sprawdzać, która budka ma blaszkę homologacyjną, że fałszerze mogą sobie takie blaszki porobić sami, że generalnie małe są szanse na uporządkowanie świata za pomocą tablic homologacyjnych, że wiara, jaką stosowne urzędy pokładają w nich, jest wiarą przesadną, nie miały najmniejszego sensu. Zaś powiedzenie wprost, że blaszki homologacyjne stosowny urząd może sobie wsadzić, gdzie chce - czy wręcz podać konkretny adres lub raczej nazwę konkretnego organu - byłoby nie tylko obrazą urzędu, ale i jawnym naiгрыwaniem się z jego filozofii.

Z kolei policja doszła do wniosku, że cały ten handel czasem to mocno podejrzana sprawa i raczej nie ma szans ani środków na to, aby wszczynać dochodzenie. Tu przynajmniej było krótko i jasno.

- W pewnym momencie na jedną budkę oryginalną przypadają trzy podróbki. Już nawet nie chodziło o wymierne straty finansowe, ale o utratę wizerunku. Przecież gdy ktoś w końcu zorientował się, że jest ładowany w trąbę, to nie na fałszerzy pomstował, tylko na mnie - dodaje Wuj Franciszek.

Jeśli jednego dnia we wszystkich ogólnopolskich dziennikach ukazywał się wykupiony przez Wuję anons z listą i adresami wszystkich autentycznych budek działających na terenie całego kraju, to następnego w tych samych dziennikach na tych samych kolumnach widniała anonsu część druga, tym razem z adresami budek fałszywych.

Nic nie dawało przemalowywanie, bo po kilku godzinach falszerze robili to samo ze swoimi. Krocie zarabiali producenci farb, a klientela i tak była bezradna. I coraz bardziej zniechęcona.

- W żaden sposób nie chciałem iść na jakieś kompromisy czy sojusze z oszustami. Po pierwsze - niby dlaczego? Po drugie - to tak jak dogadywanie się z mafią czy tabloidami. Jakkolwiek mocno człowiek poszedłby na ugodę, jak bardzo byłby elastyczny, i tak nie ma żadnych gwarancji, że to się w jakikolwiek sposób opłaci - tłumaczy Wuj Franciszek.

Zainteresowanie wynalazkiem było o tyle duże, że nie brakowało klientów także przy budkach oryginalnych, fabrycznych, z pięknymi blaszkami homologacyjnymi. Stąd decyzja Wuja Franciszka, aby po prostu epidemię fałszywek przeczekać.

- Skoro nie było żadnego innego sensownego pomysłu, przeczekanie stało się czymś na kształt złotego środka. I się opłaciło! - tłumaczy. Oszukiwani ludzie coraz częściej wpadali w szal i niszczyli budki złodziejskie. Po roku problem zniknął niemal zupełnie. - Jeszcze dziś trafi się odważny, który wystawi na ulicę, jak to nazywam, samosiejkę. Ludzie albo poinformują, albo sami ją rozniosą w drzazgi. Po prostu przestało się kalkulować - dodaje Wuj Franciszek, nie ukrywając, że walka z falszermi była jak do tej pory największym kryzysem w całej historii wynalazku.

PRYZWOLENIE Z GÓRY. Z SAMEJ GÓRY

Trudno dziś sobie wyobrazić jakkolwiek miejscowość na świecie bez charakterystycznych czerwono-niebieskich budek. Trudno też przypomnieć sobie czasy, w których człowiek nie miał wpływu na to, ile trwa jego doba. A minęło raptem piętnaście lat.

Obecnie proces handlu czasem spowszedniał, upowszechnił się, nie wywołuje specjalnych emocji. Jak w przypadku każdego przełomowego wynalazku - weźmy automobil, żarówkę, kino, telefon komórkowy czy klonowanie - przetoczyły się tysiące dyskusji w rodzaju: „Czy to aby możliwe?”, „Czy człowiekowi wypada aż tak mocno ingerować w naturalny tudzież boski porządek rzeczy?” i wreszcie: „Czy to się komukolwiek przyda?”.

Warto przypomnieć, że w pierwszych latach funkcjonowania wynalazku Wuja Franciszka stosunek Kościoła do „procederu handlu czasem” był mocno sceptyczny czy wręcz otwarcie krytyczny.

- Kościół z natury rzeczy jest tworem konserwatywnym. Do wszelakich nowinek podchodzi nie tyle z niechęcią, ile z nieukrywanym dystansem. Zwłaszcza do nowinek tak mocno, nie waham się powiedzieć, tak drastycznie ingerujących w codzienne życie człowieka - tłumaczy arcybiskup Juliusz Patrychowicz, który w episkopacie odpowiada za kontakty z mediami.

Nie było oficjalnego zakazu czy potępienia, ale nie jest też specjalną tajemnicą, że zwłaszcza w małych miasteczkach i wsiach księża z ambony nazywali maszyny do handlu czasem „wynalazkiem szatańskim”, zaś korzystających z nich parafian „grzesznikami chcącymi zburzyć dotychczasowy porządek”.

Siła wynalazku Wujka Franciszka była jednak zbyt wielka, aby wierni potrafili oprzeć się pokusie. Najbardziej płomiennie kazania jasno określające niebezpieczeństwa czyhające na tych, którzy chcą igrać z własnym czasem, nie były w stanie ich przekonać. Mogli albo zdecydowanie polepszyć swój status finansowy (była ich większość), albo też wydłużyć swój dzień w zależności od indywidualnych potrzeb.

Kościelna hierarchia błyskawicznie doszła do wniosku, że walka z wynalazkiem byłaby równoznaczna z wypowiedzeniem wojny wiernym, czego żaden Kościół nie chce. Zaniechano więc oficjalnej krytyki, więcej - w kilku parafiach pojawiły się czerwono-niebieskie budki. Coraz częściej zdawało się, że w uroczystościach otwarcia specjalnie ważnej budki (czy to z racji na centralne położenie, czy jubileuszu ustawienia tysięcznej w mieście) brał udział ksiądz z kropidłem.

Stan cichej akceptacji trwał do momentu, w którym oficjalnie głos zabrał Watykan. Wynalazek stał się sprawą globalną, komentatorzy, papiści i eksperci byli zgodni, że w jednej z najbliższych encyklik pochodzący z Palestyny papież Chryzostom XXIV wypowie się na temat maszyny do handlu czasem. Znany ze swojego ultrakonserwatywnego światopoglądu i żelaznej ręki Chryzostom XXIV zaskoczył wszystkich, zarówno na bieżąco śledzących jego politykę watykanistów, jak i całą rzeszę wiernych.

W głośniejszej, legendarnej już dziś encyklice Czas. Wartość, której nie można przecenić papież nie tylko dał przyzwolenie Stolicy Piotrowej na „indywidualne ustawienie potrzeb czasowych każdego chrześcijanina, każdego człowieka”, ale i wskazał na pozytywne „mogące płynąć z pełnego miłości i poszanowania drugiego człowieka wykorzystania nowych możliwości, jakie zapewniają dziś technika i ludzka inwencja”.

Owszem, Chryzostom XXIV w swojej encyklice przypomina o umiarze, o powinnościach wiernych wobec Boga i chrześcijańskiej wspólnoty, przestrzega przed „zatraceniem w szalonej gonitwie za dobrami materialnymi, do jakiej handel czasem może skłaniać”, jednak papieskie przesłanie jest jednoznaczne. Nie tylko wolno, ale wręcz należy. Byle z umiarem.

Papież dobitnie podkreślił „szansę rozwoju, przed którą stoją najbiedniejsze społeczeństwa i najbardziej zacofane gospodarczo regiony świata”. Zwrócił uwagę na egalitaryzm wynalazku, na możliwość - a nawet pewność - wykrystalizowania się nowych stosunków społecznych.

Roma locuta, causa finita. Komentatorzy byli zgodni, że to jedna z najbardziej zaskakujących, liberalnych, ale i trafnych encyklik całego pontyfikatu Chryzostoma XXIV. „Papież nie tylko świetnie wyczuł i oddał ducha czasu, ale poszedł zgodnie z kierunkiem rozwoju współczesnego świata. A trzeba przypomnieć, że nie zawsze udawało się to i jemu, i jego poprzednikom, i wreszcie samemu Kościołowi” - pisała w specjalnym wydaniu „L'Osservatore Romano” główna watykanistka pisma Varsovia Nodue Linia Metro.

- Przyznam szczerze, że nie zdawałem sobie sprawy z papieskiej potęgi. W kilka tygodni po opublikowaniu encykliki udało się potroić liczbę budek na całym świecie. Do tej pory nie byłem specjalnie zżyty z kościelnym światem, ale bez dwóch zdań sporo mu zawdzięczam.

Wuj Franciszek pomija duchowy wymiar papieskiego przesłania, skupiając się na kwestiach pragmatyczno-biznesowych. Oczywiście, nie dostrzega w swoich komentarzach niczego niestosownego, a i wyraża żal, że Chryzostom XXIV nie wymienił go z imienia i nazwiska.

- Kurczę, chyba samo się nie wymyśliło, co? - pyta z przekąsem, ale biorąc pod uwagę marketingowy efekt papieskiego wystąpienia, macha ręką na osobiste zachcianki. Choć - nie ma co ukrywać - byłoby miło. Co niby szkodziło temu całemu Chryzostomowi XXIV wspomnieć jedno imię więcej? No cóż, najprawdopodobniej po wsze czasy zostanie to tajemnicą Stolicy Piotrowej i watykańskich komnat.

Warto dodać, że równie przychylnie na wynalazek Wuja Franciszka spoglądali dostojnicy religijni innych wyznań. Prawosławni, żydzi, muzułmanie - wszyscy zdawali sobie sprawę, że sensownie prowadzony handel czasem może przynieść światu i jego mieszkańcom gigantyczne korzyści. Rozumieli także, że mniej lub bardziej otwarty sprzeciw po prostu nie miał najmniejszego sensu. Owszem, zawsze można obrazić się na rzeczywistość, ale marne są szanse, że rzeczywistość to zauważy.

Kościelni hierarchowie - wyjątkowo zgodni i jednomyślni - wiedzieli, że przynajmniej na początku będzie dochodziło do wielu błędów i nieporozumień, z pewnością pojawią się nieuczciwi, którzy będą chcieli czas chaosu i zamieszania wykorzystać w sposób nieczny i niegodny. Ale też kościelni hierarchowie, mądrzy ludzie, wiedzieli doskonale, że występki był, jest i będzie normą w dobie ogólnoswiatowych rewolucji.

Stanowisko ateistów, jehowych i sekt nie jest znane. Należałoby się jednak dziwić, jeśliby w jakiś zasadniczy sposób odbiegało od filozofii zaprezentowanych przez włodarzy największych ruchów religijnych. Wuj Franciszek triumfował na całej linii.

DZIEŃ DZISIEJSZY

Wuj Franek za nic się do tego nie przyzna, zwłaszcza publicznie, ale rodzina Wielkiego Wynalazcy delikatnie sugeruje powstanie nowego wynalazku.

- Nic nie powie, póki rzecz nie będzie ukończona. Przecież teraz, z jego pozycją i marką, nie może sobie pozwolić na wypuszczenie jakiegoś gniota - uśmiecha się Grażyna.

Najbliżsi dodają, że przez piętnaście lat Wuj Franek nabył się już sławną postacią, wystarczająco posmakował popularności, tak jak za mediami nie przepadał, tak teraz ich po prostu nie znosi.

- Tak, może to wydawać się bardzo dziwne, zwłaszcza w przypadku Franka, ale najwidoczniej przez te lata udało mu się zaspokoić miłość własną - dodaje z przekąsem Piotr.

Więcej, męczy go hałas wokół swojej osoby. Czarę goryczy mogła przelać sprawa darowizny. Do Wuja Franciszka prośbę o przekazanie jednego procenta od dochodów przesłało 126 tysięcy fundacji i stowarzyszeń. Tej statystyce trudno jednak się dziwić, gdyż - jak szacują eksperci ekonomii - taki jeden procent wystarczyłby na zbudowanie 150 kilometrów

trypasmowej autostrady.

- Co roku było tego mnóstwo, ale teraz został pobity rekord świata. Franek siedział przysypany stertą kopert, głowił się, jak wybrać tych, którzy najbardziej potrzebują. W końcu machnął ręką, zamknął oczy i wyciągnął jedną kopertę. Nie wiem jak inni, ale Fundacja Muzyki Staroporskiej ze Zblewa Dolnego będzie wynikami tego losowania zachwycona - opowiada Piotr.

Funkcję prezesa sprawuje teraz Michaś. Mimo młodego wieku (dwudziestojednoletni prezes zawsze zwraca na siebie uwagę) podobno radzi sobie świetnie. Tyle tylko, że - jak mówią nieoficjalnie pracownicy - rodzinny model kierowania firmą zmienił trendy na korporacyjne.

Z kolei główny bohater całego zamieszania najwidoczniej ma dosyć konsumowania sukcesu, bo ponownie zamknął się w starym warsztacie. Znając jego talent, wyobraźnię, inteligencję i determinację, jednego możemy być pewni. Maszyna do handlu czasem wcale nie musi być życiowym osiągnięciem Wuja Franciszka.

Artykuł przeczytali wszyscy, później miał być zachowany na potrzeby rodzinnego archiwum. Jednak pewne miejsce, na które został odłożony, aby się nie zgubił, okazało się niezbyt pewne i kolorowy dodatek z reportażem szlag trafił.

Babka Wiktoria kilka razy obiecywała, że zrobi wielkie porządki i gazeta się znajdzie. Kiedy jednak zaczynała myszковать w papierach, przetrząsać szuflady i zaglądać do wszelkich możliwych zakamarków, gdzie ewentualnie ktoś mógłby sprytnie odłożyć dodatek, wujo Franek z miejsca wkraczał do akcji.

- Niech babka da spokój z tym szukaniem. Ten artykuł był taki sobie. Długi, owszem, ale bez rewelacji. Widać, że to przeciętny dziennikarz pisał. A każdy dziennikarz jest taki sam. Zdolny, ale leń...

WSZYSTKO
PRZEKAZUJĘ
NA DOM DZIECKA.
MOJEGO DZIECKA.



6. HISTORIA GRZESIA

Prawie każdy w latach szkolnych choć raz usłyszał fundamentalną frazę na swój temat: „Zdolny, ale leniwy”. Prawie, bo Grzesio słyszał tylko część tej frazy. Leniwy. Najczęściej leniwy i głupi. Zdolny nigdy, w żadnym kierunku. W żaden sensowny sposób nierokujący najmniejszych nadziei na cokolwiek pożytecznego.

Niemniej wszyscy nauczyciele i koledzy Grzesia zdawali sobie sprawę, że chłopak zdolności nie potrzebuje. I tak doskonale sobie w życiu poradzi. Kto jak nie on? Bo Grzesio miał fart i urodził się w najbogatszej rodzinie w mieście.

Jego ojciec był właścicielem wielkiej fabryki. Wyrabiano w niej: ketchup, bombki choinkowe, luksusowe trumny dla VIP-ów, wielosmakowe prezerwatywy kilkukrotnego użytku, kamery do rejestrowania wakacji, ślubów i przyjęć komunijnych, a także prozaiczne wykałaczkę. „Przy tak szerokim asortymencie zawsze będzie na coś wzięcie” - ojciec Grzesia twardo trzymał się autorskiego motto, co można wybaczyć, bo był jedynie biznesmenem i przedsiębiorcą, a nie lekkoduchem poetą. Najważniejsze, że taktyka przynosiła efekty - rok w rok kręcił się w okolicy pierwszej setki najbardziej majątnych rodaków.

W samym miasteczku odgrywał rolę lokalnego Rockefellera, chociaż złośliwcy twierdzili, że metodami działania znacznie bliżej było mu do Ala Capone. Faktem jest, że i burmistrz, i rada miasta, i ksiądz proboszcz, i trener drużyny futbolowej, i dyrektor szkoły - po prostu wszystkie tutejsze figury coś ojcu Grzesia zawdzięczały, odwiedzając mu się chętnie i wielokrotnie. Jeśli idzie o tak zwane funkcyjne stanowiska, to żadnych wspólnych biznesów ani nawet styczności nie miała jedynie, nie wiedzieć czemu, dyrektorka miejscowej biblioteki.

Tym samym Grzesio mógł mieć zdolności, mógł nie mieć absolutnie żadnych zdolności - światu nie robiło to najmniejszej różnicy, bo świat doskonale zdawał sobie sprawę, że Grzesio i tak biedy w życiu nie zazna.

Jakby się pojawiły malutkie nawet kłopoty u Grzesia, to tata do burmistrza pójdzie, bez kolejki wejdzie, poza godzinami wyznaczonymi dla petentów, i sprawę załatwi. Jeśli zajdzie taka konieczność, to rada miasta na specjalnym posiedzeniu się zbierze i ułatwienia dla Grzesia wprowadzi. Zechce się Grzesiowi sportowej adrenaliny, to trener tutejszej drużyny futbolowej na środek ataku chłopaka wystawi, koszulkę z „dziesiątką” na plecach włoży i jeszcze do strzelania karnego wyznaczy. Nawet jakby Grzesiowi coś idiotycznego do łba strzeliło i zaczęłyby się przymierzać do kariery bibliotekarza, to tata pójdzie do burmistrza, ten odwoła obecną dyrektorkę i Grzesio zacznie wypełniać C od razu od kierowniczego stanowiska poczynając. To później znacznie lepiej w CV wygląda - dyrektor, a nie tam żaden pieprzony asystent biblioteczny.

A co! Na razie, na szczęście dla obecnej dyrektorki, Grzesio o bibliotece nie wspomina ani słowem.

Swoje powinności wobec Grzesia i jego taty świetnie rozumiał też dyrektor szkoły. No, trzeba przyznać, że tam współpraca układała się doskonale - tata zapłaciła ups! Wróć, wymuszał się nieodpowiedni czasownik, zatem jeszcze raz - tata zasponsorował remont szkolnego dachu, no więc trudno, aby syn łaskawego pana mecenas kiblował drugi rok w tej samej klasie.

I niech pani od matematyki z łaski swojej poskromi pedagogiczne ambicje. Nie każdy uczeń w jej klasie musi od razu znać tabliczkę mnożenia. Nikt też nie mówi: piątkę Grzesiowi na cenzurkę! Nie! Nie nauczył się mnożyć, to niech ma karę, piątki nie będzie! Są chyba jakieś zasady, prawda? Dać mu czwórkę, najlepiej czwórkę z plusem, na zachętę. Niech w przyszłym

roku się Grzesio zmobilizuje i weźmie do roboty. W końcu za rok koniec podstawówki, egzaminy do gimnazjum czekają, no i w ogóle ta tabliczka mnożenia jakoś się tam w życiu może przydać.

A pani od matematyki niech się cieszy, że w nowym roku szkolnym październikowy czy listopadowy deszcz nie będzie jej za kołnierz kapła. Tata Grzesia, pan mecenas, tak załatwił i taki był wspaniałomyślny, że cały dach szkoły nową papą wyłożył.

Oczywiście pani od geografii może mieć żal do Grzesia, że jej globus i mapy w pracowni poniszczył, a w atlasie dał próbki swojej malarskiej twórczości w kilkunastu karykaturach o charakterze wybitnie nieprzyzwoitym. Ba! Dla pani od geografii o charakterze wybitnie pornograficznym. Obrzydliwym. Wstrętnym. Oblesnym.

Ale - po pierwsze - charakter i wartość tych dzieł może oceniać co najwyżej pani od plastyki; pani od geografii niech się orientuje w południkach i równoleżnikach. Po drugie - bardzo dobrze się stało, że Grzesio zdemolował pracownię. Przecież tata Grzesia, łaskawy pan mecenas, w drodze dobrze pojmowanego rewanżu zakupił taki sprzęt do pracowni, że jeszcze pani od geografii będzie i Grzesia, i jego ojca po rękach całować z wdzięczności. Pierwszego, że tak pięknie zniszczył, drugiego, że tak pięknie zakupił. Jeszcze na koniec roku może Grzesio by jakąś książkę w nagrodę dostał z dedykacją i podziękowaniem „za organizacyjny wkład i nieocenioną pomoc przy remoncie sali geograficznej”?

Chociaż... książka w formie nagrody? Zaraz, zaraz, to ma być nagroda, nie kara! Do czytania wystarczy dyplom z dedykacją, dołożyć jakąś naparzanekę na playstation albo dać FIFĘ 2010 i będzie po sprawie.

Poza tym jest jeszcze jedna istotna kwestia. Ujmując rzecz brutalnie i dosadnie - na chuj Grzesiowi globus, jak on już wszędzie był? A pani od geografii raz w życiu na Słowacji. Więc o czym mowa? Idźmy dalej - czy pan od WF-u nie wie, kto kupił - wróć! - kto zasponsorował koszulki dla reprezentacji szkoły? A czy pani od polskiego wie, kto dla całej szkoły wykupił trzy seanse na *Popieluszkę*? A pani od historii? A pani od biologii?! A pan od chemii?! Halo, halo, szanowna rado pedagogiczna! Czy wy w ogóle macie świadomość, dzięki komu istniejecie?! No właśnie! Aż strach pomyśleć, co się będzie działo, jak ten cały cholerny Grzesio wreszcie podstawówkę skończy...

I skończył! Z wyróżnieniem, a jakże! Z czerwonym paskiem! Dyrektor i rada pedagogiczna ze łzami w oczach żegnali Grzesia, wyrażając jednocześnie nadzieję, że ani on, ani jego tata o szkole ukochanej, o korzeniach swoich nigdy nie zapomną...

Złudne to jednak nadzieje, bo teraz bardziej strome schody przed Grzesiem. Gimnazjalne. Już same egzaminy wstępne kosztowały tyle, ile trzy lata podstawówki. Niby bezdyskusyjna sprawa - wyższy poziom, to i wyższe stawki, akurat tę zasadę tata Grzesia, wytrawny biznesmen i przedsiębiorca, powinien znać znakomicie. Ale aż taka podwyżka?! Takie przebicie?! Najlepsza inwestycja, psia ich mać! Jak tak dalej pójdzie, to na maturę Grzesia trzeba będzie jakiś szybki kredyt zaciągnąć...

Edukacja, kurczę blade, droga rzecz. Ale też podobno - gdzieś w telewizji mówili - to najlepsza inwestycja! Co za bzdura - a nieruchomości? A ropa? A złoto?

A jeszcze tatę Grzesia naszedł swego czasu fatalny pomysł, aby za kilkanaście lat syn prezesowskie stery we władanie przejął i przez następne pokolenie rodzinne imperium biznesowe ku niebotycznym zyskom prowadził. Niech się Grzesio szykuje do liceum ekonomicznego, a potem student z niego będzie - marketing z zarządzaniem na uniwerku albo jeszcze lepiej na SGH pyknie. Gaudeamus igitur! Będzie kosztowało, wiadomo, tata Grzesia zna zasadę, że trzeba włożyć, aby potem wyjąć, ale nikomu innemu fotela prezesa nie odda. Grzesiowi tak.

Po pierwsze - teraz ten fotel to tylko taka reprezentacja. Za tatę Grzesia dyrektorzy

działają. Zarząd pracuje. Księgowi liczą. Prawnicy czuwają, aby całość jechała bezboleśnie i bezpiecznie. Na dobrą sprawę to i dzisiaj Grzesio mógłby sobie takim prezesem zostać, nikt by różnicy nie zauważył. Ale na razie młody chłopak jest, głupi, więc teraz czas na naukę. Niech mu tam szkoła i uniwersytet książki nawet na siłę do łba wpychają, to zawsze jakiś pożytek z tego będzie. Niech się Grzesio zechce uczyć, a już tata zadba o wyniki i wysoką średnią. Jeszcze będzie Grzesio co miesiąc inkasował stypendium naukowe dla wybitnie uzdolnionych. Na waciki jak znalazł.

Niech Grzesio ochotę wykaże, a już tata zatroszczy się o komfort studiowania. Niech Grzesio da coś z siebie, a wszystko będzie cacy.

Po jaką cholere jednak Grzesiowi fotel prezesa? Na co mu szkoły, uniwersytet, zarządzania i marketingi? Czy on jest w stanie wyobrazić sobie siebie - dajmy na to za dwadzieścia lat - jako wielkiego pana prezesa? Przecież Grzesio ma to gdzieś. Owszem, tata mu każe, więc będzie latał nieborak do tego gimnazjum, liceum czy na inny uniwersytet, ale żadnego sensu w tym nie widzi. O przyjemności w ogóle nie ma co wspominać.

Przyjemności Grzesio tak na dobrą sprawę miał w życiu trzy. Lubił spać, jeść i się onanizować. O tak! Wielka triada Grzesia - żarcie, kłamanie i walenie! Jakby ktoś Grzesia zapytał, jak wyobraża sobie raj, to trudno przewidywać, jak przedstawiałaby się jego wizja pod względem całościowym, niemniej trzy elementy - jedzenie, spanie i cielesne pojmowana miłość własna - odgrywałyby w tej wizji kluczową rolę.

Mówmy szczerze - żadne ekonomie, zarządzania i marketingi nawet w połowie, nawet w jednej czwartej nie wydawały się Grzesiowi tak atrakcyjne jak którykolwiek element potrójnego hobby. Owszem, do szkoły chodził, jak mu ojciec kazał, ale w rzeczywistości na lekcjach spał, podczas przerw jadł, a zaległości na polu uczuciowym pilnie nadrabiał wieczorami w domowym zaciszu.

Grzesio odżywał w weekendy. Właściwie nie wstawał z łóżka. Służba - bo i coś takiego w domu Grzesia funkcjonowało - znosiła mu do pokoju najwymyślniejsze frykasy. Pozostałe dwie czynności wykonywał już zupełnie samodzielnie.

O! I to było życie! To był idealny błogostan! To mogło trwać wiecznie! Żadnych zmartwień, najmniejszego stresu, z nikim nie trzeba gadać, o nic nie trzeba się starać. A jeszcze przy tym ile zadowolenia. Ile rozkoszy! Człowiek czuł się w taki weekend wreszcie rewelacyjnie wypoczęty, fantastycznie najedzony, a i w miłości układało mu się znakomicie. Trwaj chwilo! Świat potrafi być jednak piękny, optymistyczny i pełen radosnego kolorytu! Jakby to napisała jakaś wrażliwa ośmiolatka na swoim blogu: „W takie dni człowiekowi wydaje się, że patrzy na świat przez różowe okulary”.

Jedyny minus był taki, że raz na jakiś czas trzeba było wstać do toalety. Ale cóż tam jeden minus, i to niezbyt wielkich rozmiarów. To się da przecierpieć. Latem to nawet nie trzeba kapci pod łóżkiem szukać, można na bosaka do kibelka gnać, a po chwili znów się w ciepłutkich pierzynach kokosić, znów głowę w poduchę wtulać, znów się pod kołdrą wygodnie mościć i zadawać sobie przemiłe pytanie: „Co teraz? Drzemka? Coś przekąsimy? Czy może odrobina erotycznych szaleństw? No właśnie, co teraz?”. Ech, te dylematy ludzi naprawdę szczęśliwych. Nierozstrzygalne dylematy Grzesia...

W głowie Grzesia pojawiła się myśl. I to już jest wydarzenie, to już jest jakiś przełom, to już jest swoiste novum. Pojawiła się idea, może niezbyt odkrywczą, niezbyt oryginalną, ale za to jego własną, stuprocentowo Grzesiową. A gdyby tak w ogóle nic nie robić, tylko po wsze czasy zajmować się swoim potrójnym hobby?

Kto nigdy takiego pomysłu na życie nie miał, niech pierwszy kamieniem rzuci! Żeby to wszystko wokół szlag trafił, żeby całe życie zawodowe, rodzinne i jakiegokolwiek inne poszło z

dymem, a zostały jedynie najprościej pojmowane przyjemności. Komu w jakiś wredny, deszczowy poniedziałkowy ranek taka karkołomna idea we łbie nie powstała? Urodził się kiedykolwiek taki szczęściarz?

Grzesiowi nie tylko taki pomysł się ukazał, ale - i to już jest sensacja pełną gębą - plan na jego realizację. Zupełnie niespodziewanie, nagle, z pustego, wydawać by się mogło, czerepu niczym wulkan, niczym lawa trysnął koncept, jeśli nie genialny, to przynajmniej wart zastanowienia. W najmniej spodziewanej chwili wieloletnie beznadziejne starania wyedukowania Grzesia przyniosły plony. I to plony odpowiadające tematyce pobieranych nauk. Grzesio miał koncept czysto ekonomiczny.

Kombinował w ten sposób - sprzedawał w całości swój czas od poniedziałku do piątku, odpadnie obowiązek szkolny i w ogóle każdy inny, a za zarobione pieniądze zafunduje sobie kilka dodatkowych godzin na sobotę i niedzielę, aby potrójna przyjemność trwała bez końca.

Oto najwidoczniej na ludzkim padole pojawił się kolejny błyskotliwy nowator, którego w dzieciństwie i młodości wszyscy za imbecyla mieli! Oto cudowna recepta na wszystkie człowiecze dolegliwości, na poranne wstawania, na niemiłego szefa czy niską pensję... Sprzedać godziny pracy, a zarobek przeznaczyć na przedłużony weekend. Proste? Banalne, tylko trzeba było jeszcze jełopa Grzesia, który akurat na to wpadł.

Jeszcze sobie parę groszy przezorny chłopak na lokatę odłoży! A co, niech procentuje, kiedy on będzie śnił, napelniał żołądek i strzelał do siebie z łuku Amora. Tak, tak, w przypadku Grzesia i jego spraw sercowych tak właśnie sytuacja wyglądała: był jednocześnie Amorem, strzałą i tarczą.

I można powiedzieć, że Grzesio, który nigdy na brak środków do życia nie narzekał, teraz uwolnił się ze złotej klatki ojca. Uniezależnił się! Na swoje poszedł! Zrezygnował z umoszczonego, wygodnego rodzicielskiego gniazdeka. Postanowił spróbować samodzielności. I od razu jaki sukces! Ech, Grzesio, Grzesio, ci wszyscy, którzy przez szkolne lata tak tobą pomiatali albo przynajmniej chcieli pomiatać, teraz powinni się od ciebie uczyć...

Pomiatali, nie pomiatali - nie ma znaczenia, ale się taty Grzesia bali. Teraz każdy z trzema paluchami na serduchu uroczyście zapewnia, że w Grzesia to on zawsze wierzył. Owszem, nie raz i nie dwa Grzesio go drażnił albo wręcz swoim idiotyzmem do łez rozpaczy doprowadzał, ale tak to bywa za młodu z jednostkami wybitnymi. Trzeba było jedynie cierpliwie chuchać na talent Grzesia, nie zabijać indywidualności i wrażliwości, docenić brak pokory i oryginalne podejście do edukacji...

Teraz każdy mądry, każdy o swoich perypetiach z Grzesiem w tonie łagodnej, dobrodusznej anegdoty przypomina. Panie od geografii i od matematyki zgodnie mówią o nim „nasz ulubieniec”. Wszyscy zapewniają, że od zawsze widzieli w Grzesiu diament czystego intelektu. Może jeszcze niezbyt błyszczący, może jeszcze wymagający pewnego doszlifowania, ale diament, powtarzam, diament czystego intelektu. I na dobrą sprawę tata Grzesia niepotrzebnie te wszystkie prezenty przynosił, gotówkę do kieszeni wpychał, koperty wręczał - wszyscy wiedzieli, że Grzesio zdolny jest, przestraszyć go tylko jedynką czy czterema trzeba było. Jasne, ojciec Grzesia przynosił, to się brało, przecież darowanego konia nie wypada ciągać za uzdę. Czemu nie brać, jak to jedynie sympatyczne upominki były. Prezentu nie wziąć? Jeszcze by się ojciec Grzesia obraził, a po co mieć na pieńku z rodzicem wybitnej jednostki.

Tak, bo teraz Grzesio to wybitna jednostka. Wzór dla młodzieży, obiekt westchnień najbardziej urodziwych panien w okolicy i gość, któremu wszyscy albo zazdroszczą pomysłu, albo którego ów cudowny pomysł na chama plagiują.

Od czasu pojawienia się na rynku legendarnej maszyny do handlu czasem człowiek dostał kolejną zagadkę z cyklu nie do rozwiązania - kupić czas dodatkowy i wykorzystać na klasyczne

pomnażanie majątku w trudzie, znoju i trzydziestogodzinnym dniu pracy czy może sprzedać i bogatym być, tylko nie za bardzo można z tego bogactwa korzystać, no bo i kiedy?

Aż tu znalazł się jełop Grzesio, przez dwadzieścia lat niemogący się tabliczki mnożenia nauczyć, alfabetu do tej pory nieznający (znaczy się zna, tylko nie po kolei), ale po cholere mu tabliczka albo alfabet? Grzesio złoty środek wykombinował - sprzedać czas poświęcony na rzeczy nieprzyjemne, a zarobione pieniądze przeznaczyć na dodatkowe godziny najsłodszych momentów w życiu.

Teraz rok Grzesia przestał składać się z 52 tygodni, a zaczął z 52 długich weekendów. Niech się Juliusz Verne wypcha ze swoimi dwoma latami wakacji. Mówiąc szczerze, Grzesio toby teraz na takie dwuletnie wakacje nie chciał nawet splunąć. On teraz w ogóle odpoczynku nie potrzebuje. Odpoczynku, przepraszam bardzo, od czego? Niby w jaki sposób może mieć więcej wolnego, niż ma teraz? Grzesio tak się ustawił, że ma permanentne wolne, a jeszcze przy okazji parę groszy zarobią A co się wyśpi, co sobie podje, co sobie erotycznie poswawoli, to jego. No i? Jest Grzesio geniuszem czy nie jest?

Nic dziwnego zatem, że się idolem stał. Teraz każdy chciałby takim Grzesiem być, więc dawaj Grzesia na piedestał. Niech opowiada, jak na takie rozwiązanie wpadł, niech się swoimi przemyśleniami z bliźnimi dzieli, niech mu sesję zdjęciową w kolorowym miesięczniku dla debili zrobią! O tak, więcej Grzesia, niech reklamuje pastę do zębów albo akumulatory do wózków widłowych, niech płytę nagra, a w luksusowym magazynie dla pań klatę i siusiaka pokaże. Lud chce Grzesia! Na Grzesia jest popyt! Grzesio jest trendy!

Może by tak wykład jakiś wygłosił? Królowa brytyjska wyraziła życzenie spotkania, więc może by się Grzesio do Londynu kopnął i Elżbietę w pierścień ucałował? No, a jak się Grzesio na podróż do Sztokholmu zapatruje, bo co prawda, na razie nie ma żadnych przecieków, ale członkowie Akademii Królewskiej chyba swoje mózgi mają i kandydatury Grzesia nie przeoczą, prawda? Niech Grzesio wstęgę przetnie, kamień wmuruje pod nowy dworzec, zaszczytni, uświetni, na bankiecie ważnym po premierze ekskluzywnej wody kolońskiej gębą niech zaświeci, premierę obejrzy, nowym modelem auta się przejedzie - niech po prostu Grzesio trwa! Aż do tego momentu, kiedy się jakiś nowy Grzesio nie pojawi, wtedy starego się w dupę kopnie, bo teraz nowy się będzie uśmiechał. Ale ten nowy Grzesio też się będzie uśmiechał do czasu, bo już w kolejce nogami przebierają całe zastępy kandydatów. A imię ich miliony...

Tylko ten pierwszy Grzesio - ech, ech, traf tu, człowieku, za rączą myślą geniusza i jego specyficznym stylem bycia. On ani myśli brytyjskiej królowej odwiedzać i w pierścień złoty cmokać, Sztokholm to dla niego kawał drogi, na bankietach to on się nudzi, pojechać nowym modelem auta nie ma dokąd, a w teatrze nigdy w życiu nie był i nie ma podstaw, aby ten korzystny stan rzeczy zmieniać.

Grzesio, autor cudownej i prostej w realizacji recepty na trwałe ludzkie szczęście, miał zdecydowanie bardziej przyziemne potrzeby i pragnienia. Po cholere mu frak mierzyć, jak on się najlepiej w piżamie czuje? Co będzie koreczki i gulasz żarł na wystawnych przyjęciach, skoro żołądek może sobie zadowolić, nie podnosząc łba z miękkiej poduszki? Co się tam będzie w durne flirty i romanse wplątywał, kwiaty nosił, komplementy prawił, dyrdymałów słuchał o nowych kieckach i makijażach, jak mu to w ogóle do szczęścia nie jest potrzebne?

On już swoje w życiu zrobił, on już swoje miejsce w historii ma i teraz uprasza się szanowną ludzkość, aby Grzesia uprzejmie w spokoju zostawiła. Tylko że ludzkość się uparła na Grzesia i już. Tyś nasz prezes, lekarz i wybawiciel ode złego w jednej osobie. Do tej pory jeden był - a to w dodatku nie są do końca potwierdzone informacje - który w trzech osobach naraz występował. Teraz, Grzesiu, drugi jesteś, ale bez porównania bardziej namacalny, konkretny i rzeczywisty. I niby ludzkość ma pozwolić, abys bezkarnie w łożu gnił przez całe dni? Ty, wielki

człowiek?! Grzesio, nie ma bata, wstawaj z wyra i dalej kombinuj, jakby się jeszcze bardziej ułatwić dało. Ty potrafisz, tyś najzdolniejszy z nas wszystkich, Grzesio, Grzesio, Grzesio!

Bo wyznawcy Grzesia jak najchętniej i jak najwierniej model życia swego mistrza, swego guru duchowego zaczęli kopiować. Na początku wszyscy byli wniebowzięci, jak ten Grzesio fantastycznie to wszystko obmyślił. Jednak takie życie wymaga powołania. Trudne jest. Bezlitosne trochę. Tu nie można w dowolnej chwili wstać i w piłkę pograć. Oglądanie głupawej telewizji to już jest złamanie rygoru i sprofanowanie Grzesiowej filozofii życia. Tu tylko śpisz, jesz i robisz sobie dobrze. Taki system nakazów i zakazów, praw i obowiązków są w stanie wytrzymać jedynie najtwardsi, najbardziej sprawie oddani. Najwierniejsi!

Mnóstwo słabeuszy odpada, i to błyskawicznie. Im za trudno. Oni by jeszcze jakichś ułatwień chcieli. No i kolejny dylemat z kategorii nierozstrzygalnych się pojawia - co tu jeszcze ułatwić? Jak sobie jeszcze bardziej dogodzić? Jak uprzyjemnić coś, co już i tak jest szczytem przyjemności? Żreć przez sen? Tu chyba jedynie kroplówka wchodzi w grę, ale walory smakowe jakby gorsze... Jak sobie jeszcze bardziej poprawić, co już do doskonałości poprawione zostało?

Słabeuszom i mięczakom nudzić się zaczyna. Rozrywek by jakichś chcieli- Słyszeliście ich, beczelnych? Rozrywek! Jeszcze więcej rozrywek! Jak tu dać więcej rozrywek, skoro ogólny poziom rozrywkowości osiągnął już sto procent?! Bardziej się nie da! Już tak Grzesio to wszystko pod ścianę doprowadził, że fizyczną niemożliwością jest wprowadzenie jakichkolwiek ułatwień czy urozmaiceń. Ten model jest już tak doskonale lekki, łatwy i przyjemny, że się po prostu nie da. Nawet Grzesio nie jest w stanie niczego wymyślić. Tak to po mistrzowsku wykonypował. Gratulacje, mistrzu!

Pojawiają się propozycje, że może by tak dla odmiany radia posłuchać. No też pomysły! Na cholerę radio? Co godzina serwis i albo jakaś katastrofa, albo wojna, albo przełom w polityce, albo kiepska prognoza pogody, a w serwisie sportowym kolejny zestaw narodowych klęsk i niepowodzeń. Ktoś tego naprawdę chce słuchać?

No to bez serwisu, sama muzyczka, i to lekkie, niezobowiązujące kawałki... A po co muzyczka? Zmysł słuchu trzeba nadwerężyć, jeszcze się w tekst wsłuchać, o czym jeden szarpidrut z drugim do mikrofonu wyśpiewują. Niby owszem, tekściarze piosenek dawno już wyginęli, już się ich w radiu nie spotyka, nie ma znaczenia, o czym szarpidrut jeden z drugim do mikrofonu się produkują, bo od dawna wiadomo, że o niczym ważnym.

No to może na tekst nie zwracać uwagi, tylko na muzyczne się koncentrować? O właśnie, tu już tkwi błąd - w filozofii Grzesia koncentrować można się na trzech rzeczach. Słuchanie muzyczki, choćby najłżejszej i najprzyjemniejszej, w tych trzech się nie mieści. I słusznie, bo nawet proste umpa-umpa jest za trudne, bo to od razu człowiek zaczyna podśpiewywać. Angażuje i zmysły, i gardło. Jeszcze sobie zaczyna porównywać jedno umpa-umpa z drugim. Jeszcze zaczyna się zastanawiać, które lepsze. Jeszcze, nie daj Boże, zorganizują mu listę przebojów, to będzie esemesy albo maile wysyłał, aby jego ulubione umpa-umpa było w pierwszej dziesiątce, może nawet w pierwszej trójce albo, kto wie, wygrało całe notowanie! Będzie człowiek kciuki zaciskał i skakał z radości pod sufit w przypadku zwycięstwa! Po prostu pełne zaangażowanie.

A tu nie o to chodzi! To jest ewidentnie sprzeczne z podstawowymi prawami i założeniami filozofii Grzesia. U niego nie ma mowy o jakiegokolwiek aktywności. Śpisz nie dlatego, że jesteś zmęczony, ale dlatego, że po prostu nie masz nic innego do roboty. Z nudów zresz, a nie z głodu, a co do trzeciego elementu hobby - też raczej z nudów niż z wielkiego przyływu namiętności.

Po co jakiegokolwiek urozmaicenie czy uprzyjemnianie? Jest idealnie!

I tu, szanowni państwo, klops! Trwał Grzesio w potrójnej rozkoszy tak błyskotliwie

wymyślonej, kiedy jego tatę źli ludzie namierzili, posprawdzali, prześwietlili i dawaj go za kraty. Bo łapówki. Bo lewe kontrakty. Bo podwładni się skarżą. Bo fiskus wydymany na cztery strony świata. Bo coś tam jeszcze, jakieś gwałty na sekretarkach czy wiceprezesach, nie do końca wiadomo.

Ale jak prokurator skrupulatnie porachował osiągnięcia taty Grzesia, jak przeliczył przewiny według taryfikatora kodeksu karnego, to mu wyszedł rachunek na najbliższe dwanaście lat. Tyle przynajmniej dla taty Grzesia zażądał.

Ludzie w miasteczku to wierzyć w całą historię nie chcieli. Pana prezesa na długi tuzin lat do klasycznego, prozaicznego pierdła wsadzą? Niemożliwe! Przecież to ludzki pan. Przystanki autobusowe w całej okolicy wyremontował. Takie szykowne wiaty plastikowe poustawiał, że się teraz ludzie modlą, aby autobus parę minut po czasie przyjechał. Tak się teraz miło i sympatycznie na odremontowanym przystanku czeka. Są też hobbyści, którym autobusy w ogóle do szczęścia nie są potrzebne. Oni przychodzą pod wiatą postać ot tak, dla samej frajdy poobcowania z wielkim światem. Bo nie ma dyskusji - tata Grzesia się szarpnął i całemu miasteczku fundnął wiaty na poziomie Ligi Mistrzów.

A teraz się go do więzienia wsadza? Jakby go na wolności zostawić, to kto wie, może i tata Grzesia poszedłby za ciosem i zafundował nowe autobusy? Teraz to aż wstyd, aby zdezelowane, brudne gruchoty spod tak eleganckich wiat przystankowych pasażerów zabierały. Mieszkańcom miasteczka taki dyskomfort burzy poczucie ładu i estetyki. Może inaczej zrobimy - najpierw niech tata Grzesia autobusy kupi, potem się go za kratki wsadzi! To jest koncept! I wilk syty, i tata Grzesia w pasiastym drelichu!

Trzeba też rozstrzygnąć poważniejszy problem - przecież tata Grzesia wypłacał tu pensje połowie miasteczka. A teraz co - z zakładu karnego przelewy będzie robił? Z należytą godziną spaceru zrezygnuje, aby tylko księgowemu listę wypłat podpisać? Wolne żarty...

Tata Grzesia jaki był, taki był, różnie o nim mówiono - albo „złodziej”, albo „sukinsyn”, ewentualnie jeszcze „bandyta” lub „szubrawiec” - ale to tylko tak, bez znaczenia, jak to sobie lud na swojego dobroczyńcę ponarzekać lubi. Bez niego to się wszystko zawali, obcy wykupią i swoich pozatrudniają.

Jedyna nadzieja w Grzesiu. Oj tak, jak to się ludzkie opinie na temat bliźnich zmieniają - jeszcze niedawno to go za przygłupa wszyscy mieli, śmiali się za plecami, ale teraz Grzesio udowodnił, że łeb ma na swoim miejscu, zaś w środku mózg najprawdziwszy, a nie sznurki do snopowiązałek. On tylko schedę po ojcu objąć może, zresztą nikomu innemu tata Grzesia usiąść w prezesowskim fotelu by nie pozwolił.

Tylko czy się Grzesio zgodzi? Skoro zaproszenie od brytyjskiej królowej do kosza cisnął, na esemesy serialowych aktorek nie odpowiadał, nowymi modelami aut nie chciał się przejechać... To teraz niby rzuci wszystko, z łóżka wyskoczy i przez cały dzień będzie w prezesa się bawił? Organizował zebrania zarządu? Przemawiał do pracowników z okazji gwiazdki i rocznicowego bankietu? Analizował wyniki finansowe? Obmyślał długofalowe strategie? Grzesio ma znacznie przyjemniejsze rzeczy do roboty, i to przez cały czas. Kto rozsądny się zgodzi zamienić wieczny długi weekend na biurową niasiadówkę w poniedziałkowy poranek?

Wiadomo, bycie prezesem to jest prestiż, to sekretarka w najkrótszej mini świata, która kawę zaparzy i przyjemnym uśmiechem obdaruje, to wreszcie skórzany fotel tak wygodny, że człowiek pół godziny ledwie w takim posiedzi i się czuje jak po solidnym leczniczym masażu. Ale po co to wszystko Grzesiowi, jak on łóżko ma wygodniejsze od prezesowskich foteli, nie tylko kawę, ale i solidny posiłek o każdej porze dnia pod ręką, a co do sekretarki w najkrótszej mini świata, to w tych zagadnieniach Grzesio też sobie radzi znakomicie. I to sam.

Cóż jednak za radość! Ojciec go ubłagał, rzewnymi łzami się zalał, na kolana przed

Grzesiem padł jak absztyfikant przed ukochaną w dniu zaręczyn, o wartościach rodzinnych mu opowiadał, kilka słów o lokalnym patriotyzmie dorzucił i wreszcie o magii odziedziczonego dobytku.

- Ja teraz na dwanaście lat urlop biorę. Może przy dobrym sprawowaniu po siedmiu do firmy wrócę. Zarabiać nie musisz, ale przez ten czas nie trać przynajmniej. A jak już, to niewiele - w ekonomiczno-liryczne tony tata Grzesia uderzył.

- Nie wiem, tato, czy dam radę... - mitygował się Grzesio.

- Dasz! Synu, dasz radę! Podstawówkę z wyróżnieniem skończyłeś, to jak rady nie dasz?! Doradców weź, kopertę daj, komu trzeba, i zobaczysz, że to całe prezesowanie to jest bułka z masłem, Grzesio!

Podczas pierwszego więziennego widzenia tak sobie od serca pogadali, jak jeszcze nigdy do tej pory. Aż postronni obserwatorzy, dwaj klawisze, dyskretnie łyżę wzruszenia spod służbowych czapek ocierali. Niejedno już w tej sali obaj widzieli, niejedną scenę żywcem przeniesioną z melodramatu albo tragedii w czasie roboty podziwiali, ale czegoś tak chwytającego za przepony, serca, żołądki i gardła jednocześnie - jeszcze nigdy. Musiał, po prostu musiał Grzesio się zgodzić, nikt nie byłby w stanie takiej podłości własnemu ojcu wyrządzić, zwłaszcza że sam ojciec w nie najlepszym położeniu się znajdował. Ulitował się Grzesio i już. Panem prezesem łaskawie zgodził się zostać. I basta!

Jakaż metamorfoza w Grzesiu zaszła, cóż za zmiana nie do przewidzenia nastąpiła! Teraz dni wolne wyprzedawał, aby dłużej w pracy posiedzieć, aby jeszcze więcej papierów podpisać i spotkań odbyć. Inny człowiek. Zmienili Grzesia na lepszy model. Tak mu ojciec do serca nagadał, tak się swym losem syna pierworodnego i jedyne dziedzica Grzesio wzruszył i zafrapował, że pozostało jedynie zacisnąć piąchy, zakląć dziarsko pod nosem i jak jakiś stachanowiec po trzysta procent normy wyrabiać.

Nie sypiał prawie wcale, bo już się dość w życiu wyspał, zjadał jedynie tyle, by z głodu nie paść podczas prezesowania, a z trzeciego elementu przyjemności na razie w ogóle zrezygnował. Szkoda czasu.

Grzesia, a raczej pana prezesa Grzegorza, nic nie było w stanie odciągnąć od służbowych obowiązków.

Prezes Grzegorz w tydzień nadrobił zaległości z podstawówki, po miesiącu miał wiedzę porównywalną do tej absolwenta wyższej uczelni. Może pod względem teorii nieco odstawał od akademickiego poziomu, ale jeśli idzie o wymiar praktyczny, to uniwersum mógłby mu co najwyżej obuwić czyścić i śniadanka robić.

Pierwszy raz w życiu na czole Grzegorza pojawiły się zmarszczki oznajmiające światu podjęcie wysiłku myślowego. Nie do uwierzenia, ale na głowie prezesa Grzegorza udawało się dostrzec zakola, które przy minimalnej nadinterpretacji można było wziąć za inteligentne.

Z weekendów zrezygnował w ogóle. Jego doba wynosiła równe 48 godzin. Dodatkowe godziny wykupywał chętnie, i to w ilościach hurtowych. Do toalety chodził z laptopem albo przynajmniej z terminarzem spotkań. Do wanny wchodził z tym samym. Raz się zapomniał i laptop zabrał pod prysznic, ale główny informatyk firmy odzyskał dane.

Stał się nie tylko pasjonatem, ale wręcz fanatykiem nowych obowiązków i nowego stylu życia. Jak fundamentalistyczny talib wczytuje się w prawdy Koranu, tak on zagłębiał się w raporty kwartalne i firmowe dokumenty. Po trzech miesiącach pojawili się łowcy głów z Azji i chcieli kupić pana prezesa Grzegorza za dowolną sumę, bo jeszcze nie spotkali takiego fenomenu, który potrafiłby pracować trzy razy wydajniej od Chińczyków i Japończyków razem wziętych. Prezes Grzegorz pamiętał daty urodzin wiceprezesów i parkingowego pana Stasia, znał się na technologii produkcji ketchupu, a na temat wytwarzania bombek choinkowych

wypowiadał się jak branżowy ekspert. O firmie i swoich pracownikach wiedział wszystko.

Wiedział też niestety, że mimo tak wielkiego wysiłku i własnego zaangażowania wyniki spółki lecą na pysk. Że jeśli tendencja i tempo upadku nie będą się zmieniać, to tata - nawet gdyby po roku go wypuścili - efektowną plajtę jedynie zobaczy, a nie dziarsko prosperującą firmę w rękach zaradnego syna. Po dwunastu latach firmowe tereny zostaną ze trzy razy zaorane, a na ich miejscu pojawią się banki ewentualnie korty i plac zabaw dla milusińskich. Po dwunastu latach tata może przeżyć lekkie zdziwko. Albo w ogóle nie przeżyć.

Cóż bowiem z tego, że pan prezes Grzegorz do ketchupowni zaglądał, prezerwatywy kontrolował pod względem i jakości, i estetyki, do każdej nowej trumny sam się kładł i oceniał jej komfort - nic nie pomagało. Staropolskie porzekadło o tuczącym się koniu pod okiem swego pana za nic nie chciało funkcjonować w spółce prezesa Grzegorza. No, ale jeśli przez ostatnie pół roku zwolnili się z niej prawie wszyscy, a nowych chętnych za nic nie udało się znaleźć, to i najlepszy prezes by taką firmę rozłożył.

Komu by się opłacało osiem godzin w ketchupowni stać i nalewać do plastikowych buteleczek pomidorowy pikantny ewentualnie pomidorowy łagodny, skoro te osiem godzin można było sobie spokojnie sprzedać, a za zarobione pieniądze wydłużyć niedzielę do granic przyzwoitości? Znalazłby się gdziekolwiek taki frajer?

Niby po cholerę deski na trumnę heblować do perfekcyjnego błysku w dusznej hali fabrycznej, skoro w tym czasie można mieć weekend, drinka wypić, żonę w pośladek szczypanąć czy w telewizji wywalankami na lodzie się pozachwycać?

Nikt nawet się nie zastanawia, bo i pod względem finansowym zdecydowanie bardziej opłaca się te osiem godzin opylić. Ile im ten prezes Grzegorz za miesiąc ciężkiej harówki na konto przeleje? Średnią krajową? No, jakby się człowiek zaparł, o rodzinie zapomniał i nadgodziny szarpał jak namolny akwizytor ulotek rękawy przechodniów, to może i dwie średnie by wyciągnął. A jak tylko swój czas roboty się odsprzeda, to w kieszeni zostaje pięć średnich krajowych. A więc jakie argumenty może mieć prezes Grzegorz? Przywiązanie do zakładu? Lojalność? Miła atmosfera w pracy? Wydłużenie przerwy na lunch z czterdziestu pięciu minut do pełnej godziny? Teraz tak się porobiło, że jak ktoś ma ochotę przy lunchu i cztery godziny posiedzieć, to prezesowi Grzegorzowi od tej decyzji wara.

I owszem, apelował Grzegorz o rozsądek, zwracał uwagę na sensowny model spędzania czasu. Pięknie mówił o uszlachetniającym ludzką duszę wysiłku, o wysubtelniającym i wzmacniającym człowiecze charaktery cierpieniu, o zostawieniu po sobie trwałego śladu na tym łez padole. Jakże przekonująco brzmiały jego słowa o tym, że życia nie można ot tak, przebimbać na przyjemności. Nie ma sensu go przesypiać, podobnie zresztą jest z objadaniem się do granic wytrzymałości żołądka i wątroby czy folgowaniem rozmaitym popędom lub zachciankom, kiedy tylko najdzie człowieka ochota. „To jest droga donikąd!” - pisał w zakładowej gazecie płomienne artykuły propagandowe prezes Grzegorz.

Ale słuchał go ktoś? Czytał te jego, pożał się Boże, wypociny i naiwne apele? Gdzie tam. Każdy spał, jadł i robił sobie dobrze... A w wolnych chwilach przeliczał pieniądze. Owszem, nie było w mieście takiego, który by złe słowo na pana prezesa Grzegorza powiedział. W końcu kto wymyślił taką fajowską metodę na życie? Kto?! Tak, pan prezes Grzegorz! Czyli nasz dawny, młody, kochany i niesforny Grzesio, swego czasu przez całe miasteczko traktowany jak absolutny imbecyl i nieuleczalny kretyn. A tu proszę, jaka miła niespodzianka...

MOŻE
DOKUPIC JESZCZE
PARĘ MINUT?



7. JUNIORZY I SENIORZY

Romantyzm zniknął bezpowrotnie, bo i czasy dla niego były wyjątkowo kiepskie. Z dniem objęcia stanowiska prezesa spółki przez dwudziestoletniego Michała, siostrzeńca legendarnego wuja Franciszka, romantyzm zastąpiły słupki, wykresy, analizy i coraz to ambitniejsze, coraz bardziej nieposkromione plany permanentnego rozwoju. Epoka retro minęła, ba! przez nowe szefostwo została bezlitośnie wyrzucona do kosza - zaczęła się era kumulacji sukcesu.

- Kto ma najlepszy towar na świecie? - ryczał gromko na cororannym spotkaniu Lider Projekt Menedżerów sam prezes Michał, a dumni, bladzi, szczęśliwi i profesjonalni Lider Projekt Menedżerowie odkrzykiwali zgodnym chórem:

- My!

- Kto?! - żądał potwierdzenia sam prezes Michał, a Lider Projekt Menedżerowie z pełnym naiwnego przekonania żarem nie zawadzili jego oczekiwań i darli się rytmicznie:

- My!

- Kto?! - w celu ostatecznego upewnienia się i pognięcia konkurencji pytał po raz trzeci prezes Michał, a chór Lider Projekt Menedżerów po trzykroć wykrzykiwał:

- My! My! My!

I wtedy już nie było najmniejszych wątpliwości. Mieli najlepszy towar na świecie, i basta. Dlatego zaczynały się spontaniczne pokrzykiwania i zaśpiewy: „Pieniądz i czas, pieniądz i czas, ejaaa! Ejaaa! Pieniądz i czas!”.

O czwartej rano śpiewali razem ku pokrzepieniu serc i ku chwale prezesa Michała. A potem przez 16 godzin Lider Projekt Menedżerowie zastanawiali się przy szerokich biurkach, co zrobić, aby ludzie chcieli sprzedawać bądź nabywać kolejne godziny. Czas nie grał zresztą żadnej roli - jak któryś Lider Projekt Menedżer miał akurat wybitnie ważny projekt na głowie, to za swoje pieniądze szedł i dokupował 14 czy 64 godziny do swojego dnia i zapierniczał aż miło. W firmie prezesa Michała tłumaczenie: „Nie wyrobiłem się, bo mi czasu zabrakło...”, absolutnie nie wchodziło w grę. Było tak idiotyczne i jawnie sprzeczne z ideami korporacji, że natychmiast pojawiała się podejrzenie, czy to aby nie jest jakaś prowokacja.

A jeśli pojawiała się takie podejrzenie, wtedy do akcji wkraczała wiceprezes, pani Hanna, prywatnie siostra bliźniaczka pana prezesa. Stawała przed domniemanym prowokatorem, swoją wiceprezesowską facjatę zbliżała na odległość trzech, może czterech centymetrów od nosa nieszczęśnika i lodowato zimnym tonem wypowiadała tylko jedno słowo:

- Wypierdalasz!

A po sekundzie słowo stawało się ciałem.

Tak, tak, pani wiceprezes Hanna nie na darmo skończyła cztery fakultety, a zarządzanie zasobami ludzkimi to nawet z wyróżnieniem. Nie na darmo za granicą zaliczała stypendium za stypendium. Nie na darmo kształciła się na najlepszych światowych uczelniach. Tak jak ona mówiła do zwalnianych z pracy magiczne słówko, nie potrafił mówić nikt inny. Bezdyskusyjny talent, korporacyjna perła wsparta fantastycznym merytorycznym przygotowaniem.

Magiczne słówko stało się w krótkim czasie jej mottem, życiowym drogowskazem, jej logo. Zwłaszcza że mało kto słyszał - a już podwładni z pewnością - aby pani wiceprezes Hanna mówiła kiedykolwiek coś innego. Na „dzień dobry, pani prezes!” nie reagowała nigdy, odważnych do prowadzenia dalej idących konwersacji trudno było w firmie uświadczyc, a zatem...tak, tak, nastały na tyle kiepskie czasy, że magiczne słówko „wypierdalasz!” było dla

wielu pracowników jedynym dowodem na to, że pani wiceprezes Hanna nie jest osobą głuchoniemą.

Ale trzeba było widzieć, jak ona to mówiła! Majstersztyk! Niby banalne jedenaście głosek, a jej wystarczyło, aby z tego uczynić piorunującą kreację aktorską. Gdyby Jack Nicholson umiał po polsku i akurat trafiłaby mu się rola czarnego charakteru w mrocznym dramacie, to całą postać budowałaby na metodzie zastosowanej przez wiceprezes Hannę.

Na początku sylaba „wy”, nie tyle wypowiedziana, ile wyszczana; w kącikach ust pani wiceprezes Hanny zbierały się hektolitry jadu, oczy zmrużone były akurat do tego stopnia, aby rozmówca mógł dojrzeć jedynie pełne nienawiści spojówki. No i ten niewyobrażalny grymas twarzy, który pojawiał się chwilę przed wypowiedzeniem pierwszej głoski! Tak na dobrą sprawę pani wiceprezes Hanna mogła poprzestać jedynie na tym grymasie, sprawa już wtedy była dla nieszczęśnika nim obdarowanego przesądzona, ale to był dopiero wstęp, groźna uwertura, werble znamionujące prawdziwe natarcie dźwięków.

Kiedy nieszczęśnik zgiął nogi ze strachu - a nie było takich, którzy potrafiliby cały atak przyjąć w pozycji na baczność - pani wiceprezes Hanna patrzyła z góry i startowała z sylabą „pie”. Już wtedy można było mówić o etapie polegającym na upokarzaniu wroga tudzież dobijaniu rannego, ale wiceprezes Hanna niemal automatycznie przechodziła do maksymalnie przedłużonej głoski „rrrrrrr” i skojarzenie z terkotem karabinu maszynowego wydaje się jak najbardziej odpowiednie.

Tak jest! To przydługie „rrrrrr” przypominało - nie tylko zresztą przypominało - po prostu miało charakter egzekucji. Najodważniejsi osobnicy wytrzymywali do głoski „rrrrrrr”, po niej próżno było szukać żywych albo gotowych do przyjęcia jakiegokolwiek linii obrony.

Wtedy następowało szybkie, bezlitosne, zimne „da”; ostry sztylet wbity pod żebro w celu ostatecznego rozwiania wątpliwości. Wedle wielu właśnie to „da” było najgorsze, w ciągu ułamka sekundy już wystarczająco sponiewieranemu delikwentowi czterokrotnie robiło się na przemian to zimno, to znowu gorąco.

A potem tylko grande finale - wykrzyczana na całą możliwość przepony, płuc i gardła sylaba „lasz!”. Cios ostateczny. Finisz! Nokaut! Kulminacja! Szyby drżą w oknach, najbardziej ważne dokumenty i papierzyska spadają z okolicznych biurków, kobietom znajdującym się w odległości kilometra od tego „lasz!” zaczyna się miesiączka, zaś mężczyznom buzuje testosteron, na twarzy i plecach wyskakują pryszcze, a oczy nabierają pełnego obaw spojrzenia: „Co? Znowu jakaś wojna?!”.

Tak, trzeba było choć raz usłyszeć słynne „wypierdalsz!” pani wiceprezes Hanny, aby zdać sobie sprawę z potęgi słowa mówionego. Kto tak potrafił powiedzieć: „Wypierdalsz!”, nie musiał w zawodowym życiu robić nic innego.

Tak, tak, romantyczne czasy wuja Franciszka minęły bezpowrotnie...

Sam wuj Franciszek nawet chciał iść z duchem czasu i przez pewien okres sprawował funkcję dyrektora do spraw nowych wynalazków. Trochę mu było nieswojo, że go własny siostrzeniec - owszem, pan prezes, ale jednak siostrzeniec - zatrudnia na umowę o dzieło, wysyła na szkolenia i tłumaczy jak dziecku, jaki jest jego zakres obowiązków, do kiedy ma czas na złożenie comiesięcznych raportów i jakie plany jego dział ma wykonać, aby prezes był zadowolony.

- Michałku, strasznie to jakoś sformalizowane... - kręcił głową wujo Franek.

- Tu nie ma Michałku, tylko jest pan prezes! Michałek to ja mogłem być piętnaście lat temu przy rodzinnych quizach. Teraz pracujemy, a nie się pieścimy! - przeciął dyskurs pan prezes Michał i wujo Franek poczuł, że cóż, można wymyślić maszynę do handlu czasem, ale samych czasów zmienić, ni cholery, się nie uda.

Starał się, coś tam na tablicy kreślarskiej szkicował, w zeszytiku skrzątnie notował, ale od mistrzowskiej formy był daleki. Komfortu psychicznego brakowało, spokoju, intymności niezbędnej wynalazcom i twórcom. Na warunki narzekać nie mógł, w końcu jego nowa pracownia liczyła jakieś dwa tysiące metrów kwadratowych z delikatnym okładem, całość projektowali najbardziej wzięci europejscy designerzy, ale to jednak nie było to... Jakoś te wielkie przestrzenie paraliżowały i świątłą myśl wuja Franka, i samego wuja trochę też.

Owszem, pracownia była wyposażona we wszelakie techniczne nowinki, ale jedną od drugiej dzieliło kilkaset metrów, więc nieraz zdarzyło się, że wujo w drodze do kolejnej zapomniał, po co się do niej wybierał. Całe szczęście, że niejako z obowiązku siedział na wózku, więc poruszanie się po pracowni miał z lekka ułatwione. Jego podopieczni wsiadali na rowery albo specjalne meleksy. A skup się, człowieku, na nowych wynalazkach, jak ci pod nosem trąbią, bardziej usportowieni zawzięcie pedałują, a żeby zdążyć do toalety, trzeba wyruszyć dobry kwadrans przed momentem, w którym podróż do niej przestanie mieć jakikolwiek sens.

Wszystko niby w tej pracowni było fantastyczne, tylko twórczej atmosfery zabrakło. No i efektów też... A to się nie mogło spodobać panu prezesowi Michałowi, który nie po to prawdziwy hangar na terenie firmy postawił, żeby teraz wysłuchiwać głupkowato brzmiących tłumaczeń wuja. Ponieważ pan prezes Michał wyznawał filozofię radykalnego podziału na sprawy zawodowe i życie rodzinne - decyzja mogła być tylko jedna. Wujo Franciszek został wezwany przed oblicze pani wiceprezes Hanny, a ta z właściwym sobie kunsztem, finezją i subtelnością poinformowała wielkiego wynalazcę, że jego rola w historii firmy się skończyła. Niby padło tylko jedno słowo, a sytuacja była jasna aż do przesady.

Nawet się specjalnie wujo Franek decyzją nie zmartwił. Forma, owszem, sporo pozostawiała do życzenia, ale przecież znakomicie zdawał sobie sprawę, że czasy romantyzmu i grzecznych form są wybitnie kiepskie, więc nie narzekał, tylko spokojnie do starego warsztatu wrócił, elegancką białą koszulę na wytartą flanelę zmienił, dwa tysiące metrów kwadratowych z delikatnym okładem na małą klitkę zamienił od razu poczuł się dużo lepiej.

Mózg z miejsca wskoczył na właściwe tory; wstępne zarysy projektów, delikatne pierwsze schematy niemal automatycznie zmieniały się w gotowe rozwiązania, ołówek nie nadążał notować kolejnych śmiałych pomysłów, które z prędkością mistrzów stumetrowego sprintu wylatywały z głowy wuja Franka.

I Piotr, i Grażyna tłumaczyli mu, żeby sobie działalność wynalazcy odpuścił, że już swoje na tym polu zrobił, że niemożliwością jest pobicie wynalazku życia, że grozi mu trauma artysty, który nieudolnie ściga własne największe dzieło, że już oddał swój skok Fortuny, a teraz tylko traci czas i energię.

- Jakiś quiz rodzinny przygotuj, to wszyscy się pobawimy - żartował Piotr, chociaż cała trójka doskonale wiedziała, że rodzinnego quizu w pełnym składzie nie uda się rozegrać nigdy, bo pan prezes Michał i pani wiceprezes Hanna nie mają czasu na plebejskie rozrywki. Oni stale walczą o podniesienie stopy życiowej rodziny, ciężko harują przez cały tydzień i nie będą marnować niedzieli, odpowiadając na pytania, które nie mają nic wspólnego z działalnością firmy. Przecież godzinę quizu śmiało można przeznaczyć na przygotowanie planu zajęć w rozpoczynającym się nazajutrz kolejnym tygodniu, prawda?

- Tak, tak, teraz takie czasy, że bez bata ani rusz!

Hania i Michaś muszą być ostrzy, bo inaczej od razu by im na głowę powchodzili - tłumaczyła Grażyna.

- Tak, tak, obawiałem się trochę o nich, ale świetnie dają sobie radę - potakiwał z przekonaniem Piotr.

- O, tak, tak, świetnie sobie dają radę i nikt im na głowę nie wchodzi Bez dwóch zdań

tak właśnie jest - wujo Franek dołączał do duetu kłamców w dobrej sprawie i dialog ku nieskrywanej radości uczestników dobiegał końca. Temat omówiony, wszyscy się zgadzają, więc o czym tu jeszcze gadać? O tym, że czasy kiepskie i pozbawione sentymentalizmu? Bez żartów, gdzie jak gdzie, ale w tej rodzinie narzekać na złe czasy byłoby wybitną nieprzyzwoitością.

Namawianie wuja Franka na porzucenie działalności wynalazcy miało dokładnie tyle samo sensu, ile przekonywanie Szymona Słupnika do zejścia ze słupa albo budzenie czterech śpiących na jednym z warszawskich pomników. Wujo słuchał tyrad i porad życzliwie, z uśmiechem na ustach, aby z tym samym uśmiechem i poziomem życzliwości wjechać do garażu i zająć się swoją robotą.

Może się rzeczywiście w kulturze korporacyjnej średnio odnajdywał, ale ledwie półtora miesiąca minęło od zdecydowanego finału firmowej kariery, a już zapragnął umówić się z panem prezesem Michałem. Po dawnemu Michasiem.

Ho, ho, ho - umówić się z panem prezesem Michałem! Czy to aby nie za wysokie progi dla skromnego wynalazcy z garażu, czy przypadkiem wujo

Franek zbyt krótkiej motyki do torby nie spakował, aby się na słońce wdrapać? Umówić się z panem prezesem Michałem! Nie takie osobistości lądowały na ostatnich stronach ordżanajzera (to taka lepsza wersja kalendarza) osobistej asystentki pana prezesa Michała, nie takie osoby nieustannie marzyły o skromnym biznes lunchu czy króciutkiej kolacji w sprawach zawodowych z panem prezesem Michałem.

- Niby co takiego istotnego ma pan do przekazania panu prezesowi? - spytała uprzejmie jego osobista asystentka. W domu z Michasiem jakoś nie udało się pogadać, zatem prośbę o spotkanie trzeba było pchnąć drogą oficjalną.

- Chciałbym taki nowy, ciekawy pomysł sprzedać Michasiowi... to jest ten... panu prezesowi - poprawia się wujo Franek, a już po godzinie gorzko swych słów żałuje, bo pan prezes w furii i wściekłość wpadł niewyobrażalną na wieść, że mu własny wuj chce sprzedać pomysł.

- No to pięknych, kurwa, czasów dożyliśmy! To dopiero jest upadek! We własnej rodzinie będziemy sobie wzajemnie urządzać handel pomysłami! - gardłował w swoim gabinecie na szesnastym piętrze tak donośnie, że urzędujący na parterze portier, pan Ryszard, słyszał go doskonale. Palacz kotłowy, pan Zdzisław, urzędujący na poziomie minus 2, słyszał co drugie słowo. - A gdzie są wyższe wartości?! Niby jak ja mam w grudniu z nimi wszystkimi usiąść i się opłatkami łamać?! To niech potem się nie dziwią i nie mają pretensji, że ostatni tydzień grudnia spędzam na Zanzibarze! - darł się pan prezes Michał, a nikt w polemikę z nim nie śmiał wkraczać, zwłaszcza że grudniowe wyjazdy na Zanzibar były faktem. O czym więc dyskutować, skoro pan prezes Michał prawdę i tylko prawdę bliźnim prosto w oczy wykrzykuje?

Tu nie krytykować pana prezesa Michała trzeba, ale chwalić całym sercem i popierać resztą organów. To jest dopiero odważny człowiek, to dopiero postawa! Pokażcie innych równie dzielnych, którzy nie bacząc na to, że czasy kiepskie i romantycznym gestom niezbyt sprzyjające, potrafią całą prawdę, często niewygodną i brutalną, światu głośno wykrzyknąć. A pan prezes Michał się nie boi! I to jest dowód jego wielkości i niepospolitości! Mąż stanu, szanowni państwo, bez dwóch zdań mąż stanu!

Oczywiście, wujo Franek nieudolnie się tłumaczył, że tylko tak mu się powiedziało, że nie chciał dokonywać klasycznej transakcji kupna-sprzedaży, tylko zainteresować, zwrócić uwagę pana prezesa, ale szansa na dziesięciominutową nawet audiencję bezpowrotnie minęła.

Raz nawet przypadkiem spotkali się na jakimś niedzielnym obiedzie, rozmowa nie za bardzo się kleiła, więc wujo Franek wyczuł dogodny moment, wstrzelił się w pauzę - co było o tyle łatwe, że rodzinny dialog składał się niemal wyłącznie z samych pauz - i zapytał, czy Michał

nie miałby ochoty zapoznać się z jego najnowszym wynalazkiem.

- Przecież wujo pół roku miał na przedstawianie nowych wynalazków i była dupa blada! - rzeczowo odniósł się do propozycji pan prezes. Był przecież w gronie rodzinnym, nieoficjalnym, więc nie trzeba było się wznosić na poziom merytorycznych analiz, wystarczyła króciutka złośliwość ozdobiona grubszym słowem i z powrotem można było zachwycać się bajecznymi wprost eskalopkami cielejącymi, mizerią i młodymi ziemniakami. No, owszem, nie przesadzajmy, na Zanzibarze można zjeść dużo smaczniej i porcje są większe, ale trzeba przyznać, że mama Grażyna tym razem się postarała.

A tu masz, wujo Franek ponownie atakuje. Marudzi. Smędzi. Psuje, tak jest, po prostu psuje atmosferę rodzinnego niedzielnego obiadu. Może jeszcze zaraz na tym swoim wózku po pytania do quizu pojedzie, co? Tego by jeszcze brakowało... Że niby ten pomysł taki świetny, odkrywczy, że niech Michał poświęci mu dziesięć minut, a z pewnością nie będzie żałował.

Pan prezes Michał patrzy zrezygnowany w talerz z eskalopkami, ale mama Grażyna tak przymilnie się uśmiecha, tata Piotr też dyskretnie zachęca; słowa nie powiedzą, ale ich oczy mówią jedno: „Co ci szkodzi, dziesięć minut, daj wujowi Frankowi dziesięć minut, najwyżej się go za drzwi wyrzuci po dwunastu, jak się zasiedzi, co?”. I te eskalopki takie pyszne... I atmosfera niedzielnego obiadu też niczego sobie, niby nie ma o czym gadać, ale rodzinne milczenie także ma w sobie niezaprzeczną wartość.

Z drugiej strony, czy pan prezes Michał swojego wuja nie zna? Przez dziesięć minut będzie się podniecał przyrządem do szukania kluczy albo proszkiem ułatwiającym gotowanie jajek na twardo... Przecież pan prezes Michał z dzieciństwa doskonale pamięta te, pozał się Boże, eksperymenty i totalne katastrofy towarzyszące każdemu z wynalazków. Tak, owszem, pan prezes Michał też lubi się pośmiać, też ceni sobie dobrą anegdotę, ale czemu akurat w godzinach urzędowania? Czy on ma marnować dziesięć minut swojego cennego prezesowskiego czasu, aby reszta rodziny miała co potem opowiadać? To niby co, mało dla rodziny robi, że musi jeszcze jakieś anegdotki do domu znosić?

Powyższy tok rozumowania przerywa wuj Franek. W swoim stylu, bezczelnie i na chama, ale taki już jego urok.

- Wiesz co, Michał? Kiedyś, dawno, dawno temu, taką maszynę do handlu czasem wymyśliłem... - zaczyna swoją przemowę, ale pan prezes Michał nie może oprzeć się pokusie i błyskawicznie przerywa:

- Wiem, wiem, przecież tym handlujemy! W ostatnim kwartale mamy wzrost o 18,6 procent w stosunku do analogicznego okresu w ubiegłym roku! - chwali się radośnie, do czego ma słuszne prawo, bo w końcu 18,6 procent wzrostu jest niepodważalnym faktem, a w dzisiejszych czasach to ho, ho... Niejeden chciałby taki mieć!

- To może ja ci kupię dodatkową godzinę, zapłacę ze swoich i sobie pogadamy, co? - proponuje wujo Franek. Uuu, celnie uderzył, dziadyga. Teraz głupio się wycofać, matka z ojcem patrzą, a te eskalopki rzeczywiście takie pyszne. Nijak, no nijak w takiej sytuacji odmówić. Wiadomo, kiedyś tam wuj rzeczywiście maszynkę niezłą wykombinował, ale to był jednorazowy strzał życia, to było dawno i gdyby nie dziarski talent pana prezesa Michała, to pies z kulawą nogą by o tej maszynie nie pamiętał. Takie czasy.

- Najpierw wujo mówił o dziesięciu minutach, a teraz chce całą godzinę? - pan prezes Michał stara się sprawę obrócić w żart, ale mama Grażyna, słysząc jego słowa, zaczyna się krztusić przepyszny eskalopkiem i wcale nie ze śmiechu. Aby więc nie zaognić sytuacji, pan prezes Michał kapituluje. - No dobra, to niech wujo wpadnie do mnie jutro po ósmej rano - uśmiecha się dobrotliwie, a po chwili robi to cała rodzina.

Chwila triumfu. Happy end! Zgodził się z własnym wujkiem pogadać, ludzki pan! Inny to

by się nie ugiął, ba!, jak psa by pogonił za samą próbę załatwiania biznesowych spraw przy rodzinnym niedzielnym obiedzie. A prezes Michał anioł po prostu jakiś złoty, zaprosił - jak gdyby nigdy nic - wujka na jutro na ósmą rano. Z pominięciem całej tłuszczy grzecznie czekających na swoje szczęście gdzieś tam w otchłaniach ordżanajzera osobistej asystentki pana prezesa. I choć wydaje się to mało prawdopodobne, to pyszne eskalopki cielejące stają się jeszcze pyszniejsze, prozaiczna mizéria przywodzi na myśl wykwinny obiad u staropolskiego arcymistrza kuchni, a kompot z mirabelek lepiej do głów uderza niż francuski szampan z drugiej połowy XIX wieku. Sielanka. Prezes Michał zgodził się na audyencji własnego wuja przyjąć!

Żeby jednak za bardzo lejców nie popuścić, za wiele swobodnego oddechu nie wprowadzać, zbytnio autorytetu nie rozdrabniać, pan prezes z powrotem robi groźną biznesową minę i ostrym tonem przestrzega:

- No! Tylko niech mi wujo jutro przygotowany przyjdzie, bo jak usłyszę zwykłe lanie wody, to pogonię jak psa!

I wszyscy kiwają głową ze zrozumieniem. Wujo Franek też kiwa, niby ze zrozumieniem, tym jedynie od innych się odróżnia, że kiwa z jakąś taką delikatną, trudną do opisanía nutą zamyślenia na twarzy. Może to nie zamyślenie, może po prostu banalny smutek. Jak zwał, tak zwał. Najważniejsze, że zgoda przy stole jest pełna - jeśli wujo jakąś pierdołą głowę ma zamiar zawrócić panu prezesowi Michałowi, to nie ma zmiłuj. Tu nikt się nie będzie pieścił. Nie ma czasu na ceregiele.

Już przed szóstą rano wuj Franek odziany w najlepszy frak - ten sam, w którym mu wręczano Nobla i w którym z pewnością odwiedziłyby angielską królową, gdyby mu się tylko chciało - grzecznie warował przed gabinetem pana prezesa Michała, aby przypadkiem kilku minut się nie spóźnić. A nuż coś się w kalendarzu prezesa Michała poprzestawia i jedyna szansa na rozmowę zdarzy się po siódmej?

I wtedy co? Prezes łaskawie zavezwie przed swoje oblicze, a tu kicha na całego, bo wujo jeszcze w piżamie we własnym mieszkaniu herbatę żłopie i rogala z dżemem zajada. No nie uchodzi, wstyd i poruta, a przy okazji niewdzięczność jaka! To pan prezes Michał kalendarz nagina z dnia na dzień, a interesant nie może godzinkę przed czasem się pofatygować? Zatem wujo parę minut przed szóstą na stanowisku oczekującego się zameldował i ani myśli opuścić posterunku. Żadne siku, żaden papierosek na skołatane nerwy, jak warta to warta.

Przez to chwila jest i pomyśleć nad zmiennością losu można. Niby ten frak kawał świata zwiedził, niejedno widział, ale teraz prezentuje się co najwyżej średnio. Już na szwach przetarty, już magnetyczna przed laty czerń wyraźnie wyblakła, już się gdzieś tam plama nie do sprania pojawiła. Już lata świetności ewidentnie ma za sobą, już kobiety na jego widok nie piszczą, a mężczyźni nie zazdroszczą. Ba! Teraz to wręcz wstyd się w takim fraku pokazywać. Takie czasy nastały, że na romantyzm i modę retro miejsca absolutnie nie ma. Dziś idzie się do przodu. I to jak najszybciej. Nie tyle idzie się, ile biegnie. Sprintem. A widział kto kiedy sprintera we fraku? No właśnie...

Na myślach tak odległych od celu wizyty wujo Franek się skupił, że orientację czasową zupełnie stracił. A tu co firma, to firma, co pan prezes Michał, to pan prezes Michał. Zaprosił wuja Franka na parę minut po ósmej i co? I idealnie, jak w mordę strzelił równo o jedenastej czterdzieści sześć wujo Franek do gabinetu serdecznie poproszony został.

- Tylko szybko, bo mi się trochę terminarz rozlatuje dzisiaj! - ni to uśmiechnął się przepraszająco, ni to poskarżył na ciężki los prezesa Michał.

Wujo Franek, nieco speszony, wyjął notatki i wedle starego zwyczaju cztery pierwsze minuty z planowanych dziesięciu zmarnował na wstępną filozofię i ideologię nowego wynalazku. Już miał go pan prezes Michał, zgodnie z wczorajszą obietnicą, pogonić jak psa, ale po

następnych trzech zdaniach, kiedy wuj Franek przeszedł wreszcie do konkretów, atmosfera spotkania radykalnie się zmieniła.

- Ankaaaaa! Ankaaaaa! - darł się do swojej asystentki prezes Michał. - Odwołaj mi dzisiaj wszystko! Wszystko!

- Spotkanie z ministrem kultury też? - dopytywała zza drzwi tak uroczo nazwana Ankaaaaa.

- Niech mnie minister kultury pocałuje! Powiedziałem: „Wszystko”! Ten stary pierdziel znowu wymyślił fantastyczną rzecz! - Tu pan prezes skończył wydawanie poleceń służbowych, a do rozmówcy zwrócił się z wyraźną przyganą: - To wujo wcześniej do mnie nie mógł się pofatygować, co?

Wuj Franek, który wiele na swój temat słyszał, ale rzadko kiedy w tak bezpośredni sposób, cicho westchnął i wymruczał pod nosem, że to rzeczywiście wybitnie ciężkie czasy.

- Co? - dopytał grzecznie pan prezes Michał.

- Nic, nic, Michałku, mówię tylko, że czasy ciężkie...

- A i owszem, ciężkie. No, ale teraz, zobaczy wuj, to my im wszystkim sukinsynom dopiero pokażemy! Tylko dlaczego wujo tak późno do mnie z tym przychodzi?!

Nowy wynalazek, jak skromnie zapewniał wuj Franciszek, nie jest niczym szczególnym, to w zasadzie ulepszona wersja maszyny do handlu godzinami. Różni się jednym, za to dość istotnym szczegółem. Otóż w pierwotnej wersji człowiek miał do sprzedaży 24 godziny na dobę i tego przeskoczyć się nie udało. Tym samym odpadały: wyprzedawanie godzin na kredyt, oddawanie swojego czasu w leasing i tym podobne finansowe operacje.

Natomiast teraz, jeśli ma się taką ochotę i potrzebę, można sprzedać dowolną ilość czasu. Czy to będzie 115 godzin, czy 4537 - nie ma problemu. Da się zrobić.

Pan prezes Michał w pierwszej chwili nie wydawał się poruszony.

- No tak, ale co nam to daje? Jakieś babranie się w kredytach, wypłacanie potężnych sum z góry, bo przecież od razu znajdują się tacy, którzy będą chcieli sprzedać wszystkie godziny z życiorysu, ba!, wszystkie godziny od narodzin Chrystusa... Czy to się w ogóle będzie opłacało?

Wujo Franek podrapał się w głowę.

- Nie mam pojęcia. To ty jesteś od spraw biznesowych. Jest tylko jeden, istotny szczegół, o którym warto pogadać...

- No... - pan prezes Michał bliski był pogonienia wuja Franciszka jak psa.

- Najciekawsze jest to, że jeśli człowiek sprzeda, na przykład, dziesięć lat swojego życiorysu, to o tyle odmłodnieje. Czas biologiczny... hmm... jakby to dobrze ująć... no... czas biologiczny również się cofa. Człowiek stanie przed zupełnie nowymi perspektywami... - zaczął filozofować wujo Franek.

- Przecież te wszystkie głupie dupy, które marzą o byciu młodszymi, zostawią u mnie majątek! - zaczął obliczać pan prezes Michał.

- Spełni się jedno z odwiecznych marzeń człowieka. Możliwość naprawy własnych błędów. Ile to osób dzień w dzień pomstuje: „Boże, a gdyby tak się udało cofnąć czas!” - wypowiadał swoje idealistyczne mrzonki wujo Franek.

- To są miliardy, co ja mówię, biliony, po prostu biliony dolarów potencjalnych zysków! - wypowiadał swoje praktyczne mrzonki pan prezes Michał.

I tak ze sobą gadali przez resztę dnia - jeden szkicował świetlane perspektywy, drugi podliczał słupki; jeden od nowa projektował świat, drugi ustalał cennik; jeden głowę w obłokach trzymał, drugi rękę w kieszeni. I najdziwniejsze, że obaj świetnie się rozumieli, dogadywali się w pół słowa; owszem, słów padało znacznie więcej, ale były one jedynie potwierdzeniem oczywistych tez i pewnych rozwiązań.

- Czy to aby na pewno działa, wuju? - zdobył się na minimalną wątpliwość pan prezes Michał.

- Na myszach działało... Na nikim innym nie sprawdzałem - odpowiedź wuja wydawała się być szczerą i roztropną. Jak na geniusza świata wynalazków przystało. Jak na człowieka, który w skromniutkim garażu zakwestionował całą historię i biologię. Z fizyki wręcz sobie zakpił, z matematyki drwił w żywe oczy. Jeśli idzie o przedmioty szkolne, to w spokoju zostawił jedynie języki polski i obce oraz WF. Może jeszcze przysposobienie obronne.

Oto zdarza się wypadek samochodowy. Kraksa. Po pijaku. Deszczowa noc. Nadmierna prędkość. Ostry zakręt. Koleiny. Utrata kontroli. Czołowe zderzenie z TIR-em. Trzy trupy. Czterech rannych. Jeszcze do niedawna - finisz. Meta. Napisy końcowe. Teraz nie. Teraz skorzystać z nowego wynalazku wuja Franka i sprzedać ostatnie 48 godzin swojego życia. Wsiąść raz jeszcze do auta. Przed feralnym zakrętem zwolnić. Dostosować prędkość do warunków. Przejechać spokojnie na trójce, przy prędkości pięćdziesięciu pięciu kilometrów na liczniku. Uśmiechnąć się pod nosem. Zapomnieć o całym incydencie. Aha, ale nie zapomnieć odebrać forsy za sprzedane 48 godzin.

Oto on, przełamując zabijającą treść, proponuje miejscowej piękności niedzielne kino. I ona - złośliwa bestia - się zgadza. Tak, złośliwa bestia, bo gdyby się nie zgodziła - wszystko byłoby jasne, a tak on się miota przed tą niedzielą jak cyrkowy tygrys w klatce kilka sekund przed solowym numerem. A jak się ubrać? A co powiedzieć? Jak się uczesać? Jakie dowcipy opowiadać, a jakich kategorycznie nie? Buziak na powitanie czy tylko delikatny uścisk dłoni? Może zwykłe: „Cze, lalka!”? A prezerwatywy do tylnej kieszonki schować czy też nie zapeszać ewentualnego przyszłego sukcesu? No właśnie, jak do kwestii prezerwatyw podejść - skromnie czy z hurraoptymizmem? Mierzyć siły na zamiary czy zamiary na siły? Grać defensywnie i nie brać, a w kluczowym momencie - jeśliby się taki trafił - gorączkowo szukać nocnego czy całodobowej stacji benzynowej? A może uderzyć w nastroje triumfalistyczne i schować do tylnej kieszonki ze trzy opakowania?

I to są pytania, na które nie ma dobrych odpowiedzi, a one - im bliżej niedzieli, tym coraz liczniej w głowie siedzą. W końcu idzie na ten niedzielny seans tak skołatany, że nie ma szans, aby całość wypadła dobrze. Dla kurazu setkę walnie, potem browara, a później - dla zabicia nieprzyjemnego oddechu - likier bananowy. I pójdą do tego kina, a potem on ją do knajpy prosi. Ona chętna. No to może po piwku? Nie, woli koniak. Dobrze, to dla pani raz koniak, a dla niego piwo. Ona ciągle przy pierwszym koniaku, a on już czwarty kufel wysuszył - ona z zażenowaniem patrzy i szuka dyskretnej okazji do czmychnięcia w domowe pielesze, a w nim się dopiero teraz rycerz zdobywca i don juan szalony obudził. Mowa niewyraźna, artykulacja kiepska, ale za to jaka treść: „Ja im, kurwa, wszystkim, kurwa, jeszcze, kurwa, pokażę! Kochasz mnie? Bo ja cię, kurwa, do szaleństwa!”. I jakby mało mu było błazenady, to jeszcze z kieszeni trzy paczki prezerwatyw dumnie wyciąga i krzyczy na całą knajpę: „Zobaaaaacz! Zobaaaaaaacz, jak się na dzisiaj przygotowałem! Już ja potrafię zaplanować przyszłość! Już ja potrafię zadbać o najbliższych! Już ja potrafię wszystko zorganizować, jak należy! Kończ, lalka, ten koniak, co go trzecią godzinę sączysz, i zbieramy się do mnie na chatę! A teraz rycerz chce buzi!”.

I on przechyla się przez stolik, aby słodkiego całusa od osiedlowej piękności zainkasować; ona odsuwa się z wyraźnym wstrętem; on pochyla się jeszcze bardziej, traci równowagę i razem ze stolikiem, lampką ciągle niedopitego koniaku i świeżo napoczętym kuflem piwa leci w ramiona kobiety swojego życia. Ta ucieka sprintem godnym światowych hegemonów bieżni, ludzie się gapią z pogardą, po chwili przychodzi kelner z ochroniarzem, chwytają niedoszłego kochanka za kark i jak niechcianego kundla wywalają na zbity pysk z restauracji. Koniec randki.

Blamaż, wstyd, kompromitacja, paździerz i pogrzebanie jakichkolwiek szans nie tylko na wykorzystanie przynajmniej jednej prezerwatywy, ale i na kontynuowanie znajomości choćby w formie przelotnego „dzień dobry pani!”, „dzień dobry panu!”. A rano kac moralniak i plucie w brodę, że się człowiek jak kretyn zachował, upił jak wór i prostak na pierwszej randce, a ona takie oczy miała piękne, tak chętnie na kino przystała, a i do knajpy też specjalnie nie trzeba jej było zaciągać. To tak jakby karnego nie wykorzystać w ostatniej minucie meczu. Żal, żal jedynie został tak fantastycznie schrzanej szansy, bo drugiej takiej okazji już nie będzie... I myśli samobójcze, i prochy antydepresyjne, i w ogóle poziom optymizmu gdzieś w okolicach dolnego korytarza kopalni „Rydułtowy”.

A tu proszę, jakie miłe zaskoczenie. Wystarczy sprzedać ostatnie 48 godzin, jeszcze kilka godziwych banknotów przyjąć i można ponownie próbować szczęścia u osiedlowej piękności. Idźmy dalej - teraz absolutnie nie należy przejmować się odmową czy też, jak nasi pradziadowie powiadali, dostaniem kosza, bo przed zakochanymi nieskończona liczba podejść. A co ważne - każde z nich rozpoczynamy z czystą kartą. Wręcz wskazane byłoby na początku coś schrzanić, jakiś elementarny błąd taktyczny popełnić, aby natychmiast zdobyć niezbędne doświadczenie i przy trzeciej czy czwartej próbie okazać się absztyfikantem idealnym. Niech ta osiedlowa piękność też coś z tego wynalazku ma...

Zresztą, ona tak naprawdę w ogóle nie musi obawiać się nietrafionych wyborów. Ona po piętnastu latach małżeństwa może dojść do wniosku, że ten idealny mąż wcale nie jest taki idealny i wspólne setki tysięcy godzin sprzeda dzięki maszynie wuja Franka. Owszem, przestanie być matką, a zacznie trochę starszą koleżanką swoich dzieci, ale jakieś konsekwencje muszą być. I ona też może szukać szczęścia do oporu. Bez limitu. Aż dziwne byłoby, gdyby tego nie robiła.

Zaraz, zaraz... przecież jak się dobrze zastanowić, to zniknie z życia mnóstwo pojęć. Każdy egzamin będzie zdawany za pierwszym razem. Jaki sens będzie zostawiać słabego ucznia w tej samej klasie na drugi rok? Co to w ogóle będzie znaczyło - drugi rok?

Idźmy dalej - na piłkarskich mistrzostwach świata grają 32 drużyny, w każdej z nich 23 piłkarzy. Przecież ten turniej zostanie rozegrany najmarniej 736 razy, bo każdy, nawet rezerwowy lewy obrońca Trynidadu i Tobago, będzie chciał być narodowym bohaterem i strzelić ważną bramkę w osiemdziesiątej dziewiątej minucie pojedynku.

A wybory - obojętnie czy parlamentarne, czy prezydenckie. Który, no który z kandydatów będzie miał tyle pokory, aby uznać wyższość rywala? Dla obywatela oznacza to jedno - permanentne chodzenie do urn.

- No toś wujo pięknie wymyślił! Zacznie się burdel, o jakim świat nie słyszała Dwie wojny światowe to było jedynie niewinne preludium do tego, co tu teraz będzie się wyprawiać! - skomentował pan prezes Michał i nie był to komentarz komplementujący.

- Ale jak to? Przed chwilą byłeś zachwycony, siedmiu kartek papieru było ci mało na przeliczenie zysków... - dziwił się wuj Franek. - Przecież ja tylko tak sobie to wymyśliłem, ot, dla dobra ludzkości.

- Niech mnie wujo nie rozśmiesza! Dla dobra ludzkości to powstała aspiryna, a nie nieustająca możliwość gratisowej pokuty.

Pan prezes Michał spojrział na sprawę nieco szerzej i wpadł w przerażenie. Jeszcze mu geniusz wynalazczości ze starego garażu będzie nawijał farmazony o dobru ludzkości. Już jedna taka była, co chciała ludzkości pomóc. Nazywała się Maria Skłodowska-Curie i ostatnią rzeczą, jaką miała w głowie, kiedy pierwszy raz rozszczepiała atomy, były dwa japońskie miasta. Hiroszima i Nagasaki. Zresztą nie ma sensu sięgać do historii nauki, tu wystarczą zwykłe ludowe mądrości o brukowaniu piekieł. Nawet ludowe mądrości to za dużo, wystarczy na chwilę uruchomić wyobraźnię, aby z najnowszej idei wuja Franciszka czym prędzej zrezygnować.

- Niech wujo najlepiej zapomni o tej rozmowie, ulepszoną maszynę spali, notatki zresztą też i będzie po problemie! - jednym zdaniem pan prezes Michał poświęcił niewyobrażalne wręcz zyski. Wbrew pozorom głupi nie był... Nieokrzęsany, nie podlega dyskusji, jeżeli idzie o chamowatość, to śmiało można go lokować w górnym pułapie stanów średnich, ale żeby był zwykłym idiotą - to już niekoniecznie. Cóż mu po gigantycznych zyskach, skoro nie sposób przewidzieć, czy i w jaki sposób będzie mógł je wykorzystać. A niby co, mało teraz ma?

Wujo Franek nie bardzo rozumiał kolejnej nagłej zmiany decyzji i nastroju pana prezesa Michała.

- Ale Michaś, przecież to bardzo fajny wynalazek. Czemu go nie użyć?

- Jak najbardziej fajny wynalazek. Jak dla mnie stanowczo za fajny!

- Aha, czyli po prostu posrałeś się w gacie ze strachu? - rozmowa wkroczyła na tory kolokwialne.

- Niech ci będzie. Posrałem się w gacie ze strachu - pan prezes Michał zgodnie z prawdą i zaproponowaną konwencją dialogu przyznał się do słabości.

I tu konwersacja dobiegła końca, bo i o czym dalej gadać... Aby być precyzyjnym - tematów było aż nadto, zabrakło jedynie równorzędnych partnerów do dyskusji. Wujo Franek wrócił do garażu z twardym postanowieniem, że nowego wynalazku nie odpuści, tak na dobrą sprawę pan prezes Michał wcale mu do szczęścia nie jest potrzebny. Z kolei sam pan prezes pluł sobie w brodę, że tak łatwo uległ rodzinnej presji i zgodził się przyjąć tego szajbusa. Poniedziałek został zmarnowany bezpowrotnie przez te cholerne, przepyszne cielęce eskalopki.

Wujo Franek podzielił się swoim wzburzeniem z resztą rodziny. Nie dość, że gówniarzeria w ogóle łachę robi, aby na spotkanie zaprosić i poświęcić dziesięć minut, to jeszcze w decydującej chwili tchórzy, rezygnując z niedających się policzyć zysków.

- Ej! Jak zwykle przesadzasz. Michał z dodatkowych pieniędzy by zrezygnował? - Piotr znał syna doskonale i takiej sytuacji nie był sobie w stanie wyobrazić.

A wielki wynalazca w zaparte idzie, wykrzykuje i rękami macha w stylu mocno oszołomskim, że pan prezes Michał na jego oczach przez trzy godziny na kartce słupki mnożył i dodawał, biliony z miliardami łączył, na mniejsze jednostki właściwie uwagi nie zwracał, żeby ostatecznie stwierdzić, że to „stanowczo za fajny wynalazek!”.

- Dokładnie tak powiedział, słowo w słowo! Jak można być takim frajerem? - pieklił się wujo Franek na swojego siostrzeńca. - Na koniec prosto w oczy mu wygarnąłem, bo mnie szlag trafił, że po prostu zesrał się w gacie ze strachu. A on się pokornie z tym zgodził! Frajer! W dodatku baba!

- Franek, proszę cię! - jęknęła babka Wiktoria.

- Tak mi się wyrwało. Dobrze, niech będzie tylko frajer, poniosło mnie - podkulił ogon wujo.

- No, w to już na pewno nie uwierzę. Żeby Michał dał sobą tak pomiatać, i to we własnym gabinecie... Niemożliwe! - kręciła głową Grażyna.

- To go zapytajcie! Zobaczmy, czy mu na tyle odwagi starczy, aby się do klęski przyznać! Wielki pan prezes, che, che, che. Po prostu szczyl, który najchętniej by się trzymał maminej spódnicy. Tchórza wychowaliście i panikarza, a nie chłopca z jajami! - krzyczał na maksymalnych obrotach wujo Franek.

- Franek, proszę cię! - jęknęła ponownie babka Wiktoria.

- Dobrze, znowu mnie poniosło.

- A niby czego Michał tak się przestraszył? Co mu tak przerażającego tym razem zaproponowałeś? - Piotr postanowił wrócić do meritum dyskusji.

Wujo Franek machnął ręką („A niech się dzieje, co chce”), wyciągnął notatki i zaczął

objaśniać najnowszy pomysł.

Pomidorowa z makaronem ostygła. A zapomniany w piekarniku kurczak wyglądem ostrzegwał przed zbyt częstym korzystaniem z solarium. No nic, zamiast pysznego obiadu trzeba będzie znowu zamówić pizzę. W miarę kolejnych szczegółów przedstawianych przez wuja Franka kwestia obiadu schodziła absolutnie na dalszy plan. Ba! Wszystkie inne kwestie pozostawały daleko, daleko w tyle. Przystawały być ważne, bo - jeśli dobrze rozumieli słowa garażowego mądrali tudzież wielkiego wynalazcy - nie będzie najmniejszego problemu, aby do tych rzeczy spokojnie wrócić i sobie je pozająlatwiać. Kwestia czasu - hmm... jakkolwiek by to głupio i buńczucznie zabrzmiało - została opanowana raz na zawsze. Przy czym określenie „na zawsze” miało mieć od dzisiaj zupełnie inną barwę znaczeniową niż do tej pory.

- To rzeczywiście frajer, jeśli tak pięknej idei się przestraszył. Gdzie ten chłop ma jaja! - wykrzyknęła babka Wiktorina.

- Mamo! Proszę cię! - jęknęła Grażyna.

- Oj! Poniosło mnie, ale zdania nie zmienię! Frajer! W dodatku baba! - hardo zakrzyknęła babka Wiktorina.

- A ja Michała trochę rozumiem. Jeśli ten nowy wynalazek rzeczywiście działa tak, jak Franek opowiada, to ja Michała nie tylko trochę, ale i całkowicie rozumiem. I w stu procentach się z nim zgadzam! - ku zaskoczeniu reszty odezwał się Piotr.

- No tak, jaki ojciec, taki syn. Jakie ciasto, taki blin! To trzeba jakimś głupkiem być, żeby takiego cudu nie wykorzystać! Głupek, frajer i baba! Zresztą zawsze taki był - jak przegrywał w domino, beczał dwa razy dłużej od Hani! - popisała się ostrzejszą frazą babka Wiktorina. Nestorka rodu - uosobienie stoickiego spokoju przynależnego jej sędziwym latom i rozważli, wzorzec opanowania i dystansu wobec rzeczywistości - ewidentnie straciła głowę.

No jakże to tak? Otwiera się szansa, aby jeszcze trochę pocieszyć się doczesnym żywotem - i ta radość mogłaby trwać o wiele dłużej, niż się komukolwiek wydawać mogło - a tu własny wnuk okoniem staje i nawet spróbować się boi? Jak tu nie pomstować, grubszego słowa nie użyć, z błotem wyrodnego wnuka nie mieszać?

Jednocześnie oczy się babce Wiktorii świecą jak dwie latarnie morskie ciemną, bezgwiezdną nocą, bo chyba nie trzeba pomocy pana, che, che, che, prezesa, aby sobie prywatnie, na własny użytek poeksperymentować, prawda? Na dobrą sprawę pan, che, che, che, prezes nie musi wcale wiedzieć, co tam babka Wiktorina z Frankiem w warsztacie knują. Bo jeśli Franek nie ma nic przeciwko, to babka z miejsca, zaraz, już jest gotowa sprawdzić na sobie, czy ten nowy wynalazek działa.

- Jak dla mnie hucpa i błaga, zbyt piękne, aby było możliwe, ale ryzyko żadne, a drugi raz takiej okazji człowiek mieć nie będzie. Do końca życia, czyli na oko licząc, jeszcze jakieś pięć lat, bym sobie w brodę pluła, że nie spróbowałam - nawijała jak nakręcona babka Wiktorina.

Może ona nie będzie w stanie zapłacić tyle co pan, che, che, che, prezes Michał, ale przecież sam Franek mówił, że nie o pieniądze tym razem chodzi, lecz o uszczęśliwienie ludzkości. I jak trzeba będzie, to babka Wiktorina sama całą rzecz odpowiednio nagłośni; jeśli inne będą wytyczne Franka, to pary z gęby najmniejszej nie puści. I przeprasza, że na początku do twórczości odkrywczej Franka podchodziła nieco sceptycznie („Nico?” - zdziwił się nieco wujo), ale to było dawno, po prostu nie doceniła geniusza, z jakim od tylu lat pod jednym dachem mieszkała.

- Bo wiesz, najtrudniej dostrzec niezwykłość u współdomownika. Jak człowiek patrzy co dzień na drugiego, jak je, jak się gapi w telewizor, jak zły humor złapie, jak sobie nos w papier toaletowy wyciera, bo chusteczek zapomniał kupić, a tu akurat listopadowy katar zaatakował, to wszelkie oznaki geniuszu znikają bezpowrotnie - tłumaczyła z naiwnością nastolatki.

Gadała bez zastanowienia i opamiętania. Każdy argument, czy nawet jego połowa, najbardziej głupi tudzież populistyczny, został nie tylko użyty, ale i wielokrotnie powtórzony.

- Zobaczysz, Franek, jeszcze tym gówniarzom, tym prezesom wszystkim pokażemy! Jeszcze juniorów zaskoczmy, jeszcze do nas w łachę przyjdą i się zaprzyjaźniać będą chcieli! - krzyczała babka Wiktoria, a wujowi nie pozostało nic innego, jak zaprosić nestorkę rodu do współpracy.

Zresztą Grażyna też zaczęła przebąkiwać, że jeśli to cudo rzeczywiście działa, to ona chętnie by sobie z dziesięć lat sprzedała. Nie dla zysku, broń Boże, nie z nadmiernej chciwości, tylko tak, po prostu, dla lepszego samopoczucia i ze zwykłej ludzkiej ciekawości.

- Bo to w końcu ciekawe tak się cofnąć o dziesięć lat, prawda? - pytała pogrążonego w milczeniu wuja Franka.

Prawda. Tak by przynajmniej mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

- Kobieto! Przecież nie można mieć ciągle dwudziestu czterech lat! - zaproponował Piotr. - To jakieś takie, nie wiem, głupie, wbrew naturze... Ja przynajmniej nie zamierzam z tego cuda korzystać.

- Twoja sprawa! - niemal zalotnie, z młodzieńczym wdziękiem skwitowała mężowskie wywody Grażyna. Ona nie miała wątpliwości. Wróc, miała jedną - sprzedać dziesięć czy może od razu dwadzieścia pięć lat. Pierwsza opcja wydawała się rozsądniejsza, za to druga znacznie bardziej kusząca. Grzech nie korzystać z talentów brata geniusza.

- Jak babka i matka chcą robić za doświadczone króliki, to proszę bardzo, ja im bronić nie będę. Tylko nikt spoza rodziny ma o tym nie wiedzieć! - taki komunikat przy kolejnym niedzielnym obiedzie przekazał pan prezes Michał i reszta, chcąc nie chcąc, przyjęła zarządzenie do wiadomości.

Ale jakim cudem w tajemnicy można takie cuda utrzymać? Przecież Grażyna to już nie stateczna mama dwójki dorosłych dzieci, ale klasyczne dziewczęce fiubódziu, które najchętniej spędzałyby czas na plotkach z psiapsiółkami i zaliczały kolejnych narzeczonych. Niby jak tu się im nie pochwalić, że ma w domu specjalną maszynę, co to ją odmładza o dowolną liczbę lat? Jak nie zaimponować zmianą kierunku biegu natury?

Na szczęście psiapsiółki swoje rozумы mają.

- Taaak, ty tam masz specjalną maszynę, aha, jasne! A ja mam w domu stoliczek, co się sam nakrywa, złotą rybkę spełniającą wszystkie życzenia i karocę ze złotej dyni - śmiały się z Grażyny i temat przestał istnieć. Narzeczeni dyskretnie milczeli, bo kto nie chciałby mieć dziewczyny z fantazją i poczuciem humoru.

Owszem, Piotr na tych narzeczonych krzywo się patrzył, ale jako mądry i doświadczony facet nie siłą, ale sposobem zaczął ich zwalczać. Ponownie w Grażynie kobietę atrakcyjną dostrzegł, a nie jedynie gospochę i matkę dwójki odchowanych dzieciaków. Wiersze miłosne zaczął po latach wypisywać, na szczęście nietrudno znaleźć rym do słowa „Grażyna”, więc kilkudziesięcioletnia przerwa jakoś negatywnie na poziom poezji nie wpłynęła.

Wstyd głośno o tym mówić, ale on, doświadczony, dojrzały facet, wydawać by się mogło wyga i cynik w sprawach damsko-męskich, jak harcerz zaczął podskakiwać z radości, kiedy tylko delikatnego buziaka w policzek udało mu się od żony wycygnąć. A już atmosferę w małżeńskiej sypialni można porównać jedynie do sytuacji, kiedy nad szalejącym wodospadem Niagara przechodzi również szalejące tornado.

Znowu zaczęło się popijanie wina z gwinta. Pewnej nocy Piotr zakradł się do ogrodu sąsiadów na klasyczną młodzieżową pachtę i wręczył - jak się wyraził - najwspanialszej kobiecie pod słońcem z półtora kilograma śliwek węgierek. Grażyna zapragnęła przejechać się miejskim autobusem i złapał ją kanar za jazdę na gapę. Piotr znalazł frajdę w paleniu w największej

tajemnicy papierosów i były to - a jakżeby inaczej - oczywiście extra mocne bez filtra. Wspólnie zaplanowali wakacje - ani Wyspy Bahama, ani Bora Bora, ani prozaiczne Kanary, tylko Bieszczady, namiot i wiecznie rozstrojona gitara akustyczna marki Leningrad.

Nie przeszkadzała im coraz bardziej widoczna różnica w wyglądzie zewnętrznym. Tak po prawdzie to nawet pomagała. Grażyna czuła się pewnie i bezpiecznie w ramionach doświadczonego faceta; doświadczony facet był dumny jak paw, że taka młoda i atrakcyjna siksa całkowicie straciła dla niego głowę. Owszem, wyglądali jak ojciec z córką, ale dzisiaj nikt już na takie metrykalne mezalianse nie zwraca specjalnej uwagi. No, raz poszli do kina na jakiś odważny duński erotyk, to bileterka kazała Grażynie dowód osobisty pokazywać, ale oboje odebrali to jako przemiły komplement. Podobnie w sklepie spożywczym - tu próba kupna alkoholu czy papierosów niemal zawsze wiązała się z koniecznością legitymowania Grażyny.

W takich chwilach ekspedientki nie kryły furii i wściekłości.

- Ale sobie mała porobiła operacji plastycznych! Stara pindzia, a jak młódka się nosi! - słyszała Grażyna za plecami i najchętniej odwróciłaby się, aby najśłodszym dostępnym w repertuarze głosem dokupić jakiś kolorowy tygodnik dla nastolatek ewentualnie różowe spinki do włosów w kształcie kotków czy piesków. Jednak jako kobieta pełna dobrego serca po chwili wahania wzruszała ramionami i niczym dumna pawica wychodziła ze sklepu.

No i te wszystkie rozmowy z dawnymi koleżankami. A niby jaki to krem? A czy to aby nie katorżnicza dieta kaukaska połączona z zestawem specjalnych ćwiczeń pilatesowych? A może to wpływ akupunktury połączony z bogatym życiem erotycznym? Grażynko, nie bądź taka, no powiedz, nie trzymaj nas, koleżanek swych serdecznych, w niepewności; powiedz, jakim cudem, jak ty to robisz, że wyglądasz aż tak znakomicie. Bo, oczywiście, my, twoje koleżanki, nie tylko podziwiamy, ale i same trochę byśmy tak chciały. Powiedz tylko, czy to w ogóle w naszym przypadku jest możliwe? Albo chociaż zdradź pierwszą literkę, o właśnie, jedynie pierwszą literkę zdradź tych zabiegów czy diety, nie bądź taka, Grażyna, co ci szkodzi, jednej literki nie możesz koleżankom powiedzieć? To się wypchaj, Grażyna, ze swoimi tajemnicami, wcale nie jesteś znowu aż taka rewelacyjna! A Grażyna na to tylko jedno zdanie nieustająco powtarza: „Bardzo bym chciała, ale - niestety - tajemnica”.

Babka Wiktoria takich problemów nie miała. Z nieco innego względu. Jej po prostu nikt nie poznawał. Człowiek doświadczony życiowo zawsze sobie jakoś poradzi, nim ostatecznie powie: „Pas”.

U NAS NA URLOPIE
TEŻ CAŁY CZAS PADATO
ALE NA KANARACH..!



8. HISTORIA STARYCH MAŃCZAKÓW

Człowiek doświadczony życiowo zawsze sobie jakoś poradzi, nim ostatecznie powie: „Pas”. Taka na przykład stara Mańczakowa najlepiej radziła sobie w czasach kryzysu, rewolucji, wojny albo reform. Czyli - inaczej rzecz ujmując - zawsze. Już jej matka natura siódmy krzyżyk na plecach przymocowała, a stara Mańczakowa nijak nie pamiętała czasów, w których nie byłoby kryzysu, rewolucji, wojny albo chociaż reform.

A pamięć miała dobrą i umysł świeży, bo i jedno, i drugie od wczesnej młodości poddawała rygorystycznemu treningowi. Jak nikt inny pamiętała ceny wszystkich produktów dostępnych na rynku, niezależnie od tego, czy chodziło o cenę sprzed roku, trzech lat czy trzydziestu trzech. Bez problemu podawała wartość chleba sprzed denominacji i rajstop po niej. Ale ze starą Mańczakową nie było tak łatwo, nie wystarczyło podejść i poprosić: „Pani Mańczakowa, a ile kosztował chleb w 1973 roku?”, a ona od razu odpowiadała. Nie, stara Mańczakowa patrzyła na autora pytania z politowaniem i rzucała pogardliwe: „Ale zwykły czy razowy?”. Przeliczanie złotych na dowolną obcą walutę, kursy bieżące i historyczne, kursy oficjalne i cinkciarskie - pamięć Mańczakowej była jak solidnych rozmiarów twardy dysk z archiwum równie solidnego serwisu ekonomicznego.

Z kolei umysł Mańczakowej dzień w dzień, a z biegiem czasu także i noc w noc odpowiadał na jedno pytanie: gdzie by tu jeszcze można przyoszczędzić? Gdzie by tutaj dodatkową złotówkę wyskrobać na chwałę i potęgę domowego budżetu rodziny Mańczaków. No bo jeśli w jednej dzielnicy kilogram młodych ziemniaków jest po trzy pięćdziesiąt, a w drugiej - jak w mordę strzelił - po trzy dwadzieścia, to się chyba nikt normalny nie zastanawia, tylko śmiga gdzie taniej i nie narzeka. Owszem, pozostawał jeszcze koszt biletu tramwajowego, acz stara Mańczakowa z racji wieku i przekonania uznawała tylko przejazdy gratisowe. Wiek - sprawa oczywista i niepodlegająca dyskusji, natomiast co do przekonań - stara Mańczakowa wychodziła z założenia, że to tramwaje są dla ludzi, nie odwrotnie, a trudno płacić za coś, co słusznie się należy.

Inny przykład - niekoniecznie trzeba jeździć do drugiej dzielnicy, aby przyoszczędzić. Oto w osiedlowym markecie na jednej półce stoją sobie dwie miski z zieloną pietruszką - świeża za złoty pięćdziesiąt, nieświeża za osiemdziesiąt groszy. Taka promocja dla mniej wymagających. I jest jasny wybór - albo ktoś płaci za luksus obcowania z pyszną, świeżutką pietruszczką, albo też pałaszuje starą i nadgniłą pietruchę, ale ze świadomością, że o siedemdziesiąt groszy do dobrobytu bliżej. Twój wybór, drogi kliencie, najśłodszy konsumencie, tego chciałeś, o to walczyłeś, o wolność i możliwość dokonywania wyboru - no to proszę, możesz sobie wybrać.

Tymczasem stara Mańczakowa potrafi połączyć przyjemne z oszczędnym. Oto do starej, zgniłej pietruchy wtyka kilka liści świeżych i pachnących. Tak się w realizacji sprytnego planu zapomina, że po chwili więcej ma w pietruszkowym bukietcie listków świeżych niż zgniłych, ale ani ochrona, ani zmęczona kasjerka uwagi nie zwracają, więc wychodzi ze sklepu krokiem mistrza olimpijskiego parę chwil po dekoracji medalowej.

Na zewnątrz starannie wybiera świeże liście pietruszki i chowa je do foliowej torebki. Z bukietem starej i zgniłej pietruchy wraca i z miejsca atakuje ochroniarza, że to skandal, granda i złodziejstwo taką zgniliznę starym ludziom wciskać, że pies by tego nie zjadł, a co dopiero człowiek, i że ona kategorycznie chce zwrócić to świństwo!

Ochroniarz, gdyby go ktoś o zdanie zapytał, zdecydowanie woli awanturujących się

pijaczków czy osiedlową bandyterkę - tam są dużo prostsze reguły gry. Z siedemdziesięcioletnimi niewiastami o roszczeniowej postawie wobec świata i sklepu idzie mu zdecydowanie gorzej. Siły użyć nie można, przegadać nie sposób, sensowne argumenty nie trafiają, a poza tym żal się człowiekowi robi. Jeśli ktoś karczemną awanturę urządza o głupie osiemdziesiąt groszy, to jakoś nie wypada dyskutować, niezręcznie wgłębiać się w meritum reklamacji, tylko należy przeprosić, ukłonić się i zaprowadzić do kierowniczkii zmiany. Takie są procedury w osiedlowym dyskoncie.

Udaje się zatem stara Mańczakowa do kierowniczkii zmiany, w święte oburzenie uderza, że ona pietruszkę chciała, a nie jakąś zieloną szmatę nadgniłą i zbutwiałą, i żeby kategorycznie pieniądze jej oddać! I to już! Kierowniczkii zmiany w osiedlowym dyskoncie ma na dziś umówionego fryzjera i remont generalny tipsów, poza tym jeden taki niczego sobie taksówkarz zaprosił ją na darmowy lans po mieście. Dzień zapowiada się rewelacyjnie, kto wie, czy nie przełomowo, i ona nie zamierza marnować energii na dyskusje ze starą Mańczakową. Łagodnym głosem i ze służbowym uśmiechem wypracowanym na trzydniowych szkoleniach informuje, że można sobie kupić ładniejszą pietruszkę za złoty pięćdziesiąt, więc już do starej Mańczakowej należy decyzja, czy chce wymienić swoją na lepszą i droższą, czy też warzywo zwrócić i z powrotem dostać osiemdziesiąt groszy. Stara Mańczakowa wybiera opcję numer dwa: zwraca starą pietruszkę, inkasuje to, co jej się słusznie należy, a cała operacja zostaje należycie odnotowana przez kasjerkę w szesnastokartkowym zeszytce zwrotów, co służbową pieczęcią i parafką potwierdza jeszcze ochroniarz, aby nie było najmniejszych niejasności.

Wszyscy zadowoleni, a najbardziej stara Mańczakowa, której ponownie brzęczy w portfelu osiemdziesiąt ciężko wywalczonych grosideł. A jeszcze gestem Imperatorowej Zakupów Codziennych wrzuci do dzisiejszej zupy dwie pełne garście świeżutkiej, soczystej, zieloniutkiej pietruszeczki. Niech rodzina się uczy, niech ją podziwia.

Stara Mańczakowa po prostu już nie umie inaczej. Przez całe życie kombinowała, oszczędzała, wymyślała i sztukowała. To jest jak nałóg, jak pasja, jak niezbędna dawka adrenaliny. I, mówiąc szczerze, to jedyna namiętność starej Mańczakowej.

Po co ciasto na święta, skoro i tak wszyscy zupą i drugim się objedzą? I tak zawsze zostaje! Jak komuś brak słodczy, to przecież stara Mańczakowa ma w barku landrynki... Ooo, to jest dopiero kawałek współczesnej historii - landrynki starej Mańczakowej.

Na bazie prosperity z połowy lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia w sklepach pojawiły się coca-cola i właśnie landrynki. Dwa rarytasy. Dwa arcysmakołyki. Dwie legendarne rozkosze podniebienia. I proszę sobie wyobrazić, że w roku 1978, kiedy kadra trenera Jacka Gmocha miała rozgrywać pamiętny mecz o wszystko z Argentyną, sąsiadowi Bieniowi zepsuł się telewizor. Wpadł więc do Mańczaków z kulturalnym pytaniem, czy nie mógłby u nich popatrzeć, jak wielki Kazimierz Deyna w setnym meczu w reprezentacji karnego niemiłosiernie partaczy. A że Bień obyty człowiek, wiedział, że z pustymi rękami nie wypada, to pół litra wziął dla Mańczaka, a bukiet goździków i paczkę landrynek wręczył Mańczakowej. Pół litra przerwy w meczu nie doczekało, kwiaty po dwóch dniach padły, ba!, po dwunastu latach od tej historii sąsiad Bień się do lepszego świata zapisał, ale landrynki... Ho, ho, landrynki do dzisiaj w barku leżą.

Mańczakowa poczęstowała gości w wymiarze po cukierku na twarz, a resztę torebki przesypała do zielonoszklanej salaterki. Słodki puchar spoczął w barku, przetrwał stan wojenny, pierwsze nieśmiałe reformy premiera Rakowskiego, zmianę ustrojową, plan Balcerowicza, całą III i IV Rzeczpospolitą - przetrwał wszystko i nic nie wskazywało na to, aby czas jego panowania mógł dobiec końca. Landrynki starej Mańczakowej były niezniszczalne jak rekordy Boba Beamona i Siergieja Bubki. Stanowiły przy tym genialne oszczędnościowe alibi. Niech no tylko

którykolwiek z wnuków bąknął o czymś słodkim, niech no się dzieciom albo zięciom deser jaki zamarzył, stara Mańczakowa już dreptała w stronę barku i z szerokim uśmiechem pod tytułem: „Proszę, kochani! Częstujcie się, na zdrowie!”, pokazywała zieloną salaterkę. Ochota na jakiegokolwiek słodkości przechodziła błyskawicznie. Nikt nie chciał nawet jednej landrynki, może dlatego, że nie było możliwości poczęstować się jedną. No, chyba żeby ktoś zabrał ze sobą młotek oraz dłuto i zgodnie z kanonami kowalstwa artystycznego jedną landrynkową kulkę odłupał od wielkiej słodkiej skamieliny.

Rodzina patrzy na swoją nestorkę z sympatią, a czasem nawet z podziwem. Takiego zmysłu oszczędności nikt nie ma, ale też talentów gospodarczych wszyscy mogliby jej zazdrościć. „Zróbcie z niej ministra finansów, to w pół roku załata dziurę budżetową, a potem zacznie wypracowywać zyski” - powiadał o niej wnuk, uczeń liceum ekonomicznego, i trudno było chłopakowi odmówić racji.

Owszem, do szaleństwa potrafiły doprowadzić uwagi starej Mańczakowej: „Nie zapomnij zgasić światła, prądu za darmo nie dają” albo: „Myjesz się w tej łazience jak francuska kokota, czy ja ciepłą wodę mam gratisowo ze spółdzielni? Zimną się myj! Zdrowiej jest!” ewentualnie: „Nie wiesz, co robić, to się połóż spać! Póki co wyspać się można za darmo! Póki co...” - tutaj złowieszczo zawieszala głos, jakby w mózgownicy jakiegoś sprytnego urzędasza już roił się pomysł na wprowadzenie podatku od drzemki.

Takich złotych uwag stara Mańczakowa potrafiła rzucić kilkanaście dziennie. Ale miała też wyczucie taktu - jak się komuś naprzykrzyła swoją uwagą, to w formie przeprosin i pocieszenia częstowała obraźliwego legendarną landrynką. Obrażalski z miejsca zmieniał się w zadowolonego przyjaciela całej ludzkości, o sprawie zapominał, a uśmiechał się szeroko, bo - jak na razie - uśmiechać się też można w pełni gratisowo.

Przez ponad siedemdziesiąt lat i ekonomia, i świat finansów za nic miały starania i talent starej Mańczakowej. Mimo wielkiego zaangażowania, kreatywności i niepodważalnych umiejętności nie dane jej było zgromadzić fortuny, nie wygrała w totka, nie zbudowała willi pod miastem, jej trzypokojowe mieszkanie miało znacznie niższy standard niż apartamenty serialowych bohaterów.

Wszystkich bogatszych od siebie - z wyjątkiem serialowych bohaterów, rzecz jasna - uważała za „tałatajstwo i złodziejstwo”, bo skoro ona, dzień w dzień wypruwając flaki i żyły, nie potrafiła się znacząco dorobić, to niby jak robili to inni? I w tej kwestii nie było ze starą Mańczakową żadnych dyskusji. Tałatajstwo i złodziejstwo panoszyło się wszędzie, i to w ilościach hurtowych.

Dopiero teraz, dobrze po siedemdziesiątce, los postanowił się odwdziżyć. Owszem, ładnie ją złośliwiec wyczekał, jednak w najmniej spodziewanym momencie, gdy już nadziei specjalnych nie było, dał jej wreszcie gigantyczną szansę. Majątek - i to spory - był na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło sprzedać swój czas. „No kurczę - pomyślała stara Mańczakowa - tyle lat żyję, tyle lat kombinuję, a to takie prościutkie było...”. Oczy rozbłysły wizją zysków, miły dreszczyk po ciele starej Mańczakowej przeszedł, zaś utrzymany w doskonałej formie umysł już wyliczał i kalkulował, ile to można zarobić. Wszystkie kalkulacje mówiły wprost - pierwszy raz w życiu stara Mańczakowa będzie bezdyskusyjnie bogata. I to był najlepszy prezent, jaki mogła dostać na siedemdziesiąte piąte urodziny.

Mańczakowa była w stanie zrezygnować z dwudziestu trzech godzin dziennie. Ostatnią, dwudziestą czwartą, postanowiła przeznaczyć na podliczanie zysków i upajanie się bogactwem. Przecież ona dziennie będzie wyciągać trzy emerytury! Dziennie! Wcale nie chce żadnego wolnego, chętnie odsprzeda niedziele i nawet święta, bierzcie sobie to wszystko w cholere, skoro tak dobrze chcecie mi za to zapłacić.

Stara Mańczakowa będzie teraz zarabiać tyle co wielkomięjskie elity, co serialowe gwiazdy. Pytanie tylko, czy te zarobione pieniądze opodatkują? Jeśli tak, to Jezus Maria, na stare lata stara Mańczakowa wpadnie w trzeci próg! O matko! Ot, siła rewolucyjnych zmian - przez całe świadome życie gardłowała, aby łupić podatkami najbogatszych, bo przecież wiadomo, że wszystko to „tałatajstwo i złodziejstwo”, a na siedemdziesiąte piąte urodziny stała się zdeklarowanym gospodarczym liberałem.

- Niech fiskus coś zyska od naszych uczciwie zarobionych pieniędzy! - tłumaczyła każdemu, komu starczało cierpliwości, by wysłuchać nowej ekonomicznej filozofii starej Mańczakowej.

A w jej głowie kanonada liczb, fontanna rachunków i ocean dobrych wiadomości. Przecież jeśli uda się jej sprzedać kilkanaście lat z rządu, to kto wie, może ją do grobu położyć jako milionerkę! Milionerkę! Czujecie to? Ona, stara Mańczakowa, która niedawno kantowała osiedlowy dyskont na osiemdziesiąt groszy, teraz będzie spała na milionach! Kupi sobie ze trzy świeże pietruszki, jak ją tylko najdzie wielkopański kaprys. Się ma miliony, to się kupuje tyle świeżej pietruszki, na ile się ma ochotę.

Dlaczego dawniej takiej możliwości nie było? Przecież życie starej Mańczakowej to nieustanna walka o lepsze jutro, ciągłe kombinowanie i oszczędzanie, i upokorzenie - że inni mają więcej, że trawa u sąsiadów bardziej zielona, a dzieci bardziej uzdolnione. Ona lekką ręką sześćdziesiąt lat z tej swojej siedemdziesiątkipiątki by spieniężyła. Zwłaszcza po tak korzystnym kursie.

Dopiero teraz perspektywy stały się oszałamiające i właściwie nieograniczone. Bo, powiedzmy sobie szczerze, jak dzień spędza stary Mańczak? Wstanie, przeczesze się, siada przed telewizorem i robi się wieczór. A dwa obiady potrafi, darmożjad, w siebie wepchnąć, przez co koszty rosną. I już mózg starej Mańczakowej podpowiada, bodźce wysyła, inspiruje, że gdyby stary Mańczak i swoje godziny wyprzedził, to nastąpiłaby maksymalizacja zysków.

Po co godzinami w fotelu wysiaduje? Kiedy takich możliwości świat nie dawał, to mógł sobie siedzieć, do usranej śmierci mógł sobie siedzieć i nikt by mu złego słowa nie powiedział. Jeszcze niedawno tak mu stara Mańczakowa gderała nad uchem: „Siedź, stary przyku, gdzie będziesz po próżnicy latał, jeszcze zelówki zedrzesz i na piwo będziesz chciał, to już lepiej siedź. Siedzenie, na razie, darmowe jest. Telewizor oglądaj, ale lampę zgaś! Albo na odwrót, jak chcesz czytać, to lampę zostaw, ale telewizor wyłącz. Prądu gratisowo z elektrowni nie dostaję. I nie gadaj mi o podzielności uwagi, tylko się decyduj - telewizor albo lampa!”. No, ale wtedy jeszcze nikt nie płacił za godzinę sowitego grosza. Nikt jeszcze nie miał świadomości, że jak człowiek niewinnie siedzi w fotelu, to jest frajer pompka, bo zamiast godziny takiego bzdurnego przesiadywania może mieć wypchany portfel. I takiego marnotrawstwa stara Mańczakowa zdzierżyć nie mogła.

Mąż pieniądze lubił, czemu nie. Mało jest, tak naprawdę, racjonalnych powodów, dla których człowiek mógłby zniechęcić szelest stuzłotówek. Może i nie są to specjalnie wyrafinowane dźwięki, może melodia marna, ale jakoś człowiekowi różniej na duszy się robi, kiedy banknoty szeleszczą, a monety brzęczą. I stary Mańczak pieniądze lubił, czemu nie, jak każdy, ale bez przesady, nie na tyle, aby rezygnować ze swojej ulubionej życiowej czynności - wygrzewania starego fotela. Tu akurat Mańczak nie uznawał kompromisów. Mógłby i sam prezes Banku Światowego ofiarować mu wszystkie rezerwy ze skarbcza, mógłby Związek Zawodowy Arabskich Szejków przekupywać starego Mańczaka lwią częścią swoich dochodów i niewiele by z tego wyszło. Nie było takiej sumy, na którą mógłby stary Mańczak się połączyć. Inaczej - może i była, ale do tej pory nikt jej Mańczakowi nie zaproponował. Siedzenie w fotelu traktował w kategoriach dóbr bezcennych. Gdyby na olimpiadzie wprowadzono dyscyplinę

sportu o nazwie fotelowanie, byłby multimedalistą. Jak Michael Phelps. „Zabierzcie mi, co chcecie. Ostatnie zęby, nerkę, resztkę włosów, ale fotel i gazetę zostawcie” - powtarzał jak mantrę stary Mańczak. Było mu naprawdę obojętne, czy pod fotelem piętrzyłby się plik banknotów, czy starych gazet. Jasne, wołałby banknoty, ale i gazety akceptował.

Takiej filozofii z kolei nijak nie mogła pojąć, nie wspominając o akceptacji, stara Mańczakowa.

- Najpierw zarób, sprzedaj jakieś pięć czy dziesięć lat, a potem będziesz mógł sobie siedzieć. Do usranej śmierci! Jak zarobisz, to siedzenie w fotelu będzie ci się słusznie należało. Wtedy będzie cię na ten luksus stać. Za swoje będziesz siedział! - jak komu dobremu tłumaczyła.

- Mnie już teraz stać! Siedzę w fotelu i wara ode mnie! Mnie nie stać, aby tak beztrudno zrezygnować z pięciu czy dziesięciu lat - walczył o swoje stary Mańczak.

- Ale za dziesięć lat siedziałbyś jak pan, a teraz tkwisz tu jak ostatni dziad i łachmyta! - wykrzykiwała stara Mańczakowa i tu spór wkraczał na ścieżkę epitetów, jak to w przypadku sporów małżeństw z czterdziestoletnim stażem bywa.

A kiedy mijały ciche dni, stara Mańczakowa wracała do argumentów merytorycznych.

- Lepszy fotel byś sobie kupił! Wygodniejszy! - Argument może i niegłupio brzmiący, ale zupełnie nietrafiony. Jak ktoś od dwudziestu lat pośladki lokuje w jednym fotelu, to właśnie on wydaje mu się najwygodniejszym meblem pod słońcem. Wyrażenie „stary fotel” to kategoria niemal z pogranicza metafizyki i religii życia. Jeśli ktoś zmienia sobie ten ulubiony rok w rok, to w ogóle nie ma szansy dotrzeć do jego sensu i istoty, jest zwykłym frajerem i nigdy, ale to nigdy nie pożyczka mu się nawet złotówki, o wspólnym oglądaniu meczu nawet nie mówiąc.

Perspektywa zarobku nie przysłoniła jednak starej Mańczakowej zdrowego rozsądku i zdolności logicznego myślenia. Otóż stary Mańczak mógł sobie pół godziny dziennie bezkarnie w fotelu posiedzieć. Jak lubi - niech ma. Własna żona nie zabierze mu przecież życiowej frajdy. Pół godziny - jak najbardziej się należy. Ale zostają dwadzieścia trzy godziny i trzydzieści minut, które stary Mańczak powinien sprzedawać. Bo to się po prostu opłaca, to jest czysty zysk i nie ma sensu dyskutować z idiotami, którzy takiej szansy nie chcą wykorzystać. Stary Mańczak najwidoczniej musiał być idiotą, bo nie chciał. Możliwe, że był nawet idiotą skrajnym, bo on tę całą hecę ze sprzedawaniem czasu postrzegał nie w kategoriach szansy, ale zagrożenia.

Trudne dni nastąpiły w mieszkaniu starych Mańczaków.

- Swoje godziny sprzedawaj! Najlepiej wszystkie!

Bogatsza będziesz, a ja będę miał święty spokój! - pokrzykiwał stary Mańczak.

- A to dopiero trzeba głupim być! Forsę mu do kieszeni wkładają, a on woli sobie w fotelu posiedzieć! - wytwornie polemizowała stara Mańczakowa i dyskusja trwała w najlepsze. Takie konwersacje mają jedną cechę wspólną - nigdy nie prowadzą do żadnych sensownych wniosków, za to pozwalają do woli się nagadać. Im dłużej trwają, tym ostrzej szanowni oponenti bronią swoich racji, tym bardziej się zacietrzewiają, tym trudniej zgodzić się z opiniami przeciwnika. Rzecz jasna - ten schemat sprawdza się nie tylko w przypadku małżeństw z czterdziestoletnim stażem, ale w związku starych Mańczaków sprawdzał się zawsze, i to ze szczególną wyrazistością.

Nagadali się, nawrzucaли sobie od najgorszych, poobrażali się na wszelkie możliwe sposoby, a kończyło się tak, że stara Mańczakowa szła handlować czasem, a stary Mańczak spokojnie i dostojnie trwał w swoim fotelu. Co sobie podyskutowali, to ich. Tej frajdy nikt im nie odbierze.

Dzień starej Mańczakowej trwał niecałe 60 minut. Portfel coraz grubszy, konto coraz przyjemniej nabrzmiało, bank Mańczaków coraz złotsze i platynowsze karty proponuje oraz obsługę bez kolejki, tylko że, kurczę blade, nawet nie ma kiedy tego wydać.

Ba! Stara Mańczakowa nie ma nawet kiedy podliczyć zysków. Wie, że ma dużo, że więcej niż kiedykolwiek, ale ile konkretnie - nie sposób stwierdzić.

Już by nawet trochę odpuściła, już by sobie dzień wydłużyła do pięciu, może nawet ośmiu godzin, ale przecież nie po to przez tyle czasu spierała się z mężem, żeby teraz tak głupio rację mu przyznać. Na kogo by w jego oczach wyszła? Na chciwą i głupią, w dodatku natrętną babę. A tak jest po prostu zaradną kobietą z głową do interesów. Stara Mańczakowa, ale młoda bizneswoman. Skuteczna. Przynosząca do domu coraz większe zyski. Realizująca się zawodowo. Kreatywna. Niebojąca się wyzwań. Lwica małego i średniego biznesu. No w ogóle - wielka postać światowej finansjery.

Z kolei stary Mańczak w fotelu cały boży dzień spędza, każdą gazetę czyta z nekrologami i ogłoszeniami drobnymi włącznie, na każdy problem o charakterze globalnym czy lokalnym ma już wyrobioną i ugruntowaną opinię. Tylko przedstawić jej nie ma komu, bo z żoną choćby przez kwadrans pogadać jest równie ciężko, jak umówić się na jogging z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Nie tylko do kogo, ale też nie ma i po co gęby otworzyć, bo obiad oczywiście nieugotowany. Niby kiedy stara Mańczakowa ma przy garach stanąć? Ledwie parę ziemniaków by obrała, zrobiła surówkę i już by miała jutro.

Siedzi zatem w fotelu stary Mańczak - zły i głodny, nawet by małżonkę zdrowo opieprzył, że takie życie bez sensu jest, ale weź tu opieprz człowieka, którego nigdy nie ma. Już go nawet wątpliwości nachodzą - może ustąpić, może sprzedać te swoje dwanaście godzin, drugie dwanaście żona sprzeda i jakoś to się poukłada. No, ale przecież nie po to takie ostre boje retoryczne toczył, nie po to małżonkę od najgłupszych i najchciwszych powyzywał, żeby teraz przeproszać i do błędu się przyznać. Na kogo on by w jej oczach wyszedł? Na frajera ostatniego, co woli w fotelu siedzieć, niż parę złotych do domu przynieść.

I jeszcze miałyby świętą rację! - wyrzucał sobie stary Mańczak, bo w końcu ile można czasu w fotelu przesiedzieć? Żona się męczy, jakkolwiek patetycznie to zabrzmi, ale w całości niemal życie poświęca, a on tylko strony w gazecie przekłada.

Jeszcze jedna kwestia starego Mańczaka niepokoi. Przecież za pół roku, a za rok to już w ogóle, ze swo ją skromną emeryturką przy żonie zwykłym dzia dem będzie. Małżonka z dnia na dzień majątek po mnaża - i nie jest to metafora, tylko rzeczywistość nie ma nawet kiedy pieniędzy przeliczyć, a on tkwi w fotelu i zaczytuje się w prasie. No to przeproszam bardzo - stary Mańczak ma być na łasce i niełasce swojej drugiej, lepszej połowy? Lepszej jak lepszej, ale bogatszej z pewnością. Niech no sobie stara Mańczakowa limuzynę sprawi - niedługo będzie ją stać - to czy on zdoła z fotela się podnieść i jechać w charakterze pasażera obok małżonki?

Już oczyma wyobraźni widzi, jak na parkingu przed blokiem wsiadają oboje do auta... Ona w wytwornej białej sukni, perły dyndają radośnie na szyi, drzwiczki jej lokaj podtrzymuje, uwaga!, pierwsza dama osiedla do limuzyny wsiada. Uwaga! Stara Mańczakowa na tylnym siedzeniu zadek umieściła. Ludzie w oknach klaszczą, uśmiechają się przyjaźnie, kwiaty rzucają, jak królową starą Mańczakową traktują.

A teraz wsiada on, stary Mańczak. W wytartym swetrze, flanelowej koszuli od miesiąca niezmiętej. W spodniach dziura na tyłku, na nogach trzewiki pościerane, a jako wartość własną wnosi do limuzyny plik starych gazet i czasopism. „Wiesz, kochanie, jak by się nam w podróży zaczęło nudzić!” - przekonuje małżonkę.

Ludzie śmieją się, gwizdzą i buczą. No, gdzie tak dziad ze starą gazetą do takiej damy i limuzyny się pcha? Gdzie on tam pasuje?! Te, Mańczak, na fotel wracaj, tam twoje miejsce! Gdzie ci, emerycie z wytartym portfelem, do złotej limuzyny i kobiety biznesu, co?!

Słysząc nawoływania: „Rozwiedź się z nim! Wyrzuć dziada na bruk! Mezalian!

Mezaliani finansowy!”. Stary Mańczak ledwie uruchomił wyobraźnię, a już się czerwony ze wstydu zrobił, już go ten wygodny fotel coraz bardziej w pośladki gniecie, już go sumienie nadgryza jak skorbut dziąsła.

Pieprzony wynalazek! Żle było? To się jakiś mądrała znalazł i zaczął kupczyć czasem. No i teraz stary Mańczak przez jakiegoś pajaca między młotem a kowadłem siedzi, bo fotel już nie ten sam, komfort psychiczny zniknął, małżeństwo ewidentnie chyli się ku upadkowi... Same straty wszystko z dymem poszło, tyle tylko, że pieniędzy więcej. Ale stary Mańczak jest teraz w takim stanie, że mu żadna forsa goryczy nie osłodzi.

- Gdzieś se wsadźcie te pieniądze! - pomstuje na nowy porządek światowy.

Nikt tego pomstowania jednak nie słyszy, bo stara Mańczakowa właśnie poszła sprzedać swoje dwadzieścia trzy godziny z najbliższego wtorku.

Równe siedem lat Mańczakowa na pieniądze zamieniła i powiedziała: „Stop!”. Teraz to ona jest wielka dama, zbyt wielka, żeby swoje cenne godziny na marne drobniaki wymieniać. Złodzieje jedne - przez całe siedem lat ani razu nie podnieśli stawki. A inflacja? A koszty własne? A rewaloryzacja? Jeszcze im na koniec współpracy stara Mańczakowa napyskowała jak za swoich najlepszych lat, ale tak naprawdę nie było komu.

A widzieliście torebkę starej Mańczakowej? Śnieżnobiała, wysadzana klejnocikami, zamykana skuwką z czarnego złota i wypchana po brzegi żywą gotówką. Każda panna młoda mogłaby do ślubu kościelnego iść z taką torebką, a weselni goście nie o jej kwiatach by gadali, nie bukietem róż by się zachwycali, nawet krój białej sukni nie wywołałby takiego zamieszania. Nawet plotki, że pan młody w wieczór kawalerski przyprawił rogi ukochanej, nie miałyby tej siły rażenia co zazwyczaj. Wszyscy gadaliby jedynie o tej cudownej, niezemskiej torebce.

A stara Mańczakowa sobie z taką chodzi na co dzień, jeszcze prowokacyjnie do pełna szmałem wypycha i radośnie, jak nastolatka, wymachuje nią na wszelkie możliwe strony świata. Niech patrz! Niech zazdroszcz! Niech nawet znieawidzą, ale okraść nie dadzą rady, bo za starą Mańczakową trzech drabów z ochrony krok w krok łązi. A co! Kto bogatej Mańczakowej zabroni? Wynajęła obstawę na stare lata i teraz po osiedlu spaceruje jak celebrytka w chwilach świetności.

Czuje się rewelacyjnie, młodo; jak ją cokolwiek zaboli, to od razu do apteki leci i najdroższe specyfiki nabywa. Żadne tam syntetyki, żadne koreańskie zamienniki. Oryginalnie ma być - amerykańskie albo niemieckie piguły mają utrzymywać starą Mańczakową w doskonałej formie. W jej wieku na zdrowiu oszczędzać nie można. Tak jest, proszę pakować, pani magister, dziękuję, reszty nie trzeba.

Majątek przeznaczona na kremy przeciwzmarszczkowe i odnowę biologiczną. Jej doba znów liczy dwadzieścia cztery godziny, więc czasu ma aż nadto. Forsy też nie brakuje, więc teraz walczy o młodzieńczą urodę. Energii i chęci ma mnóstwo, pomysłów i planów życiowych aż nadto, a o przyszłość w ogóle się nie martwi, bo w razie czego znowu kilka godzin sprzeda i na swoje wyjdzie.

Jak ją fantazja najdzie, to do Paryża poleci na weekendowe zakupy. Co prawda, Paryż ją drażni i męczy - za dużo ludzi, sami młodzi i jeszcze gadają tylko po francusku. Stara Mańczakowa, niestety, przez całe życie nie zdążyła się bliżej zapoznać z narzeczem Moliera, więc zostają jej jedynie sklepy samoobsługowe. Poza tym - mówmy szczerze - nawet dla tak majątnej kobiety jak ona, w Paryżu drożyzna. Przynajmniej w okolicy Pól Elizejskich, bo po paryskich peryferiach to starej Mańczakowej się włóczyć nie chce.

No, ale jak ją ktoś przypadkowo zapyta: „A niby skąd ta ładna garsonka, pani Mańczakowa? Gdzie pani kupiła?”, to ona składa usta w dzióbek i oczywistym tonem stwierdza: „Takie garsonki można kupić tylko w Paryżu!”. Dla takich chwil warto żyć, dzięki takim

momentom stara Mańczakowa wie, że jest na szczycie.

Ludzie w jej wieku bywają w Ciechocinku i Busku-Zdroju, ona po Paryżach i Nowych Jorkach się rozbija. Siedemdziesiąt pięć długich lat i siedem nieco krótszych czekała na ten moment i nie widzi żadnego, najmniejszego powodu, aby wprowadzać jakiegokolwiek samoograniczenia.

Na pokładzie samolotu drinka walnie, a ponieważ są darmowe, to i cztery wypije. Nawet zaczęła - pierwszy raz w życiu - jakieś chude papierosy palić. Co prawda, brzydko później z ust pachnie, ale jak się siedzi na ławce w paryskim parku, to grzech dymka nie puścić. Nawet symbolicznego, ot tak, dla poprawy nastroju i wizerunku. Kilka małych i miłych sztachów, sympatyczne kółka lecą pod paryski nieboskłon i od razu widać, że stara Mańczakowa czuje się we Francji jak u siebie. Owszem, w paryskim parku nie można jarać, ale kto by tam się odważył zwrócić uwagę starszej ekscentrycznej turystce. A jeśli chcą ją karać mandatem - proszę bardzo, stara Mańczakowa chętnie zapłaci. Nie ma problemu. Proszę wypisywać blankiet, panie władzo, tu są pieniądze, dziękuję, reszty nie trzeba.

Ech, Paryż, tu się żyje, tu się oddycha. Stara Mańczakowa siada w swojej ulubionej paryskiej restauracji, zamawia lampkę wina, paryski wiatr smaga jej twarz - po prostu królowa życia pełną gębą. Jednego tylko jej brakuje. Mówiąc wprost - chłopa. Oho, tak, teraz by się przydał jakiś ognisty Francuzik, który najpierw sprośne słówko do uszka by szepnął, a później owe sprośności chciałby i umiał przekuć w czyn.

Ona nie zaprzecza, ma co prawda osiemdziesiąt dwa lata na karku, ale po pierwsze, ostatnie siedem to jej strzeliło momentalnie i tego nie da się policzyć tak normalnie, a po drugie, to ona wewnątrz czuje się na pięćdziesiąt. Może, góra, pięćdziesiąt trzy. A zewnątrz też nieźle. Owszem, kiedy prosi o lampkę wina, to kelner nie każe jej wyciągać dowodu osobistego, ale też nie patrzy na starą Mańczakową jak na babinę, tylko na elegancką, dystyngowaną panią.

Mógłby być brunetem, podejść, uśmiechnąć się szelmowsko, pocałować w rękę, zaproponować miły spacer i długą kolację przy świecach. Oczywiście - po kolacji grzecznie i samodzielnie do hotelu, ona nie z tych, co to na pierwszej randce nawet przy najprzystojniejszym Francuziku tracą głowę czy jakiegokolwiek inne części ciała. Potem, kto wie, może, stara Mańczakowa nie mówi nie. Zobaczymy, jak sytuacja się rozwinie. Niech się zabojad pomęczą, niech pozdobywa, niech pocierpi, prezentów poznosi.

Już stara Mańczakowa przy stoliku trenuje kokietujące spojrzenia i zalotne uśmiechy, już ma taktykę na cztery pierwsze randki obmyśloną, już prawą ręką odruchowo włosy poprawia, niewidoczny pyłek kurzu z garsonki strzepuje... No! Orły francuskiego podrywu! Podobno najlepsi kochankowie świata! Dalej, na linię startu i do ataku, bo stara Mańczakowa wiecznie tu czekać nie będzie...

A tu zero chętnych. Zero zainteresowania. Żaden, najbrzydszy nawet Francuz ani się nie obejrzy za starą Mańczakową, o propozycji wspólnej lampki wina to nawet nie ma co wspominać. I kelner podaje rachunek służbowym gestem, w starej Mańczakowej widząc jedynie trzynaście euro plus ewentualny na piwek. Ani mu przez głowę nie przejdzie, że tu ko bieta siedzi. Bogata. Na wyjeździe. Sama. Bez męża Głodna przygód. I wrażeń. Gotowa, niech już tam nawet po pierwszej wspólnej kolacji złamać zasady i uroczo się zapomnieć. Ba! Gotowa nawet odpuścić sobie kolację! Starczą lampka wina, bukiet kwiatów i miła rozmowa. Odrobina zainteresowania załatwiłaby sprawę.

Gdzie tam! Francuscy dżentelmeni okazują się być zwykłymi chamidłami, brutalami nieczułymi na wdzięki starej Mańczakowej. Niech płoną ze wstydu autorzy przewodników turystycznych, którzy obowiązkowo umieszczają w swoich dziełach zdanie: „Paryż to miasto miłości, a Francuzi to niedoścignieni mistrzowie ars amandi”. Akurat! Dupa błada! Zwykły

chwyt marketingowy...

Stara Mańczakowa zdegustowana i - cóż tu kryć - obrażona, tak jest, święcie obrażona na cały ten przereklamowany Paryż wsiada do najbliższego samolotu i do kraju wraca. Limuzyną przed blok podjeżdża, do mieszkania wkracza i pędem leci się przytulić do starego Mańczaka. A tu niespodzianka - mąż spod obowiązkowej sterty gazet bukiet krwistoczerwonych róż wyciąga.

- Tyś, kochanie, rację miała! Co to za życie w ogóle, w fotelu ze starymi gazetami?! Przepraszam cię najmocniej, człowiek stary i ciągle głupia Ale od dzisiaj to się zmieni. Z fotela wstanę, gazety wszystkie spalę, swoje godziny sprzedam i razem będziemy po świecie śmigać. Paryże nie Paryże, Londyny nie Londyny, Nowe Jorki nie Nowe Jorki, gdzie dusza zapagnie! - w taką przemowę stary Mańczak uderza i aż mu gula w gardle ze wzruszenia staje, że nijak nie jest w stanie nie tylko kolejnych słów wypowiedzieć, ale i zwyczajnie śliny przełknąć.

Tylko teraz niespodzianka jeszcze większa, bo stara Mańczakowa kwiatów przyjąć nie chce. Przeprasza też nie bardzo.

- Właśnie tyś miał rację. Wierny sobie zostałeś! Ideałów nie zdradziłeś! Grzecznie, jak Pan Bóg przykazał, tyłkiem fotel wygrzewałeś. Niewinnie prasę czytałeś. I się nie połaszczyłeś ani na pieniądze łatwy, ani na pokusy liczne - ze łzami w oczach wychwała małżonka stara Mańczakowa.

On zdziwiony obrotem sytuacji twardo trwa przy swoim.

- Ja świat ze starych gazet poznawałem, a ty w świat odważnie ruszyłaś! Nie bałaś się, i to jest wielka odwaga, to jest twój wielki sukces! - krzyczy niemal stary Mańczak, sprawy sobie nie zdając, że każdym kolejnym zdaniem akcją niebezpiecznie w stronę wenezuelskiej telenoweli kieruje.

Starej Mańczakowej znowu głupio się robi, kiedy tylko wraca myślami do podboju Paryża.

- Daj spokój, kochanie, rybo ty moja! A niby cię ten świat doceni?! Uwagę na ciebie zwróci? Nic z tego! Rachunki tylko będziesz płacił, o tak, do tego pierwsi, żeby forszę z ciebie zedrzeć. Ale nic więcej, nic ponad, w twoją stronę nie będą splunąć nawet chcieli! - z takim przekonaniem wykrzykuje swoje racje stara Mańczakowa, że mąż już nic nie mówi, tylko ją przytula i delikatnie po włosach gładzi.

Teraz będą się przytulać i gładzić po włosach codziennie. Rano razem do osiedlowego dyskontu wyskoczą, jakąś delikatną machlojkę na pietruszce wspólnie odwalą ewentualnie z gębą na kierownika kas skoczą. Koniecznie plik gazet kupią, aby stary Mańczak dalej zgłębiał tajemnice świata. On będzie strony przerzucać, ona oszczędności przeliczać i dumać, czy muszą jakieś godziny sprzedawać, czy starczy im tyle, ile jest. Bo jakoś im wspólnie spędzanego czasu brakuje, jakoś żal go tracić, nawet jeśli na tej stracie mieliby solidnie zarobić.

Patrzą na siebie z czułością, a odzywają do siebie tak, jakby im dialogi pisał natchniony poeta doby romantyzmu. On - mężczyzna, który pozostał wierny swoim ideałom, i ona - kobieta, która postawiła na swoim i odniosła życiowy sukces. Stary Mańczak i stara Mańczakowa. Na zawsze razem, szczęśliwi, zapatrzeni w siebie, zakochani. Doświadczeni, tym samym wyrozumieli. Para idealna. Po prostu happy end...



9. PODSUMOWANIA I POŻEGNANIA

Byli na tyle szczęśliwi, na tyle spełnieni, że nawet specjalnie się nie zmartwili, kiedy do ich drzwi zastukał Pan Kostucha.

W niedzielne popołudnie Grażyna przygotowywała rosół, Piotr zajął się ulubioną gazetą, wujo Franek kończył spisywać pytania do rodzinnego quizu. Babka Wiktoria z kolei kładła na twarz kolejne kilogramy kremu przeciwzmarszczkowego, który w połączeniu z sokiem z kiszonych ogórków miał rzekomo dać fantastyczne rezultaty. Czy jednak proporcje były odmierzone niezbyt dokładnie, czy sama receptura przereklamowana - nie wiadomo, ale faktem jest, że babka Wiktoria przypominała trzydziestoletnią kobietę. Do upragnionego ideału określanego mianem mitycznej niemal „pupci niemowlęcia” ciągle był kawał drogi.

Dzwonek nie zadzwonił, nikt nie zapukał do drzwi, nikt też wzorem świętego Mikołaja nie przelazł przez komin ani jak mało finezyjni włamywacze nie wszedł przez uchylone okno - Pan Kostucha po prostu stanął na środku salonu i z pełną galanterią z lekka się uklonił, rzucając niemal konferansjerską odzywkę:

- Witam niezwykle serdecznie! Jest mi szalenie miło gościć u państwa w tak piękne niedzielne popołudnie!

Jeszcze tylko dygnięcie w kolanach, szeroko rozstawione ramiona w geście jowialnego powitania, a całość podkreślona uśmiechem: „Młoda, piękna i arcytalentowana dupa w złotej sukni odbiera Oscara za rolę drugoplanową”. Gdyby rzecz działa się w cyrku, to w tym właśnie momencie orkiestra powinna spuentować całą sytuację klasycznym „tarararaaam!”, a publiczność przyjąć artystę burzą frenetycznych oklasków.

Rzecz działa się jednak w salonie prywatnego domu, orkiestry w ogóle nie było, a publiczności nawet do łbów nie strzeliło, aby przybyszowi dać brawka. Nawet grzecznościowe. Pan Kostucha, niespecjalnie zrażony tym, że jego entree nie spotkało się z życzliwym przyjęciem, uklonił się raz jeszcze, wyciągnął z kieszeni garść wizytówek i rozpoczął ceremonię osobistych powitań.

- Dzień dobry! Jestem Śmierć, mam nadzieję, że państwu przeszkadzam. To poniekąd moja rola. Owszem, niewdzięczna, niezbyt ceniona przez klientów, ale cóż począć... Taka praca! - nawijał. - Tu na wizytówce są wszystkie moje dane: komórka, stacjonarny, adres mailowy, namiary na stronę WWW i na firmę. Mój profil można też bez kłopotu znaleźć na Facebooku. Nie sądzę, aby chcieli się państwo ze mną kiedykolwiek kontaktować z własnej woli, ale na wszelki wypadek radzę schować. Ot tak, a nuż się przyda...

Pan Kostucha sprawiał wrażenie maksymalnego profesjonalisty. Wyrażał się pewnie, precyzyjnie i - co najistotniejsze - widać było, że lubi swoją robotę. Gdyby nie specyfika obecnej branży, spokojnie poradziłby sobie jako makler giełdowy, handlarz meblami czy nawet rzutki i dynamiczny dziennikarz telewizyjnego kanału informacyjnego. Tylko kto niby przyjmie do roboty gościa z takimi doświadczeniami w CV? Jednak ani godna podziwu prezencja, ani profesjonalne przygotowanie, ani nawet w miarę sympatyczny sposób bycia nie przekonały Piotra.

- A zapukać do drzwi nie łaska? Jak pan tu, do jasnej cholery, wszedł?! - zapytał ostro. Aż prosiło się o cytaty z legendarnej rodzimej komedii, kiedy to w bliźniaczej sytuacji kasiarz Kwinto bez chwili wahania odpowiedział: „Trzeba było uważać!”.

Pan Kostucha najwidoczniej jednak w tych kręgach kulturowych nie gustował.

- Normalnie. Przez ścianę. Dostaliśmy nowe możliwości, bo ostatnimi czasy w ogóle nie

dało się pracować. Przecież pamiętam, że kilka, może kilkanaście lat temu spokojnie podchodziłem pod każde drzwi, pukalem i głosem obniżonym do timbre'u filmowego amanta recytowałem: „Jestem Śmierć! Proszę otworzyć!”. To aż dreszcze szły po plecach, rosło poczucie misji, piękne czasy były. No a teraz - spuwentował swój wywód - wszędzie, kurwa, pozakładali domofony!

Pan Kostucha przeprosił za obleśny wtręt, obiecał szybko wrócić do dobrych manier, po czym kontynuował listę skarg, żalów i pretensji pod adresem współczesności.

- Człowiek stoi jak palant przed tą cholerną domofonową skrzynką, przez którą najczęściej i tak nic nie słyhać. I odchodzą najgłupsze dialogi na świecie: „Może pan otworzyć? Jestem Śmierć!”, a skrzeczący głos z domofonu: „Kto? Ciec?! Przecież cieć ma własny klucz...”. I stoi się bezradnie jak palant, aż się kto ulituje i na klatkę schodową wpuści. A tu się liczy każda chwila, potencjalny klient może nie wytrzymać napięcia psychicznego związanego z moimi odwiedzinami, zarygłować szafą drzwi albo sam wyskoczyć z ósmego piętra na chodnik przed blokiem. I ja potem muszę zjeżdżać po niego na dół. A czy ja mam czas na takie zabawy, żeby sobie za klientem jeździć windą z góry na dół, z góry na dół? Niby kto ja jestem - Pan Kostucha czy jo-jo? Jak już jestem z powrotem na dole, to on leży porozrywany na kilkaset kawałeczków. Dobrze, że w wolnych chwilach lubię puzzle poukładać, to jakoś daję radę. Ale koledzy z roboty mieli przechłapano. Stąd nowe uprawnienia - wyniki spadały, wydajność malała, kierownictwo się piekliło, to nasz związek zawodowy się poskarżył, że jest ciężko. Mentalność ludzka się zmieniła. No i nam przyznali taki przywilej, że możemy do klientów wchodzić przez ściany, bez uprzedniego dzwonienia czy pukania do drzwi. I właśnie z tej możliwości skorzystałem. Łatwiej, szybciej, bez ceregieli, no i efekt zaskoczenia większy, przyznacie chyba państwo? - skończył swój przydługi wywód Pan Kostucha.

- No, ale zgodzi się pan, że z dobrymi manierami takie niespodziewane najścia niewiele mają wspólnego? - wtrąciła się Grażyna.

- Może po prostu jest to odejście od obowiązujących kanonów, ale nie dopatrywałbym się tutaj wykroczenia przeciw dobrym manierom. Styl, prezencja, kultura, delikatność, czyli wszystko to, co w potocznym rozumieniu składa się na owe dobre maniery, to mój zawodowy obowiązek, łaskawa pani... - Pan Kostucha uklonił się z wdziękiem dziewiętnastowiecznego kamerdynera. - Przecież tylko dbałością o formę i, powtórzę raz jeszcze, dobre maniery możecie sobie państwo tłumaczyć, że tak długo trwa rozmowa wstępna. - Sarkastyczny uśmiech Pana Kostuchy nie pozostawiał wątpliwości, kto w tej rozgrywce rozdaje karty tudzież, parafrazując komentatorów koszykówki, kto na parkiecie był playmarkerem.

- Jednak przyzna pan, że taka klasyczna śmierć to chyba inaczej chodzi ubrana do roboty, prawda? - z nieoczekiwanej flanki zaatakował gościa Wielki Wynalazca, wuj Franciszek.

Pan Kostucha skłonił się uprzejmie.

- Doceniam państwa spryt i przebiegłość, ale zapewniam, że taktyka polegająca na zagadywaniu jest nieskuteczna. Serdecznie i wyczerpująco odpowiadam na trzy pytania. Pierwsze brzmiało: „Jak pan tu, do jasnej cholery, wszedł?”, drugie dotyczyło dobrych manier, a trzecie padło przed chwilą, więc za moment skończą się dusery! Swoją drogą, przyznam szczerze, że liczyłem z państwa strony na nieco większą inwencję. Można było tak sformułować pytania, aby rozmowa trwała znacznie, znacznie dłużej ... - Pan Kostucha złapał się w kabotyńskim geście za głowę. - Ale ja tu gadu-gadu, a pan Franciszek czeka na odpowiedź dotyczącą naszego służbowego uniformu...

- Skąd pan mnie zna? - przerwał ostro Wielki Wynalazca.

- Co prawda, to czwarte pytanie, ale niech będzie. Panie Franciszku, przecież pana zna każdy. A propos, da mi pan autograf dla siostrzeńca? Ma jedenaście lat i strasnie pana

podziwia... - Pan Kostucha uśmiechnął się przymilnie, a wuj Franciszek nie bez poczucia dumy sięgnął po długopis i kartkę z notesu. - A teraz do rzeczy. Owszem, stereotypowy wizerunek śmierci nieco odbiega od mojego stroju. To już nie jest długi biały płaszcz z kapturem i kosa pod pachą. Człowiek szedł tak ubrany po klienta mieszkającego w bloku, a na każdej klatce stało szesnastu takich samych gości. Może nie każdy w białej bluzie, niektórzy zamiast jednej kosy mieli trzy, ale poza tym byli identyczni. Tym samym poprzedni, tradycyjny kostium nieco się zdezaktualizował, stracił, że się tak wyrażę, moc uwodzenia. To po pierwsze. Po drugie - kwestie estetyczne. To już zaczynało trącić październikiem, było z lekka obciachowe. Ni to sukienka, ni to szata ozdobna, zamiast trwogi śmiech na sali, facet przebrany za niewiastę niemalże i kosą wymachuje. Żałość, szanowni państwo, żałość. Nie tylko zresztą stroje, ale i metody zarządzania mamy rodem z największych światowych korporacji...

- Ooo, to z Michasiem pan powinien się umówić, na pewno coś fajnego by panu doradziła - wycedził pod nosem wuj Franciszek. Pan Kostucha niespecjalnie zwrócił uwagę na słowa wielkiego wynalazcy.

- Garnitury, laptopy, palmtopy, bluetoothy, słuchaweczki w prawym uchu... To jest ten image, to jest ten styl, w którym i ja, i moi koledzy czujemy się znacznie pewniej. Mam nadzieję, że państwa ciekawość została zaspokojona, przynajmniej w podstawowym zakresie. - Zawiesił głos, a ponieważ nikt nie zaprotestował, otworzył laptop i - jakkolwiek złowrogo to zabrzmiało - przystąpił do wykonywania czynności służbowych.

Rzeczywiście, teraz w salonie nie aktor ze szkolnych jasełek siedział, nie ośmioletni szczył przebrany za kolędnika, który po wsi lata i cukierki wyłudza, nie filmowa gwiazda z horrorów klasy C, tylko najprawdziwszy człowiek sukcesu z włosami umazanymi żelem albo i może brylantyną, z firmowym krawatem opinającym śnieżnobiałą koszulę. I ta precyzja działań - zalogowanie się do systemu, sprawdzenie bezprzewodowego łącza, otwarcie potrzebnej aplikacji, uruchomienie programów antywirusowych - o tak, Pan Kostucha niejedno szkolenie musiał skończyć, i to zapewne z wyróżnieniem. Ech, ech, ech, chciałoby się rzec, gdyby każda branża wykonała taki milowy krok do przodu jak przedstawiciel świata kostuchopodobnych, to inaczej byśmy dziś wyglądali. Tobyśmy globalnym mocarstwem byli i potęgą.

- Szanowni państwo! Pragnę oficjalnie poinformować... - Pan Kostucha nastroił ton głosu na maksymalnie oficjalny z lekką domieszką nuty uroczystej - ...że przybyłem po panią Wiktorię. Już czas! Tylko przyznam szczerze... - tu z lekka stracił rezon - ...przyznam szczerze, że nie za bardzo ją dostrzegam.

Babka Wiktoria bez oznak śladowego choćby przerażenia skłoniła się przybyszowi z galanterią.

- No tak, trudno mnie rozpoznać, bo sobie ogórków na twarz ponakładałam. Takie tam dyrdymały starszej pani...- Z wdziękiem krygującej się nastolatki ściągała plastry i kawałkiem papierowego ręcznika ścierała kapiący na podłogę sok z żeńszenia.

Im mniej jednak ogórka na twarzy babki Wiktorii zostawało, tym bardziej w zdumienie popadał Pan Kostucha.

- Ja tu mam z centrali podane, że pani dwa miesiące temu skończyła dziewięćdziesiąt dwie wiosny...

Tymczasem stała przed nim młoda atrakcyjna trzydziestka, bez cienia zmarszczki na czole czy policzkach. Kobieta pełna subtelnej seksapilu, o pięknych dużych chabrowych oczach, inteligentnym spojrzeniu i perlistobiałym uśmiechu. A biustu Panowie! Miała tak idealnie okrągłe cycuszki, że na tych krągłościach można by młodzież uczyć geometrii Euklidesa.

Pan Kostucha, owszem, nie był ostatnio w najlepszej formie, przeciążony robotą,

niepotrzebnie wziął kiepsko płatne nadgodziny, ale też nie było z nim tak źle, aby nie potrafił odróżnić ponaddziewięćdziesięcioletniej matrony od trzydziestoletniej piękności.

- Hmm, chyba mamy do czynienia z jakimś nieporozumieniem. To niemożliwe, żeby pani miała dziewięćdziesiąt dwa lata... - podświadomie posłużył się techniką komplementu, na co babka Wiktoria odpowiedziała stosownym do sytuacji rumieńcem na policzkach i delikatnym uśmiechem. - Zaraz skontaktuję się z centralą, bo, wiecie państwo, ja pracuję w Departamencie Spraw Oczwistych, a pani przypadek taki właśnie miał być. Tymczasem, pani Wiktorio, jeśli już, to potrzebny byłby ktoś z Departamentu Spraw Nagłych ewentualnie z Departamentu Spraw Tragicznych. Zwłaszcza tych ostatnich nie polecam, bo to straszne prymitywy. Bezkształtne mięśniaki, zero stylu, zardzewiała węglarka na bocznicę ma więcej wdzięku... - Pan Kostucha wyrzucał z siebie setki słów, którymi nieudolnie starał się kryć zakłopotanie i niezręczność sytuacji.

Przez nikogo nieproszony zaczął dzielić się swoimi spostrzeżeniami na temat sytuacji w firmie, co mało kogo obchodziło, a z profesjonalizmem nie miało zbyt wiele wspólnego. Pierwsze pozytywne wrażenie zniknęło bezpowrotnie. Pan Kostucha w ułamku sekundy przestał być czarującym dżentelmenem, twardym samcem typu alfa, zdecydowanie i z wdziękiem wykonującym swoją robotę, a stał się spoconym nieborakiem i nieudacznikiem w zbyt sztywnym garniturze, któremu coś się popieprzyło w dokumentacji.

- Niech już pan nie grzebie w tym laptopie. Wszystko się zgadza. Babka Wiktoria ma dziewięćdziesiąt dwa lata, tylko nieźle się trzyma. I ni cholery jej panu nie oddamy! - nie zdzierzył wuj Franek zdenerwowany przesunięciem quizu na późniejszą godzinę. - Nie miałby kto z nami grać. Bez babki byłby niekompletny skład.

Pan Kostucha ewidentnie tracił grunt pod nogami. Owszem, różną klientelę w życiu zawodowym spotykał, nieraz przed mordobiciem musiał się bronić, nieraz mu rodzina klienta wypchaną kopertę do kieszeni wkładała, aby coś się dało przedłużyć, kilka tygodni chociaż na kredycie pojechać, a już grubszym słowem wielokrotnie był goszczony. „Takie są koszty” - tłumaczyli mu zwierzchnicy. Trzeba się po prostu uodpornić. Pan Kostucha jako jeden z większych branżowych talencików uodpornił się błyskawicznie, a nawet - wstyd przyznać - te pożałowania godne formy protestu czy przypochlebiania się sprawiały mu pewną frajdę. Ot tak, dawały złudne poczucie władzy i zaspokajały próżność. W takich chwilach mógł sobie wyobrazić, że odgrywa na tym padole jakąś istotną rolę, że nie jest jedynie przeciętnym gońcem, chłopaczkiem na posyłki, wykonawcą najmniej przyjemnej części operacji.

A tutaj jakiś ekscentryczny dziwak na wózku inwalidzkim każe mu się najzwyczajniej w świecie odpieprzyć od dziewięćdziesięciodwuletniej babuleńki, bo im trudniej będzie w quizy grać. Bo im się skład zdekompletuje. W dodatku ta babuleńka ma figurę modelki, jędrny biust i twarz popularnej aktorki z jeszcze bardziej popularnego serialu. „Urlop! Urlop! Koniecznie na urlop!” - powtarzał sobie w głowie Pan Kostucha, ale nawet u niego w branży - czy raczej przede wszystkim u niego w branży - nie bierze się wolnego w trakcie akcji. To mniej więcej tak jakby strażak w kluczowym momencie gaszenia chałupy wyjechał na długi weekend do Jastarni. Nie wypada, nie przystoi.

Ba! Dziewięćdziesięciodwuletnia staruszka dysponująca fizycznymi atrybutami seksbomby mówi mu prosto w oczy, że jej się szkoda Pana Kostuchy zrobiło i gotowa jest mu dać szansę. Tak, dokładnie tak mówi! Szansę! Ona mu będzie szansę dawać! Jemu! Bezlitosnemu profesjonalście, wysłannikowi zaświatów, posiadaczowi ostatecznej tajemnicy. W na siłę wymyślonej analogicznej sytuacji skazaniec przed plutonem egzekucyjnym chwilę przed komendą: „Cel! Pal!”, bierze głęboki oddech i mówi pewnym głosem: „Panowie, żal mi się was zrobiło, dam wam jedną, ostatnią szansę...”.

Kobieta z dziewięcioma krzyżkami na plecach proponuje mu regularny pojedynek hazardowy. Tyle że nie w królewskiego pokera mieliby zagrać, nie w prymitywne oczko ani nawet nie w dziecięce papier, nożyczki, kamień. Staruszka chce się pojedynkować w domino. Tak, nie przesłyszał się. W domino!

Złowroga zimna śmierć, postrach życia doczesnego Pan Kostucha będzie sobie ciągnął plastikowe prostokąci z jutowego woreczka i w zależności od efektów albo weźmie ze sobą dziewięćdziesięciodwuletnią starszą panią do hadesowego królestwa, albo też - przy braku szczęścia - odejdzie precz z pustymi rękami. Ożeż w dupę jeża! To już tak nisko upadliśmy... Lepiej już było z tym białym kapturem na ryju chodzić, byłby mniejszy obciążenie wizerunkowe. I złowroga zimna śmierć siada na drewnianym zydelku - o tempora! o mores! - i zaczyna wyciągać haniebne plastikowe białe płytki z czarnymi kropkami oznaczającymi liczbę punktów.

Bo i też kalkulacja Pana Kostuchy nie była wcale taka głupia. Za nim stoi potężna siła - jakkolwiek patetycznie czy idiotycznie by to zabrzmiało - zmieniająca losy świata, więc cóż to dla niej za problem zmiażdżyć w domino dziewięćdziesięciodwuletnią staruszkę? Ot, wygra się partyjkę; jakby delikatne kłopoty się pojawiły, to może lekki kancik, małe szachrajstwo i cała wizyta - owszem, ciężka i niekonwencjonalna - zakończy się sukcesem. Najwidoczniej na hadesowej ziemi też żyli wyznawcy porzekadła o celu i uświęcającym go środku. Zwłaszcza że nie takie przekręty się robiło, byleby tylko postawić na swoim. Wygrać partyjkę w domino? Doprawdy, drobnostka.

Ile trwał ten upokarzający spektakl? Trzy minuty? Pięć minut było wszystkiego? Zimna złowroga śmierć, wielokrotnie nagradzany przez zwierzchników premiami i dyplomami za wydajność Pan Kostucha może trzy, cztery płytki na stolik wyłożył, kiedy nobliwa dziewięćdziesięciodwulatka dojechała do mety. Klęska, potwarz i upokorzenie. Toż przecież nawet niesławnej pamięci rycerz pięści, ostatnia nadzieja białych Gołota Andrzej przegrywał z większą klasą i honorem.

Zatrzęsły się ręce ze złości Panu Kostusze, zimny pot ze skroni począł cieknąć, a wulgaryzmy fruwały pod nosem jak boeingi na lotnisku JFK w Nowym Jorku. Wynik wizyty był nieubłagany. Nie tylko dziewięćdziesięciodwuletniej babuleńki nie potrafił - zgodnie z wytycznymi szefostwa - ze sobą przyprowadzić, ale i słowo honoru dał, że nikt ze świadków jego sromoty fatygowany przez niego nie będzie. Ani przez jego kolegów. Ani przez dalekich znajomych z pracy. Ani przez nikogo z tej branży. Co więcej, własnym podpisem słowo honoru na stosownym dokumencie potwierdził. Bo, prawdę mówiąc, czasy dzisiaj na tyle spisały, że honor trzeba jeszcze własnoręczną parafką potwierdzić.

Wyszedł Pan Kostucha z domu tych dziwaków zarówno z przeświadczeniem, że etos firmy po wieczność splamił, jak i z uczuciem dziwnego niepokoju. Przecież ci ludzie nie tylko ze śmiercią sobie poradzili, ale i uprzednio z czasem. Przynajmniej ta starsza pani, niedoszła ofiara Pana Kostuchy, która jak natchniona naparzała w domino... Coś wielkiego się stało, niewytłumaczalnego i niewyobrażalnego. Jak to ktoś przed laty w gazecie zatytułował sążnisty esej - coś pękło, się skończyło. Jakby końca dobiegła epoka dwóch niepodważalnych fundamentów - przemijania i odchodzenia. Owszem, buntowali się przeciw nim nieraz ludzie, złorzeczyli, przeklinali i - nawiasem mówiąc - trudno im było w kilku przynajmniej kwestiach odmówić racji. A tu po cichu, prawie że w przyjacielskiej atmosferze, w towarzystwie plastikowych płytek domina i jutowego woreczka tak przemijanie, jak i odchodzenie przestały mieć kluczowe znaczenie...

Drapał się w głowę Pan Kostucha, gorączkowo uruchamiając swoje półkule: „Tylko co ja im w raporcie napiszę? Co ja im, kurwa, w raporcie napiszę? No co?!”. I nie była to bezpodstawna rozterka...

W przeboju sprzed lat autorka tekstu mądrze postulowała, że nie o to chodzi, by złowić króliczka, bo sens i frajda tkwi w pogoni. Wizytę Pana Kostuchy śmiało można uznać za koniec gonitwy. Króliczek został złowiony. Brawo! Brawo! Gratulacje, wielki sukces. Mało komu się udaje... Ba! Jak do tej pory jeszcze nikomu się nie udało.

Problemy finansowe przestały dotyczyć ich dawno. Starość, czego najlepiej dowodzi przykład babki Wiktorii, nabrała zupełnie innego kolorytu. Do rangi najpoważniejszych problemów urosły katar albo - to już był naprawdę spory kłopot - zapalenie ucha. Choćby człowiek nie wiem jak chciał, to po prostu nie było się do czego przyczepić. Choćby człowiek mocno się starał, to i tak nie znalazłby powodów do narzekań. Najmniejszych.

Owszem, zawsze może się pogoda nie spodobać. Za ciepło. Za zimno. Grad. Męczący upał. Nieprzyjemna mgła. Za duży wiatr. W ogóle nie ma wiatru, wszystko stoi, nie ma czym oddychać. Za niskie ciśnienie, spać się chce bez przerwy. Za wysokie ciśnienie, wszyscy chodzą jak treser tygrysów przed premierowym pokazem trudnego numeru. Tak, narzekanie na pogodę zawsze miało jakiś sens, ale jeszcze przed wizytą Pana Kostuchy... A teraz? Wolne żarty. Jak się ma w perspektywie życie wieczne, to kwestie pogodowe siłą rzeczy schodzą na dalszy plan. Bo przecież kiedyś, wynika to choćby ze zwykłego rachunku prawdopodobieństwa, trafi się dzień z idealną pogodą. I takich dni będzie nieskończenie wiele.

Weźmy nawet sytuację ekstremalną. Założmy, że piorunochron jest akurat wybitnie bez formy i piorun z całej siły w chałupę walnie, to, bez dwóch zdań, zawsze są jakieś emocje. Pożar, wóz strażacki na sygnale, zbiegowisko, gapie; kto wie, jak efektownie walnie, to może i telewizja przyjedzie relację nadać. Może nawet ktoś z domowników przed kamerą stanie i opowie pani redaktor, jak to sobie spokojnie siedział nad talerzem pomidorowej, a tu jak nie huknie! Pani redaktor, to było straszne, musimy odbudować dach, poddasze i wyremontować kuchnię oraz pokój dziecięcy! W dodatku pranie, które akurat schło na poddaszu, całkowicie szlag trafił! Pani redaktor, najlepsza pościel i świąteczne obrusy poszły z dymem!

Tylko to są krótkotrwałe emocje. Dwa dni człowiek będzie przeżywał, przez tydzień poszłają się po zakładach ubezpieczeniowych, powypełnia odpowiednie kwity i będzie się musiał na jakiś czas przyzwyczać do obecności ekipy remontowej na dachu. Aha, no i jeszcze nową pościel i obrusy zakupić. I już. Po historii. Może anegdota trafi do rodzinnych annałów, może ktoś ją przy stole wigilijnym któregoś roku wskrzesi. „A pamiętacie, jak dwadzieścia cztery lata temu, tak pod koniec czerwca piorun nam w chałupę przygrzmocił? Ale było strachu, co?”

Albo wujowi Frankowi portfel niech ukradną. Nie ma co ukrywać - poziom adrenaliny się podnosi, cholesterol typu LDL człowiekowi aż buzuje, ale niby na ile takie emocje starczą? Że się na policję pójdzie zeznanie składać, to niby taka wielka rozrywka jest? Że do banku trzeba zadzwonić i karty kredytowe zastrzegać, to niby taka wielka frajda? No, dajcie spokój...

Przecież wujo Franek i tak się odkuje, nieważne ile w tym portfelu pieniędzy było. Masę czasu, niczym nieograniczoną masę czasu ma na to, by się odkuć, by nowe dokumenty powyrabiać i wreszcie o całej sprawie zapomnieć. Albo przytaczać ją w tonie smakowitej anegdoty z dreszczykiem emocji. Bo i czymże jest skradziony brązowy portfel - nieco sfatygowany, za to z luksusowej lamparcej skóry - w perspektywie wieczności?

Do tego doszło, że wujo Franek i Piotr zaczęli się bawić w kibiców sportowych. Z nudów bardziej niż z prawdziwego zaangażowania, ale lepsze to niż nic. Tydzień w tydzień siadali przed telewizorem, czekali na magazyn ligowy, skrupulatnie w kajecie notowali wyniki spotkań, na czerwono wypisywali strzelców bramek, podkreślali wyróżniających się graczy, typowali faworytów w następnej kolejce... Słowem, coś się zaczynało dziać. Po rundzie ich ulubieniec, filigranowy środkowy pomocnik z bajeczną techniką i mistrzowskim uderzeniem z rzutów wolnych, przeszedł do znieawidzonej drużyny. Z kolei znieawidzony napastnik znalazł się w

ich ulubionej drużynie i od tej pory należało zacząć mu kibicować albo znaleźć sobie nową ulubioną drużynę. A jeszcze się okazało, że i tak wyniki wszystkich meczów były ustalane tydzień przed ich rozegraniami. Jako że byli inteligentnymi ludźmi z poczuciem smaku - wujo Franek i Piotr dali sobie spokój. Jakoś ich kibicowska pasja nie porwała.

Hazard? W przypadku tej rodziny to rozwiązanie nie miało najmniejszego sensu. Niby co oni mogli wygrać? Kolejne miliony? Kartę VIP CASINO plus darmowego drinka podczas każdej wizyty? Honorowe krzesło na wyłączność przy głównym stole ruletki? A po jaką cholere ciągnąć zamrażarkę do lodu na biegun północny?

Spektakularna przegrana też nie była specjalnie kuszącą ofertą. Pomijając to, że porażka to dosyć ekscentryczna przyjemność, byli w o tyle korzystnej sytuacji, że klęska w ogóle nie wchodziła w rachubę. Ile zostawia w przepastnych sejfach kasyn, tyle bez problemu nadrobią. W ciągu miesiąca, no, chyba że ktoś naprawdę mocno by przyszałał - to góra w ciągu dwóch. Ot, samonapędzająca się maszyna, finansowe perpetuum mobile, uwspółcześniona wersja bajki o stoliczku, co to się sam nakrywał.

Poza tym - babka Wiktoria sprawdziła to dość dokładnie - żadne z kasyn nie miało w swojej ofercie stolika do gry w domino. I to ostatecznie rozwiązało kwestię hazardu. Na jego niekorzyść.

Nie za bardzo wypalił też pomysł uprawiania sportów ekstremalnych. Wujo Franek zamarzył sobie poskakać ze spadochronem. Owszem, w niedalekim aeroklubie krzyczeli, że człowiek na wózku inwalidzkim nie za bardzo powinien, że to rozrywka dla twardzieli, zdrowych i wysportowanych przedstawicieli gatunku homo sapiens i generalnie nie ma na to zgody. Zatem wujo Franek kupił ten cały aeroklub, a gdzie się znajdzie taki odważny, co to właścicielowi zabroni?

Pierwsze dwa skoki odbył pod kuratelą instruktora. Sympatycznie było, skoczyli, pooglądali matkę ziemię z lotu ptaka, wiatr im twarzę osmagał, w miarę zgrabnie wylądowali, czasza spadochronu ich nakryła i tyle było zabawy. Dlatego trzeci skok wujo postanowił oddać sam. Owszem, pan instruktor marudził, że to chyba trochę za wcześnie, że tak nie można, ale kto by tam panu prezesowi odmówił? Wuj Franek bez specjalnych problemów przekonał go, że spadochroniarstwo to w końcu sport indywidualny.

Zatem samolot po raz trzeci osiągnął odpowiednią wysokość, wujo Franciszek wyskoczył i celowo nie otworzył spadochronu. Jakież było zdziwienie całego aeroklubu - nie wspominając o biednym panu instruktorem trwającym w stanie przedzawałowym - kiedy wielki wynalazca po gwałtownym zderzeniu z matką ziemią otrzepał się, wdrapał na wózek, powiedział wszystkim „miłego dnia” i zaczął zbierać się na chatę. Wkrótce sprzedał aeroklub, a określenie „sporty ekstremalne” straciło swój pierwotny sens. Wuj Franek dowiedział się, czego chciał się dowiedzieć - Pan Kostucha okazał się człowiekiem honorowym.

Ani prowadzenie własnego biznesu, ani pielienie ogródka, ani nakręcenie filmu - nic, po prostu nic sensownego wujowi ani reszcie rodziny nie chciało wpaść do głowy. Własną firmę mieli, a Michaś na tyle twardo i samodzielnie zarządzał całością, że zajęcia specjalnie dla nich nie było. Do pielienia ogródka wynajmowali profesjonalistów zajmujących się pielieniem ogródków. A dobry film woleli sobie wypożyczyć bądź kupić.

Trwali w stanie ewidentnej, choć bezdyskusyjnie szczęśliwej nudy. Przestali zwracać uwagę na zazdrośników i zawistników. I tak ich przeżyją. Co do jednego.

Czasem tylko Piotr krzyknął: „Niech się coś, kurwa, wreszcie stanie, bo mnie szlag zaraz trafi!”. Ale to tylko tak, w chwilach słabości, kiedy doskonałość bytowania stawała się nie do zniesienia. Kiedy absolut zaczynał doskwierać. Ile takich wybuchów było? Jeden na kwartał, może na pół roku. A cóż to jest jeden delikatny przejaw złego humoru w obliczu

nieskończoności?

Inni raczej nie wybuchali. Pogodzeni z sytuacją spacerowali z obowiązkowym uśmiechem po domu bądź ogrodzie, a każdy ich gest, każdy ruch, każda wykonywana czynność obwieszczały całemu światu: „Ale mi się udało! Ale ja jestem szczęśliwy! Ale mi dobrze!”. Bo i owszem, w ich sytuacji jakiegokolwiek narzekanie czy gderanie pod nosem byłoby złośliwym czepianiem się. Ponurym marudzeniem. Zwykłym krytykanctwem.

Natychmiast wszystkim przestało się chcieć czegokolwiek. Po co robić obiad, skoro za pół godziny przywiozą gotowy z restauracji? Lepszy, smaczniejszy i jeszcze pięknie podany... Zmywanie? Zaiste, marny byłby to żywot, jeśli główną jego atrakcją miałyby być sprzątanie po obiedzie. Nie chciało się. Otóż to, nic się nie chciało.

Wujowi przeszła nawet ochota na tworzenie nowych wynalazków. W jego mniemaniu na tyle poprawił świat, że stracił całą motywację. W mniemaniu rodziny do tego stopnia namieszał w świecie, że bał się wymyśleć coś nowego. I całe szczęście. Pies trącał analizę przyczynowo-skutkową, ważne, że obie strony zgadzały się z ostatecznymi wnioskami. Dlatego do warsztatu wujo zaglądał z rzadka. Ot, czasem jakiś delikatny zarys czegoś genialnego ołówkiem na papierze kreślarskim machnąć, żeby mózg i ręka nie zardzewiały. Znacznie częściej, by przygotować pytania do rodzinnego quizu.

Właśnie, rodzinny quiz. Niby zasady te same, niby skład grających bez zmian, a jednak jakby już nie to samo. Wujo Franek cały czas wygrywał, reszta walczyła o pozostałe miejsca na podium, ale wynikami już nikt się specjalnie nie przejmował. Gdzie te czasy, kiedy Piotr potrafił solidnie się wściec na wuja Franciszka za tendencyjne pytania i skrajny brak obiektywizmu? Gdzie te czasy, kiedy wuj Franek potrafił wszystkich rozwścieczyć swoim odwiecznym triumfem? Teraz wszystko się uspokoiło, zwolniło, zastygło w miejscu. Do pokonania wuja Franka w rodzinnym quizie zostało jeszcze tyle czasu... Tyle czasu! A gdyby go kiedykolwiek miało zabraknąć, to przecież zawsze można sobie kilka godzin dokupić. Choćby po to, aby się w coniedzielnym quizie zmierzyć. Tyle czasu...

KONIEC